

Poznaj Świat

Cena 9,95 zł (w tym 8% VAT)

UKAZUJE SIĘ OD 1948 ROKU

5
2011

PO SZCZĘŚLIWSZEJ
STRONIE WYSPI str. 30

DOMINIKANA

Albiński, Mazurek, Rosiak
W numerze:

str. 16

Magdalena Skopek
SYBERIA

str. 56

Marek Pindral
LAOS

str. 106

Małgorzata Jarmułowicz
INDONEZJA

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



917700326141001 03

+ BEATA PAWLIKOWSKA **INDIE** Największy diament świata

www.poznaj-swiat.pl



Location: Grundtvigskirken, Greenland
Pic: Thomas Ulrich

GRØNLAND EXPEDITION

www.salewa.com/greenland



WIN A
TRIP TO
GRØNLAND





Dominikana str. 30



Bornholm str. 46



Syberia str. 16



Laos str. 56



Indonezja str. 106

Nasz świat **FotoForum Czytelników** str. 5

Eunice str. 12

Jako pierwsi publikujemy najnowsze opowiadanie **Wojciecha Albińskiego**

KOCZOWAŁAM W TUNDRZE str. 16

Powoziłam zaprzęgiem reniferów, zbierałam mech na „papier” toaletowy i trawę na wkładki do butów. Dostałam nawet nienieckie imię. **Tekst Magdalena Skopek**

Tam, tam i inne kierunki **felieton Dariusza Rosiaka** str. 28

PO SZCZĘŚLIWSZEJ STRONIE WYSPY str. 30

Dominikana. Rocznie ponad milion turystów zalega na bielutkich plażach. Tu rozlokowane są prawdziwe fabryki wypoczynku. **Tekst Roman Rojek**

Navigator str. 40

Mazurek na wynos **felieton Roberta Mazurka** str. 44

MOŻE BY TAK WPAŚĆ, POPEDAŁOWAĆ str. 46

Bornholm... Zdążyliśmy kupić bilety na prom, odszukać w piwnicy namiot i trochę go przewietrzyć. Nie zdążyliśmy tylko zaplanować naszego pobytu... i dobrze się stało! **Tekst Katarzyna Rojek**

Z perspektywy **felieton Ryszarda Badowskiego** str. 54

WSZYSTYMSY Z TEJ DŻUNGLI str. 56

Pora sucha jest najlepsza do wędrowek po Laosie. Sto lat temu ten kraj w prawie trzech czwartych pokryty był lasem. Dziś to jedynie 10 procent jego powierzchni!

Tekst Marek Pindral

Geoskop str. 64

ZAMYŚLONA KRAINA str. 68

Południowo-zachodnie Czechy – ziemia zamków, pałaców i nieskażonej przyrody. **Tekst Izabela Kraus-Žurová**

PEKNIĘTA WYSPA str. 74

To opowieść o współczesnym Cyprze podzielonym na dwie części. **Tekst Katarzyna Rojek i Jacek Siwko**

ZMOCZ ANGLIKA NA EALINGU str. 81

Rodacy na obczyźnie pieczołowicie pielęgnują polskie tradycje. Aglicy zaczynają je przyswajać. **Tekst Przemysław Kozłowski**

Kalejdoskop wrażeń **felieton Agnieszki Bartusiak** str. 88

NAJWIĘKSZY DIAMENT ŚWIATA str. 90

Do Świątyni Szczurów w północnych Indiach przybywają ludzie z najdalszych zakątków kraju. **Tekst Beata Pawlikowska**

Pawlikowska

Jak nas widzą **Spotkanie z przewodnikiem** str. 99

ZIEMIA NIEZNANA... str. 100

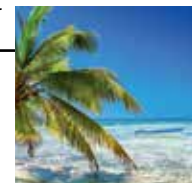
Polska wciąż zaskakuje i stale odnajdujemy tu kolejne niezwykle miejsca. **Tekst Anna Olej-Kobus**

SZERPOWIE PIEKIEŁ str. 106

Jawajczycy, mieszkający w sąsiedztwie tego wulkanu, uważają go za żywą istotę. **Tekst Małgorzata Jarmułowicz i Zygmunt Leśniak**

Outdoor str. 116

Polska, której nie ma str. 120



NA OKŁADCE:
Dominikana – to
ta szczęśliwsza
część Haiti.



str. 16
KOCZOWAŁAM
 W TUNDRZE

STARE I NOWE

Kolejny miesiąc i kolejny etap poznawania świata z... „Poznaj Świat”. Któryż to z kolei? Sześćset pięćdziesiąty drugi! Zaden to jubileusz, ale warto pamiętać, że to już blisko 63 lata (z małymi przerwami) istnieje Wasze, drodzy Czytelnicy, ulubione pismo. Dlaczego o tym wspominam? Otóż dlatego, że wkrótce powrócimy do dawnej praktyki przypominania co ciekawszych materiałów publikowanych w „PS” w dawnych latach. Nie, żebyśmy mieli kłopoty z wypełnieniem łamów pisma. Jest wprost przeciwnie! Jednak na kartach opasłych roczników, zawierających historię „Poznaj Świat” znaleźć można prawdziwe perły reportażu i innych form przybliżania Polakom świata w przeszłości. Odszukamy je dla Was.

To w następnym numerze, a już teraz – migawki z życia polskich emigrantów w Londynie. Reportaż autorstwa Przemysława Kozłowskiego nawiązuje do tekstu o losach Polonii brazylijskiej, które opisywaliśmy w kwietniowym numerze. Wpisuje się też w planowany cykl publikacji, które będą powstawać we współpracy naszej redakcji z tworzonym właśnie gdyńskim Muzeum Emigracji. Przy okazji – zachęcamy: nadsyłajcie Państwo do naszej redakcji tak zwane polonica – w formie zdjęć z miejsc związanych z naszym krajem, wykonanych na obczyźnie. Opiszcie je pokrótce – a my opublikujemy je i zrobimy z nich galerię w internecie.

Właśnie! Kolejna nowość – to nasza internetowa witryna, która niebawem nabierze zupełnie nowych kształtów. Będzie nowoczesna w formie i bogata w treści.

No i – brawa dla spostrzegawczych. W kwietniowym numerze mapka do jednego z tekstów umieszczona została w dość... szczególny sposób. Nie wszyscy to dostrzegli, jednak sporo osób zwróciło nam na to uwagę. Mimo pokusy zwalnia tego faktu na redakcyjnego chochlika, względnie – Pana Primaaprilisa – przyjmujemy rzecz z pokorą. Dla pani Elżbiety z Nowej Huty, która pierwsza zadzwoniła do nas w tej sprawie – wysyłamy upominek: kolorowy album autorstwa Romana Rojka pt. „Etiopia na 21 dni, lub na całe życie”.

Janusz Czerwiński

REDAKTOR NACZELNY

Jarosław Burski

WATYKAN

San Pietro

W Bazylice św. Piotra w Rzymie światło jest czymś wyjątkowym. Rano, gdy jest tzw. niskie światło, promienie słońca wpadają przez okna, dając zaskakujące efekty.

Zdjęcie zrobiłem wcześniej rano przed oficjalnym otwarciem bazyliki, gdy jeszcze nie było tłumu zwiedzających. Znajomi pytają mnie, jak załatwiłem sobie taką możliwość. Odpowiadam: „Przez łagodność” :-)



 SUMMIT SERIES

NEVER STOP



IKER POU, SHOT BY DAMIANO LEVATI
IN THE DOLOMITES, ITALY

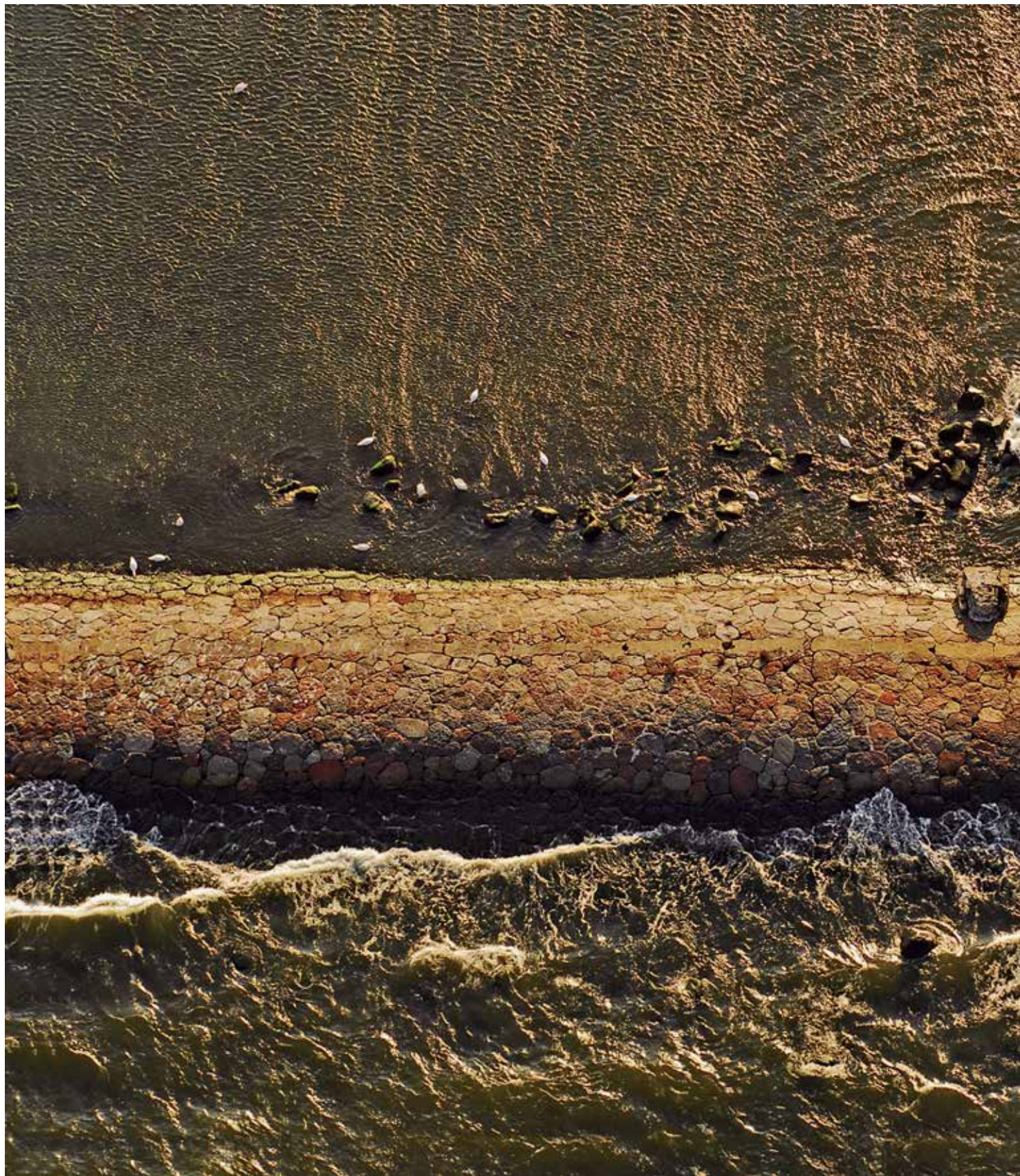
SEE THE FULL STORY ON [THENORTHFACE.COM](https://thenorthface.com)

EXPLORING

THE NORTH FACE® TRAILHEAD APP









Bogdan Pięta

POLSKA

Falochron

Przy wejściu do portu w Gdańsku w XVIII wieku wybudowano falochron wschodni. Jego wygląd nie ulegał większym zmianom, a ostatni remont przeprowadzono w 1946 r.

Zdjęcie falochronu pochodzi z września 2010 r. i pokazuje ten zabytek hydrotechniczny tuż przed jego zasadniczą modernizacją i remontem, które rozpoczęto w lutym tego roku.

Po ich zakończeniu Gdańsk będzie łatwiej dostępny od strony morza i tym samym przywróci i podkreśli swój charakter starego portowego miasta.

Prześlij zdjęcie! Na nasz adres: redakcja@poznaj-swiat.pl przysyłajcie swoje najciekawsze zdjęcia, w możliwie największej rozdzielczości. W tytule piszcie FOTOFORUM. Innym sposobem przesłania zdjęć jest wypełnienie formularza na naszej stronie: www.poznaj-swiat.pl. Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.

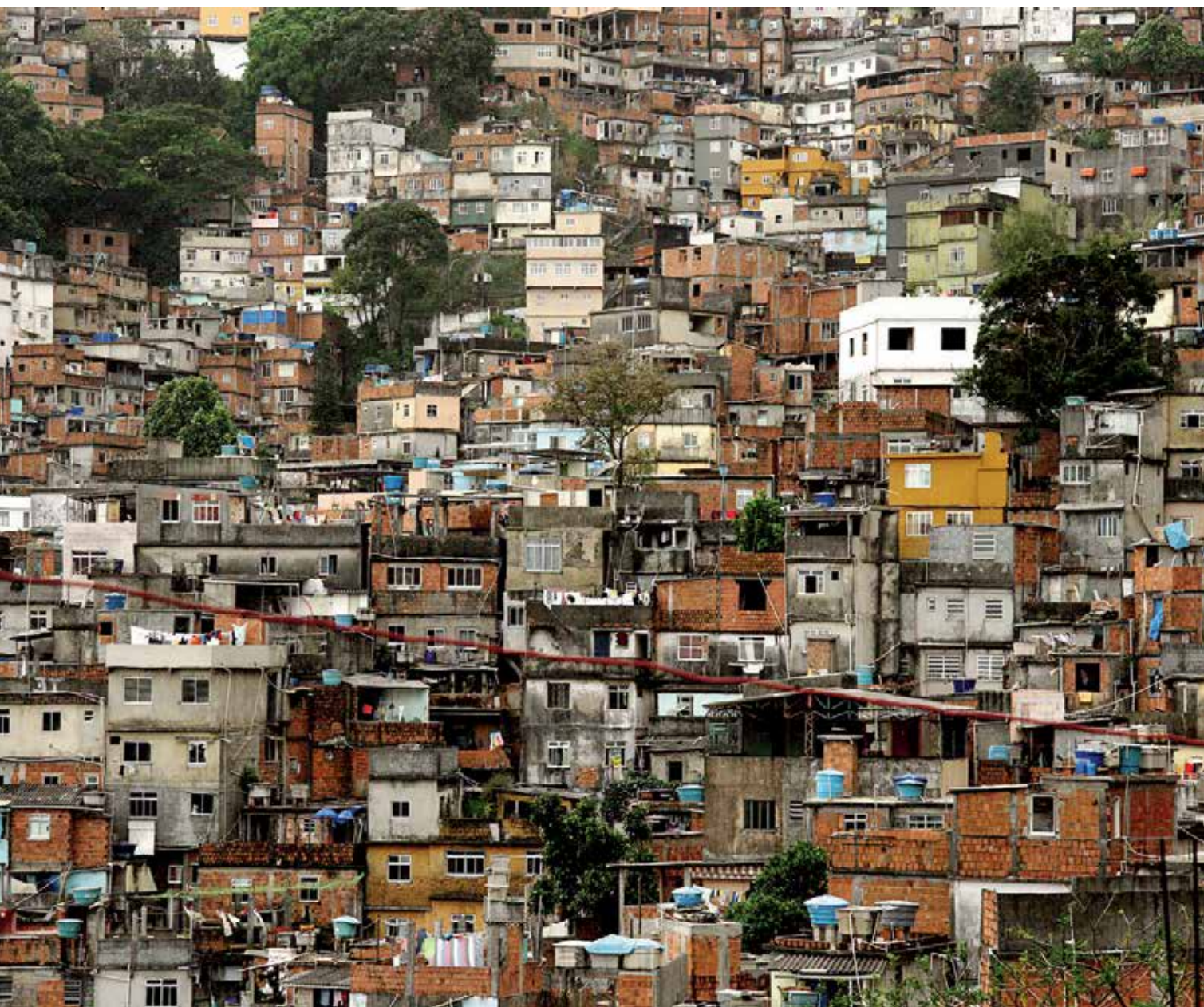


Julia Michalczewska

BRAZYLIA

Patchwork

Tylko z daleka brazylijskie fawele wyglądają, jak piękna, kolorowa narzuta.





Katarzyna Rojek

INDIE
Akademik?
Falowiec?
UI?

Pudło! To Pałac Wiatrów (Hawa Machal) w Jaipurze. Ostatnią decyzją władz lokalnych wszystkie okna zostały zamknięte na stałe. Wiatr został już tylko na zewnątrz.

Jarosław Burski

POLSKA

Po kwietnym
kobiercu biegam
z wiosną w sercu

Las bukowy koło Justynowa,
20 km od Łodzi.
Lubię tam jeździć. Widziałem
kwitnące zawilce w różnych
miejscach, ale tylko tu w takiej
obfitości. Nawet mój labrador
eksploatuje tu radością.



Prześlij zdjęcie! Na nasz adres: redakcja@poznaj-swiat.pl przysyłajcie swoje najciekawsze zdjęcia, w możliwie największej rozdzielczości. W tytule piszcie FOTOFORUM. Innym sposobem przesłania zdjęć jest wypełnienie formularza na naszej stronie: www.poznaj-swiat.pl. Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.



Wojciech Albiński

EUNICE

Trzasnęły drzwi na korytarzu prowadzącym z kuchni i wbiegła zadyszana Eunice.

– Muszę coś powiedzieć!

– Nie teraz – odprawiłem ją ruchem ręki

Jej czarna, okrągła twarz w białym otoczku i palające zuluskie oczy zdradzały wielkie podniecenie. Posłusznie wycofała się. Było to wyjątkowo uroczyste przyjęcie przygotowywane od wielu tygodni. Jakość win i ich staranny wybór grały tu podstawową rolę, także sposób podania potraw i błysk sreber.

Sześć osób siedziało przy stole, mężczyźni w ciemnych garniturach, architekt Francois Pienaar, pochodzący ze starej afrykańskiej rodziny, jak zwykle przywdział wielką, fantazyjnie zawiązaną muszkę i marynarkę z bordowego aksamitu. Jego żona, Cerita, miała na sobie kilka „pieces” starej biżuterii. Lecz główną osobą był profesor Hurth, ekonomista i polityk. Chłubił się dorobkiem naukowym, szczególnie docenianym w sferach zbliżonych do rządu. Jak mało kto znał on wewnętrzne rozgrywki w państwach afrykańskich, słabostki ich prezydentów i trudne do prześledzenia powiązania rodzinne.

– *Coś ważnego!* – znowu wtargnęła służąca. Płomienie świec zafalowały na stole.

Tym razem odprawiłem ją surowiej. Wyszła niechętnie.

– *Pięćdziesiąt lat im jeszcze zajmie...* – rzucił od niechcenia profesor.

– *Sto* – poprawiła go sucha profesorowa.

– *Państwo wybaczą* – przeprosiłem gości. Rozumieli moje położenie. Profesor zakładając, że sytuacja się nie powtórzy, przeszedł do dłuższej opowieści. Odłożyliśmy widelce i zastygliśmy w oczekiwaniu.

Tymczasem Eunice zdecydowała się nie czekać dłużej. Wpadła do salonu jak zuluski wojownik.

– *Dom się pali!* – wołała od progu. – *Ogień!*

Istotnie, dała się widzieć różowa poświata za oknami. Nie były to promienie zachodzącego słońca, ale palący się budynek gospodarczy stojący obok głównego domostwa.



Gdy wybiegliśmy, płomienie sięgały zwisających gałęzi, a liście bluszczu, którymi obrośnięte były ściany domu, brązowały i zwijały się w trąki. Za chwilę mogły zająć się belki stropu i wewnętrzne sufity.

Po udanej akcji gaszenia pożaru uspokoiłem speszona dziewczynę: – Eunice, zawsze mów mi, kiedy dom się pali. Nikt nie może ci tego zabronić.

Pozostawało tylko do rozstrzygnięcia, gdzie pojawiły się pierwsze płomienie i dlaczego ogień przeniósł się tak szybko. Zostawiłem to do rozstrzygnięcia fachowcom. Oni też w sprzecznych zeznaniach się pogubią.

Tydzień później moja żona Wanda odebrała telefon.

– *Sierżant Khumalo* – przedstawił się rozmówca. – *Posterunek w Parkview.*

– *Co mogę zrobić dla pana, sierżancie?*

– *Czy w tym domu pracuje Eunice M.?*

– *Oczywiście. Od czterech lat. Uczciwa, zawsze uśmiechnięta, pogodna i pomocna...*

– *Dla pani ona ma tylko zalety?* – sierżant Khumalo czekał na odpowiedź.

– *Raczej tak...*

– *To zdziwiłaby się pani, gdybym powiedział, że wczoraj wbiła nóż w plecy swojej przyjaciółki?*

– *Nonsens. Czy pan z nią rozmawiał? Eunice nie byłaby do tego zdolna.*

Eunice nie wróciła na tę noc, ani na następną. Powstało w nas dręczące podejrzenie, że to ją przebito nożem. Takie rzeczy zdarzają się – zbrodnia, zawiedziony kochanek. Ostre narzędzie pomaga w wyładowaniu emocji.

Pojechałem na posterunek w Parkview. Wpuszczono mnie łatwo. W tych czasach, jeszcze nie wyglądał, jak obronna twierdza, ale szybko miało to nastąpić. Proszono tylko, aby wchodzący deklarowali osobistą broń, albo lepiej zostawiali ją w przechowalni. Materiałów wybuchowych w ogóle nie wolno było wносить.

Do biura sierżanta Khumalo wchodziło się z długiego korytarza. Ciężkiej postury siedział za drewnianym stołem założonym aktami. Sprawdził w rejestrze: data zatrzymania, godzina, powód aresztowania. Świadkowie, oskarżyciele i poszkodowani. Szczegółowy opis zajścia lub przestępstwa.

– *Tak, mieliśmy tutaj waszą Eunice...* – przyznał. – *Dziś rano została przetransportowana do*

aresztu przy sądzie orzekającym.

– *Całe to zdarzenie musi być dla niej wielkim szokiem...* – rzuciłem.

– *Białym zawsze coś źle...* – odpowiedział niechętnie Khumalo.

– *A kiedy odbędzie się rozprawa?*

– *Przygotowania zabiorą około tygodnia...* – podał mi kartkę z numerem telefonu. – *Dowiedzcie się.*

– *A gdzie?*

– *W Sądzie Karnym. W centrum Johannesburga.*

– *A czy warto podejmować cały ten trud?* – zaryzykowałem. – *To bardzo dobra dziewczyna...*

Popatrzył na mnie martwym spojrzeniem urzędnika.

– *Wbijanie komuś noża w plecy traktujemy bardzo poważnie.*

Codziennie dzwoniłem pod wskazany numer. Wreszcie otrzymałem datę i godzinę. Proces miał odbyć się za dwa dni.

Budynek sądu nie cieszył się dobrą sławą. Wzniesiony został w latach trzydziestych ubiegłego wieku. W grubych murach, mimo upalnego lata, panował chłód. Małe okna nie dopuszczały światła, pod sufitem paliły się mdłe, elektryczne lampy. W tych salach zapadło wiele wyroków śmierci, z których większość została ochoczo wykonana.

– *Bez przestrzegania prawa nikt tu nie przeżyje dwóch dni* – tłumaczył mi kiedyś profesor Hurth.

– *Wszystko zmieniłoby się w Teksas.*

Eunice siedziała ze wzrokiem wbitym w drewnianą podłogę, obok niej uzbrojeni policjanci. Białe sędzia otworzył rozprawę, po nim zabrał głos prokurator. Ujawnił, że ofiara napadła Eunice z nożem w plecach i brocząc obficie krwią, o własnych siłach dotarła do szpitala. Tam opatrzono ją i oddano sprawę w ręce policji. Woźny przedstawił sądowi dowód rzeczowy, lśniące narzędzie, którym posłużyła się Eunice. Był to zwykły kuchenny nóż, jakiego używa się do patroszenia kurczaków.

– *Czy to był ten nóż? Czy oskarżona go rozpoznaje?*

– *Ten sam... Poznaję po trzonku* – odpowiedziała oskarżona, wbijając wzrok w ścianę.

Młody sędzia uznał, że konieczne jest poczenie.

– Kiedy oskarżona odpowiada na pytania, należy zwracać się do sądu. A sąd jest tutaj! – uderzył dłonią w pulpit.

Dla pewności słowa sędziego powtórzył obecny na sali tłumacz.

Eunice gwałtownie zaprzeczyła. Między tłumaczem, a oskarżoną wywiązał się gwałtowny spór.

– O co chodzi? – zapytał sędzia.

– Oskarżona twierdzi, że sama wie, jakie jest

właściwe zachowanie... – wyjaśnił tłumacz. Przygładził rząd ołówków wystających z frontowej kieszeni. – Uczono ją tego w domu. Młoda dziewczyna nie powinna wybaluszać oczu na mężczyznę. To byłoby bardzo niewłaściwe. zaszczerpiono jej zasady skromnego zachowania i zamierza się ich trzymać!

– Niech oskarżona opowie, co się właściwie stało – zawyrokował sędzia.

Eunice wstała, nadal patrzyła w ścianę.

– Na przyjęciu w Hillbrow Emilia źle zrozumiała, że ją niezastuzenie obrażam. Przyniosła z kuchni nóż i zaczęła nim wygrażać mi przed oczyma. Wtedy wyjęłam jej ten nóż z ręki... Ona jest moją najlepszą przyjaciółką i gdybym ją chciała zabić, wbiłabym jej nóż w serce... A tak tylko ukułam ją w plecy.

– Utkucie, które spowodowało znaczny upływ krwi i zraniona znalazła się w trybie nagłym w szpitalu... – ironizował prokurator.

– Gdybym ją chciała zabić, wbiłabym jej ten nóż w serce! – poderwała się oskarżona.

Sędzia zwrócił się do prokuratora z prośbą o odczytanie ekspertyzy medycznej.

– Ostrze weszło z prawej strony ciała, przebijając ubranie i skórę. Co poszkodowaną uratowało, to gruba warstwa tkanki tłuszczowej, w tych miejscach raczej nie spotykana.

– Co trzeba oddać w obronie oskarżonej, że nie starała się zakręcić ostrzem, ani powtórzyć ciosu... – dodał łagodniej oskarżyciel. – W podsumowaniu chcę dodać, że zraniona jest poza niebezpieczeństwem utraty życia, wyliże się najdalej za tydzień i wkrótce opuści szpital.

– Wyliże? sędzia był językowym purystą i drażniły go nieprecyzyjne określenia.

– Tak, proszę Wysokiego Sądu. Wyliże, bez wątpienia.

Wyrok opiewał na trzy miesiące w więzienia z zamianą na grzywnę trzystu randów. Natychmiast wpłaciłem karę do kancelarii sądowej. Następnego ranka, po dopełnieniu kolejnych formalności, Eunice wróciła do domu. Odwiedziła kilku przyjaciół w okolicy, z wielu posesji dochodziły głośne rozmowy i wiwaty.

Opinie moich przyjaciół były dwójakie: jedni, najwyraźniej obrońcy reżimu, twierdzili, że rząd traktuje czarnych z wyrozumiałością. Inni, a tych była większość, że życie ludzkie w tym kraju jest tanie. ☉

O Autorze...

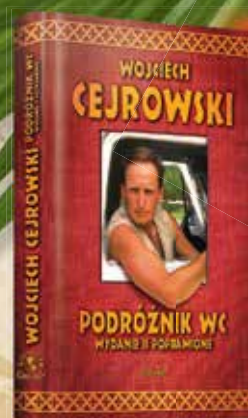


Wojciech Albiński (urodzony w 1935 roku w Warszawie) od najmłodszych lat pasjonował się literaturą. Podczas studiów geodezyjnych na Politechnice Warszawskiej był jednym z założycieli pisma „Współczesność” – wraz ze Stanisławem Grochowiakiem, Ireneuszem Iredyńskim, Romanem Śliwonikiem – na jego łamach publikował swoje wiersze i opowiadania. Należał też do Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich. W 1963 roku wyjechał za granicę, mieszkał w Paryżu, a później w Genewie, współpracował z paryską „Kulturą”. W roku 1969 wyjechał do Afryki, przez wiele lat pracował jako geodeta w Botswanie i RPA.

W 2003 roku opublikował w Polsce tom opowiadań „Kalahari”, który otrzymał nagrodę im. Józefa Mackiewicza i został nominowany do nagrody Nike. Od tego czasu Albiński wydał: „Królestwo potrzebuje kata” (2004), „Antylopa szuka myśliwego” (2006), „Lidia z Kamerunu” (2007) i „Achtung! Banditen!” (2009).

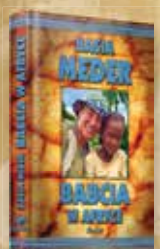


KSIĄŻKI POD PATRONATEM „POZNAJ ŚWIAT”



NOWOŚĆ!
W sprzedaży
już w grudniu!

Wojciech Cejrowski
PODRÓŻNIK WC
format: 145 x 205 mm



Basia Meder
BABCIA W AFRYCE
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Basia Meder
**BABCIA W PUSTYNI
I W PUSZCZY**
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Antonio Halik
**180 000 KILOMETRÓW
PRZYGODY**
format: 145 x 205 mm
cena: 35 zł



Antonio Halik
**JEEP. MOJA WIELKA
PRZYGODA**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



Antonio Halik
**Z KAMERĄ I STRZELBĄ
PRZEZ MATO GROSSO**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



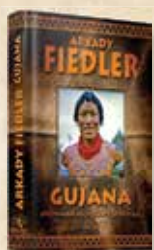
Wojciech Cejrowski
**GRINGO WŚRÓD
DZIKICH PLEMION**
format: 145 x 205 mm
cena: 35 zł, 49 zł (zapachowa)



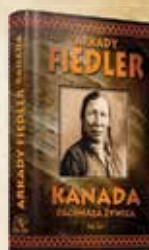
Wojciech Cejrowski
RIO ANACONDA
format: 145 x 205 mm



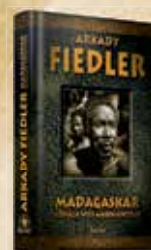
Arkady Fiedler
DYWIZJON 303
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł, 14,50 (opr. miękka)



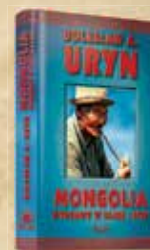
Arkady Fiedler
**GUJANA. SPOTKAŁEM
SZCZĘŚLIWYCH INDIAN**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



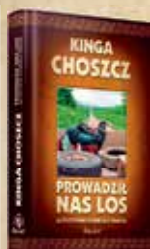
Arkady Fiedler
**KANADA
PACHNĄCA ŻYWICĄ**
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Arkady Fiedler
**MADAGASKAR. GORĄCA
WIEŚ AMBINANITELO**
format: 145 x 205 mm
cena: 49,90 zł



Bolesław A. Uryń
**MONGOLIA. WYPRAWA
W TAJĘ I STEP**
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł



Kinga & Chopin
**PROWADZIŁ NAS LOS.
AUTOSTOPEM DOKOŁA ŚWIATA**
format: 145 x 205 mm
cena: 37,50 zł



Kinga Choszcz
MOJA AFRYKA
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



Michał Kruszona
**RUMUNIA. PODRÓŻ
W POSZUKIWANIU DIABŁA**
format: 145 x 205 mm



Robb Maciąg
**ROWEREM PRZEZ CHINY,
WIETNAM I KAMBODŻĘ**
format: 145 x 205 mm



Jacek Pałkiewicz
**SYBERIA. WYPRAWA
NA BIEGUN ZIMNA**
format: 145 x 205 mm

Wydawnictwo „Bernardinum”, ul. Bpa Dominika 11, 83-130 Pelplin
tel.: 58 531-64-81, 58 536-17-57, fax 58 536-17-26, kom. 662-014-683
e-mail: zakupy@bernardinum.com.pl • www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl

KOCZOWAŁAM W TUNDRZE

DWA MIESIĄCE W GOŚCINIE U NIEŃCÓW

Tekst i zdjęcia: Magdalena Skopek



To była podróż w podróży. Koczując z Niefcami, nieustannie wędrowałam. Przez tundrę i czas.



– Babuszka umarła już dawno, o tej porze roku, co teraz – mówi Anja, kładąc przede mną nowy kawałek surowego szpiku renifera.



Dawno, czyli kiedy? – pytam, rozmazując palcem po twardym jak kamień kawałku suchara, tłusty biały szpik.

– Dokładnie nie pamiętam... Jakies siedem czy osiem lat będzie na pewno. No, umarła i w czumie przeleżała do rana, razem z nami. Rano ją wynieśliśmy na zewnątrz i dokładnie zapakowaną przywiązaliśmy do sań.

– Po co ją pakowaliście?

– Jak to po co? Przecież w lipcu jedziemy dalej na północ, a cmentarz naszego rodu jest na południu, w przeciwnym kierunku. Zabraliśmy ją ze sobą w powrotnej drodze, pod koniec września. Zresztą człowiek trzeba pochować suchego, więc nie w lecie. Musi być ubrany w najlepsze ubrania. Gdybyśmy ją ubrali źle, byłoby zimno i jej, i nam – wyjaśnia Anja i siorbie głośno czaj przelany z filiżanki na spodek, jak to robili wszyscy Niefcy, których do tej pory poznałam. Mieszkam z nimi już od pięciu tygodni i każdego dnia czymś mnie zaskakują.



DRASTYCZNE? KONIECZNE!

Renifera zabija się, dusząc go powozem. W ten sposób nie zmarnuje się żadna cząstka jego ciała. A starzy Nieńcy z czystym sumieniem będą mogli spożyć jego mięso.

AKATTETO (DUŻO U NICH RENIFERÓW)

Nieńcy, dawniej zwani Samojedami, to koczownicy, rdzenni mieszkańcy północnej Syberii. Renifery dla człowieka tundry są wszystkim: jedzeniem, ubraniem, schronieniem i środkiem transportu. Nieniec dzieli świat stworzeń na cztery grupy. Oprócz numarmik – mieszkańców powietrza i jasarmik – mieszkańców ziemi, jest jeszcze ty – renifer i nienecz – człowiek. Dwa miesiące koczowałam w tundrze środkowo-zachodniego Jamalu z nieniecką rodziną Akatteto (co znaczy: „dużo u nich reniferów”). Albo raczej, rodzina Akatteto zgodziła się, żebym u nich została. Powoziłam zaprzęgiem reniferów, zbierałam mech na „papier” toaletowy i trawę na wkładki do butów, wyprawiałam skóry, robiłam nici ze ścięgien, chodziłam w ubraniach z renich skór, jadłam surowe mięso i ryby, spałam w legowisku w czumie – nienieckim domu, zbierałam krzaki na ogień, przynosi-

łam wodę z jezior, gotowałam, widziałam święte miejsca. Dostałam nawet nienieckie imię: Mjagnie Akatteto.

JAMAŁ TO KONIEC ZIEMI

Ja w języku Nieńców znaczy ziemia, mał oznacza koniec. Czyli po nieniecku, to koniec ziemi. Geograficznie Jamał to półwysep arktycznej Rosji, wcinający się na 700 kilometrów w Morze Karskie. Nieńcy mówią na nie „śmierdząca woda”. Od wschodu Jamał jest odcięty od kontynentu Zatoką Obską. Na północy sąsiaduje z nim wielka Wyspa Biała zamieszkała jedynie przez dzikie renifery i niedźwiedzie polarne. Jest ona uważana przez rdzenne narody Syberii za świętą ziemię. Z Europą półwysep Jamał łączy 4196 kilometrów gazociągu. Niestety, coraz więcej jamalskich pastwisk pokrywa be



TYLKO GÓRĄ

Pod koniec czerwca tundra już niemal odtajała. Teraz dotrze tu tylko helikopter. Po roku nauki w szkole dzieci wracają do swoich rodzin.

ton, śmieci i rury. Z pozostawionej w tundrze przez firmy budowlane azbestowej tkaniny kobiety szyją ubrania dla dzieci, materace do spania, czapki, rękawice i pokrywają nią czumy.

DO JANAŃ

Do Salechardu, stolicy Jamalsko-Nienieckiego Autonomicznego Okręgu (JANAŃ) przyjechałam

z Moskwy pociągiem. Dalej, do osady Jar Sale, która leży u nasady Jamału, popłynęłam z rzeczno-portu statkiem. Na Obskiej Gubie (zatoce) pod koniec czerwca stoi jeszcze gruba kora, ale rzeki i rzeczki już rozmarzły, więc dalej można już tylko – z odrobiną szczęścia! – helikopterem.

I tak doleciałam (z tygodniowymi przystankami w osadach Mys Kamiennyj i Sjo Jacha) do obozowiska czterech czumów Aleksandra Siergiejewicza – żartobliwie nazywanego Puszkinem – gdzieś w okolicy rzeki Harasawiej. Wróć, tak jak się do nich dostałam, śmigłowcem, który przed pierwszym wrześniem będzie zabierał dzieci do szkoły. Inaczej się nie da! Tak daleko na północy są już białe niedźwiedzie. Widok po sam horyzont to krzaki skarlłowaciałej, po kolana sięgającej wierzby iwy i nie wyższej, niż krzaczki borówek, płożące się brzozy.

MYS KAMIENNYJ

Jeżeli bliżej przyrzeć się tutejszym nazwom – okaże się, że większość z nich jest pochodzenia nienieckiego: Salechard – brzeg drewnianych chat, Jar Sale – piaszczysty brzeg, Sjo Jacha – gardło rzeki. Z osadą Mys Kamiennyj, leżącą na koślawym brzegu, rzecz jest bardziej skomplikowana. Pytam Rosjan, dlaczego „kamienny”, chociaż na brzegu zatoki





sam piasek? W odpowiedzi słyszę, że to Nieńcom się coś pomyliło. Gdy po jakimś czasie pytam o to Nieńców – twierdzą, że w ich języku przylądek nazywa się „krzywy”. „Krzywy” i „kamienny” to w nienieckim podobne słowa, które Rosjanie pomylili i nazwali cypel kamiennym.

KOCZOWANIE (JAMDANAŁE)

Koczujemy ze względu na renifery. Okres wegetacji na północy jest krótki, a cykliczne zmienianie pastwisk chroni je przed nadmierną eksploatacją. Jedziemy coraz bardziej na północny zachód, w kierunku Morza Karskiego. Przeprowadzamy się przez rzeki, przechodzimy przez bagna. Pakujemy wszystko na sanie (choć to lato!), zaprzęgamy renifery i przenosimy się na nowe miejsce – co dwa, a czasem co trzy dni. Każda rzecz ma na saniach swoje miejsce, każda czynność jest wykonywana w określonej kolejności. Wszyscy, łącznie z dziećmi i ze mną, znają swoje obowiązki. Święte sanie, hehe han, w których znajdują się kukły przodków, traktuje się ze specjalnym szacunkiem.

W czasie przenoszenia obozu na nowe miejsce zawsze jadę na saniach z ośmioletnią Anżelą. Parę razy sama próbuję powozić zaprzęgiem, ale zazwyczaj jest jakieś ciekawe zdjęcie do zrobienia i dlatego bardziej koncentruję się na aparacie. Anżela też dopiero uczy się powozić i niekiedy zdarza się, że zamiast wskoczyć na sanie (najpierw rozpędza się renifery, a potem samemu wskakuje się na lewą płożę) spada obok, na mokrą trawę. Za to nigdy w takiej sytuacji nie puszcza liny zaprzęgu i wtedy ja, w biegu, wciągam ją za kaptur na sanie.

Najczęściej jednak jedziemy powoli, od czasu do czasu wydzierając się na całe gardło na renifery: „Jaha! Jaha! Jaaaha!!! Ehe! Hoo!” (Anżela twierdzi, że to nic nie znaczy) i dżgając je specjalnym kijem, gdy przystają, skubiąc tundrę. Właśnie w takich momentach mamy czas na rozmowy o Nieńcach i o świecie. Rozmowy zazwyczaj są inspirowane tym, obok czego akurat przejeżdżamy.

Czyli:
– Śnieg.
Gdzieś w połowie sierpnia mijamy ogromną hałdę mokrego śniegu. Anżeli robi się smutno, gdy pytam, czy wie, że na świecie są kraje, w których dzieci nigdy nie widziały śniegu.
– Słońce.
Anżela wie ze szkoły (choć szkoły nie lubi i woli pomagać rodzicom w tundrze), że Ziemia krąży wokół Słońca. Słońce jest okrągłe i Ziemia też jest okrągła. Skąd wie, że Ziemia jest okrągła? – *No jak to* – wykrzykuje zdziwiona, zataczając ręką łuk w kierunku dalekiego, niczym niezakrytego horyzontu. – *Przecież to widać!*
– Kosmos.
– *Wiesz, że byli tacy ludzie, którzy polecili w kosmos?*
– zagaduje mnie Anżela. – *Wiem. I pies też poleciał*
– kiwam twierdząco głową. – *A wiesz, że tam jest bardzo zimno i ludzie muszą ubierać się w specjalne kombinezony?* – ciągnę temat, nie spodziewając się wybuchu, który zaraz nastąpi. – *Co?!! No to przecież nasze zimowe kożuchy mogli pożyczyć!!!* – krzyczy przejęta Anżela, o mało nie spadając na ziemię.
– Renifer.
– *Renifer jest mądry, bez renifera człowiek nie może*

LETNIA SANNA

To nic, że lato.
Co parę dni ładujemy sanie, ruszając dalej w poszukiwaniu pastwisk dla reniferów.

przeżyć i – rzecz najważniejsza – renifer jest duży. I kula ziemiska jest duża. Kula ziemiska jest tak duża, że jest ogromna nie tylko dla człowieka, ale nawet dla dużego renifera! – mówi z przekonaniem Anzela.

KRWAWA UCZTA

Jemy 5-6 razy dziennie, zazwyczaj mięso i ryby: surowe, solone, gotowane, wędzone. Zabicie rena to wielka radość i uczta dla całej rodziny, a gość dostaje najsmaczniejsze, jeszcze ciepłe, bo przed chwilą wyciągnięte z brzucha renifera kaski: nerki, suto zasoloną wątrobę, szpik. Serca nie można kroić w poprzek, bo będzie bolało serce tego, kto kroić.

CZUM DWURODZINNY

Stawianie namiotu odbywa się w zgodzie z zasadami przekazywanymi od pokoleń. Wiąże się z tym niejedno tabu. Czum często służy dwóm rodzinom.



Koniuszkiem języka trzeba się podzielić z ogniem.

Latem świeżego renifera je się na trawie. Krew zbiera się jak w wazie, w przekrojonym na pół wyopatroszonym zwierzaku. Dorosli i umazane krwią dzieci, nawet te najmniejsze, siedzą naokoło i każdy własnym nożem ucina kawałki mięsa. Taki kawałek chwyta się za jeden koniec zębami, z drugiej strony trzyma się w rękę i kroci nożem od spodu, tuż przy samych ustach. W czasie pierwszej takiej uczty wszyscy mnie obserwują i dają dobre rady.

– *Magda, uważaj na nos, żebyś sobie nie ucięła!* – wśród wybuchów śmiechu, co chwilę ktoś dorzuca coś od siebie. Rzeczywiście, na nos muszę uważać, ale szybko dochodzę prawie do takiej wprawy, jakbym w taki sposób jadła od zawsze. Umazanymi rękami ciężko się robi zdjęcia, ale wszyscy z ogromnym zafascynowaniem je oglądają. – *Co tam sobie o nas pomyślą u ciebie w domu, jak im pokażesz te zdjęcia?* – śmieje się Nadia. – *Przestraszą się i pewnie powiedzą, że my ludożercy* – dodaje, podsuwając mi wielką chochlę pełną ciepłutkiej krwi.

Zimą zabija się większe reny, bo mięso można zamrozić. Takie surowe, zamrożone mięso struga się potem na cienkie paseczki jak polano na rozpalce. I natychmiast zjada. W ten sposób je się również ryby. Latem, gdy ciepło, wybiera się małe zwierzęta. Patrzy się na kolor sierści – białe potrzebne są na eleganckie zimowe kozuchy i buty.

W tundrze, gdzie przez większość roku nic nie rośnie, surowe mięso i krew to często jedyne źródło witamin. Z renifera przydaje się wszystko, do najmniejszej kosteczki. Skóry – na jeje (pokrycie czumu), ubrania i legowisko. Ze ścięgien robi się nici i liny, z kości – części uprząży. Dlatego rena zabija się, dusząc pętlą zaciskaną na szyi przez dwie osoby. W ten sposób nie zmarnuje się nawet kropła krwi ani nie uszkodzi skóra. Starzy Nieicy odmawiają jedzenia mięsa, jeżeli zwierzę było zabite w inny sposób.

W zależności od pory roku je się grzyby i jagody, jaja (wielkim grzechem jest zabrać ptakom

z gniazda wszystkie jaja!), kaczki, gęsi i – zimą – struganinę, czyli surowe, zamrożone mięso strugane na cieniutkie plasterki. Wielkim przysmakiem są wędzone języki renifera, po które, podobno jeszcze nie tak dawno, Rosjanie potrafili specjalnie przylecieć w tundrę helikopterem.

POLOWANIE NA ROGI

Nawet za życia renifer dostarcza ludziom pożywienia i materiału na narzędzia. Pant dobrze opieczony – bezcenne! Ale wcześniej trzeba nabiegać się z „lassem” w dłoni.

PANTY. MŁODE ROGI

Młode, miękkie rogi wyrastające wiosną, silnie unaczynione i jeszcze niestwardniałe, nazywane są pantami. Pod koniec lipca obcina się je i sprzedaje. Jeszcze parę lat temu przylatywał po nie śmigłowiec, teraz przyjeżdżają specjalnie przystosowane do jazdy w tundrze pojazdy, bo helikopter jest za drogi. Z pantów Rosjanie produkują pantokrin: lek i afrodyzjak.

Renifery łapie się na specjalne lasso. Schwytane zwierzę powala się na ziemię, łapiąc naraz za obie tylne nogi. Panty obwiązuje się mocno linką, u nasady i nad zawiązanym miejscem – ucina. Operacja jest szybka, ale dosyć krwawa. – *Patrz, póki jeszcze mają rogi, jak pięknie wygląda stado!* – zaczepia mnie Jurko, który zazwyczaj jest skory do żartów. – *Wielka szkoda, że nie możemy ich tak zostawić* – dodaje, pochylając się nad kolejnym przerażonym zwierzęciem.

Przez trzy dni, od rana do wieczora, wszyscy – kobiety, mężczyźni, dzieci i ja – zaangażowani są w pracę przy piłowaniu pantów. W stadzie są trzy tysiące renów. Wyobraźcie sobie ten chaos, te krzyki, szczekanie psów i tupot rozpierzchającego się w panice na wszystkie strony stada! Obcięte panty na jedną, wielką gromadę przenoszą dzieci. Wynik zaskakuje i cieszy wszystkich: 800 kilo!

250 rubli za kilogram, bo to druga kategoria pantów. Pierwsza kategoria – to te małe, nierozgałęzione, z końca wiosny – a tutaj już połowa lata. We wrześniu panty przemieniają się w rogi: najpierw u byków, potem u kastratów.

Wieczorem czeka mnie kolejna kulinarna niespodzianka. Rosnące młode rogi pokryte są delikatną skórą porośniętą meszkiem włosków. Między skórą a kością jest cieniutka warstwa pysznego mięsa. Trzymając róg nad płomieniem ogniska opala się włoski, jednocześnie opiekając mięso pod skórą. Wydaje się to proste, ale przekonuję się, że wymaga dużego wyczucia i wprawy, bo całość szybko przemienia się w czarną, spaloną skorupkę przylepioną do kości. Za to dobrze opieczony pant – przepyszny!



NA CHŁODY – PRACA

Kiedy jest chłodno – wciąż trzeba się ruszać, żeby nie zmarznąć. Gorący czaj też jest dobry. W wolnych chwilach kobiety wyprawiają skóry, a każda gospodyni ma na to swój przepis. Wyprawienie skóry to dużo pracy. Ze skóry nóg szyje się rękawice i buty. Ze skóry głowy – dziecięce i męskie podeszwy. Podeszwy szyje się też z małych kawałeczków skóry wykrawanej spomiędzy kopyt: ta jest najtrwalsza. – *No, reny też przecież na niej chodzą* – słusznie zauważa Marina. Duże skóry zużywa się na kozuchy, pokrycie czumu (jeje) i legowiska. Zimą rękawice niszczą się szybko i co dwa

CZUM DWURODZINNY

Stawianie namiotu odbywa się w zgodzie z zasadami przekazywanymi od pokoleń. Wiąże się z tym niejedno tabu. Czum często służy dwóm rodzinom.

tygodnie potrzebne są nowe. Nienieckie rękawice mają jeden palec i są przyszyte do kurtki od strony wierzchu dłoni – tak że można je zdjąć lub założyć jednym, szybkim ruchem.

Kobiety zajmują się – w tym przypadku dosłownie – ogniskiem domowym, a mężczyźni reniferami i polowaniem, ale ten podział nie jest sztywno przestrzegany. Do głównych obowiązków dzieci należy przynoszenie wody i zbieranie krzaków na ogień.

CZUM TO DOM TUNDROWNIKA

Czum (mja) to nieniecki dom: namiot z długich, drewnianych żerdzi pokrytych zimą skórami renów, a w lecie brezentem. U góry czumu jest okrągły otwór. Tędy ucieka dym z ogniska. Budzisz się rano, otwierasz oczy, patrzysz w górę i – już wiesz: niebieskie niebo czy mokry, deszczowy dzień. Jeżeli gospodyni już wstała – trzaska ogień, kipi czaj, a niebo zasnuwa żółtobrazowy dym...

Czum ustawia się tak, aby wejście było po wietrznej. Wtedy wiatr nie wypycha dymu z powrotem do środka. Gdy zmienia się kierunek wiatru, wejście z łatwością można przenieść na przeciwną stronę. Z reguły, wejście do czumu nie powinno być w kierunku, z którego się przyjechało, ani na zachód, bo tak ustawia się czum zmarłego.

Za czumem zawsze są dwie pary sań. Jedne z nich się na nim opierają – to *ngutos han*. Drugie stoją kilka metrów dalej. To *hehe han*, święte sanie. W *hehe han* mieszkają lalki przodków, lalka opiekująca się reniferami i lalka z białej, niedźwiedziej skóry, bóg Jamału.

Jeśli w czumie mieszkają dwie rodziny – mówią o sobie „sąsiedzi”. Gdy w czumie mieszka jedna rodzina i umiera jej członek, rodzina przenosi się na przeciwną, niezamieszkaną stronę, pieleniangy. W czumie są też święte miejsca. Tamtędy, w żadnym przypadku, nie wolno przechodzić kobiecie. Kobiecie również nie wolno przechodzić za saniami *ngutos han* opartymi o czum ani nad żadnym przedmiotem leżącym na ziemi. Takich zakazów dotyczących kobiet jest zresztą znacznie więcej i Nieńcy bacznie mnie obserwują, bo pomimo starań – wciąż o czymś zapominam. Skąd te zasady? – *Bo kobieta jest nieczysta* – słyszę w odpowiedzi.

MEDO Z NIEBA

Medo to gąsienica. Wieczorem, przy przygotowywaniu legowiska, znajdują jedną włochatą, leżącą w górę po żerdzi czumu. Rano znajdują drugą, tuż



przy ognisku. Marina z Ksjustą wkładają ostrożnie gąsienicę, razem z kawałkiem tłuszczu, do pudełka po zapalkach i odnoszą na hehe han za czumem. – *Naje się i sama sobie pójdzie* – komentują. Ja, chociaż nie bardzo wiem, co się dzieje, biegnę za nimi z aparatem, bo na pudełku narysowany jest motyl – całkiem ładny domek dla gąsienicy!

Po chwili jestem świadkiem burzliwej dyskusji po nieniecku. Piję herbatę i nie zwracam uwagi na podniesione głosy, bo i tak nic nie rozumiem. – *Magda, skąd się biorą święte medo?* – odwraca się w moją stronę Nadia. – *To dzieci motyla* – odpowiadam, chociaż w tundrze żadnego motyla jeszcze nie widziałam, a gąsienice też tylko dwie. – *No!* – wykrzykuje triumfalnie Nadia. – *A Babuszka mówi, że medo spadają z nieba! Że raz szyla jeje i jedna spadła – i to prawie na nią.* Jeszcze się kłóci! Momentalnie podnosi się wrzawa, którą staram się przekrzyczeć i naprawić swój błąd: – *Możliwe, możliwe, że jest tak, jak mówi Babuszka!*

W ZAŚWIATY W KLAPKACH

Każdy nieniecki ród ma w tundrze swój cmentarz (halmier). Nieniecy nie zakopują ciał. Zmarłego chowa się w drewnianej skrzyni. Razem z ubranym odświętnie zmarłym zostawia się przedmioty, które należały do niego za życia. Na starym, XIX-wiecznym cmentarzu, w rozpadających się zbutwiały skrzyniach – między czaszkami leżą kolorowe filiżanki, miedziane ozdoby, szklane paciorki, drewniane miski. Przy każdym zmarłym zostawia się jego sanie, obrócone płozami do góry. Reny, które ciągnęły sanie z ciałem, dusi się na cmentarzu i zjada w pożegnalnej gościnie. Ich głowy i nogi pozostają na miejscu, a po roku i po czterech latach rodzina wraca w odwiedzinie – z nowymi reniferami. Nad każdym grobem wisi dzwoneczek. Ten, kto odwiedza cmentarz, powinien pozdrowić zmarłych dzwonieniem.

Na nowym cmentarzu, przy osadzie, zmarli Nieniecy zabierają do grobu to, co przyniosła im ro-

BIAŁY SKARB

Taki renifer to rzadkość. Będą z niego eleganckie buty. Starczy i na kozuch...



syjska cywilizacja: łózka, walizki, krzesła, plastikowe protezy i gumowe klapki.

MAMUT CIĘ ODNAJDZIE

Jamał to wielkie cmentarzysko mamutów. To tutaj, w 2007 roku, nad rzeką Juribiej Nieniec Jurij Chudij znalazł fantastycznie zachowanego mamuta – Lubę. Luba, żona Jury, strasznie się teraz boi. Mamuta w ogóle nie powinno się zabierać, a ten na dodatek został nazwany jej imieniem.

Ja, gdy pewnego dnia wracam ze spaceru po tundrze – rzucam żartem, że szukałam mamutów. Widzę poważniejące twarze. – Ich nie wolno szukać, to przynosi nieszczęście. Mamut, gdy będzie chciał, sam odnajdzie człowieka – wyjaśnia Pasza. Gdy znajdziesz psującego się mamuta – to zły znak.

W TUNDRZE NIE PRZEPROSISZ

W nienieckim języku nie ma słów „proszę”, „dziękuję”, „przepraszam”. Sami Nieńcy się śmieją: – *No bo my tacy jesteśmy niewychowani!* Mazurin, pracownik muzeum w Salechardzie, powie mi potem: – *Popatrz na ich życie. Tundra to nie francuskie salony. Tam nie ma czasu na sentymenty, nie ma czasu na dziękowanie.*

CZAS DO DOMU

– *U was też są internaty dla dzieci, które odlatują na zimę do szkoły?* – niespodziewanie zagaduje mnie ósmioletnia Anżela. Zaskoczona pytaniem, przez chwilę muszę się zastanowić nad odpowiedzią. Do pierwszej klasy dzieci w Rosji idą w wieku siedmiu lat, ale z tundry zabiera się już dzieci sześciolatnie. Przez ten pierwszy, przygotowawczy rok uczą się mówić po rosyjsku. W czumach mówi się po nieniecku, a starzy Nieńcy rosyjskiego nie znają. Ja z babuszką Maszą po pewnym czasie porozumiewam się za pomocą mojego ubogiego, początkującego nienieckiego słownictwa.

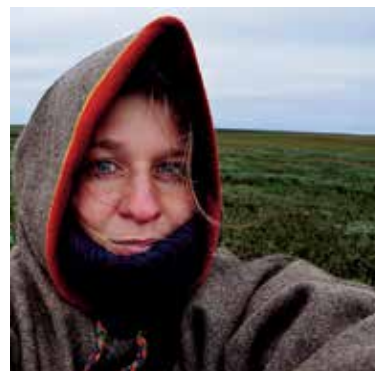
Z dziećmi, pod koniec sierpnia, do cywilizacji wracam też ja. Gdy wsiadam do helikoptera, chciałabym podziękować, ale mogę krzyknąć tylko: *lakamboj – do zobaczenia!* Nieńcy przyjęli mnie jak członka rodziny i pokazali swój malejący świat. Odjeżdżają z Jamału, rozstałam się z serdecznymi przyjaciółmi. I wiecie, co odkryłam? Że pod skórami reniferów, w tundrze, gdzie się nie prosi i nie przeprasza, żyją ludzie dokładnie sami jak my... ○



ZA RENIFEREM

Życie Nieńców to ciągła wędrówka i pogoń.

Magdalena Skopek jest laureatką XIII Ogólnopolskich Spotkań Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów w Gdyni. Nagrodę Kolosa w kategorii Podróże otrzymała za tę wyprawę.





LAKAMBOJ!
Do widzenia,
przyjaciele...



To było wcale nie tak dawno, jakieś cztery lata temu. Stałem na dworcu autobusowym w Dar es Salam i przeżywałem objawienie. Teoretycznie – nie powinno być ono żadnym objawieniem, bo przecież było oczywistością: wokół mnie stali sami czarni ludzie.

ANI JEDNEGO BIAŁEGO...

Jak inaczej miało być, skoro znalazłem się w Tanzanii? Potem, podróżując po Afryce, tygodniami nie widziałem na oczy żadnego białego i przyzwyczałem się do swojego miejsca z boku. Jednak to pierwsze uczucie obcości nigdy nie znikło.

Byłem inny, kompletnie nie pasowałem do otoczenia i po raz pierwszy w życiu dostrzegłem, że jestem biały. Pewnie czarni też odkrywają swój kolor dopiero wtedy, gdy spotykają białych. Zresztą to ich doświadczenie jest na pewno inne niż nasze, nas nigdy w historii kolor skóry nie degradował tak jak ich, nigdy z faktu bycia białym nie wynikało bycie gorszym, wręcz przeciwnie – bycie białym dawało nam, a niektórym do dziś daje przekonanie, że to my jesteśmy „normalni”, a oni – czarni, żółci, czerwoni – odstają od normy.

Żebyśmy nie wiem jak zaprzeczali – kolor skóry ciągle jest najsilniejszym mechanizmem dzielenia się ludzi.

Jako dzieci chyba nie rozróżniamy kolorów skóry, ale dorastając – uczymy się, że białe jest inne niż czarne albo żółte. Zanim pojechałem do Afryki, mieszkałem długo w krajach wieloetnicznych, ale tam kolor skóry działał jakoś łagodniej. W Londynie, Paryżu, czy nawet Nowym Jorku nieustannie mieszanie się ras powoduje, że każdy jakoś mieści się w całości. Wtedy, na dworcu w Dar, było inaczej. Ja wyraźnie nie pasowałem do obrazu, oni wyraźnie tak.

Piszę to wszystko, gdy przyglądamy się codziennie jak na odległych krańcach globu ludzie, których kompletnie nie znamy i których nie rozumiemy – próbują radzić sobie z tym, co przyniosło im życie. Japończycy przeżyli jedną z największych światowych tragedii ostatnich lat zachowując się w sposób dla nas kompletnie

odrealniony. Nie rwą szat, nie przeklinają się nawzajem, nie wrywają sobie z głowy włosy, a z rąk ostatniej torebki ryżu. Stają w kolejce po posiłki, pomagają sobie nawzajem, ratują bliskich i dalszych, odbudowują kraj po przejściu kataklizmu. Są nam obcy z tą swoją pochwałą powściągliwości.

Arabowie obalają po kolei dyktatury, w których żyli latami. Ci w ogóle nie są powściągliwi, wręcz przeciwnie – kierują nimi nieokiełznane emocje. Brak w tym wszystkim planu, przed nimi i przed nami wielka niewiadoma. Do kogo będzie należeć przyszłość w tych krajach? Do takich, którzy nas – białych, bogatych ludzi z Zachodu traktować będą jak współobywateli świata, czy jak wrogów, których trzeba zniszczyć? Zamiast im kibicować w walce z tyranami, boimy się o siebie, bo powszechnie odkrywamy, że jesteśmy im obcy i nie wiemy na co ta obcość się przełoży. Z całym naszym bogactwem, z całą spuścizną cywilizacji, kulturą, religią i

wiedzą możemy stanowić dla nich inspirację albo stać się celem ich ataków.

Wśród sposobów oswojania obcości i strachu przed innym, najlepszym są podróże i spotkania z ludźmi, których nie rozumiemy.

Ciekawe, jak bardzo zmieniło się podejście do podróżowania w bardzo krótkim czasie. Jeszcze niedawno, nie dalej niż jakieś sto lat temu, podróżowaniem zajmowała się najgorsza hołota na świecie. Żłodzię, mordercy, gwałciciele, w najlepszym wypadku – bezdomni, pozbawieni szans na godziwe życie w swoim kraju. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zostawiałyby żony, dzieci, kariery zawodowej, żeby zaszyć się w dżungli wśród ludzi uznawanych powszechnie za dzikich, po to tylko, by po kilku miesiącach, najdalej latach – niemal na pewno umrzeć na malarię albo jakąś



inną zarazę. Normalni biali ludzie siedzieli w domu, prowadzili biznesy, kontakty z dzikimi zostawiając najbardziej odrażającym przedstawicielom swojego gatunku: jakimś Kurtzom i innym bandytom.

Do Afryki albo Australii można było zostać zesłanym, ale nikt poza awanturnikami, nieudacznikami i ogarniętymi obsesją sławy dziwolągami w rodzaju Mungo Parka, Livingstone'a czy Stanleya – nie jechał tam z własnej woli.

Mówię oczywiście o forpoczcie białego człowieka, która szła z Europy na podbój nowych kontynentów. Nasze stosunki z obcymi przez wieki kształtowały głównie najbardziej podli, najgłupszy i pozbawieni wyobraźni ludzie. Można powiedzieć, że to i tak dobrze o nas świadczy. Są przecież całe społeczności i kultury, które w ogóle nie były zainteresowane kontaktem z resztą świata. Chińczycy odgradzili się od innych murem i uważali, że każdy, kto nie urodził się Chińczykiem nie jest do końca człowiekiem. W Afryce nikt nawet nie myślał, żeby przepłynąć morze, aby dowiedzieć się co jest po drugiej stronie; może tylko Arabowie dorównywali nam (a niekiedy przewyższali) zainteresowaniem nowymi światami, a zwłaszcza okrucieństwem wobec ludzi, którzy wyglądali i zachowywali się inaczej niż oni.

My przynajmniej kolonizowaliśmy obcych w dobrych intencjach. Na pomniku Livingstone'a przy wodospadach Wiktorii wykuty jest napis: Commerce, Christianity, Civilization. Czasem chrześcijaństwo wysuwało się przed handel, ale wszystkie nasze starania, to „brzemie”, które musiał dźwigać biały człowiek, służyło cywilizacji. Jednej jedynej i słusznej, cywilizacji białego człowieka, bo innej, jak nam się wówczas wydawało, nie ma.

Dzisiaj oczywiście czasy się zmieniły, na wyprawy podróżnicze nie wyjeżdża hołota, tylko elity. Nie może być inaczej, bo przecież na wyjazd trzeba mieć pieniądze, a to wyklucza ludzi głupich i niezaradnych – dzisiaj tylko mądrzy i zaradni mają pieniądze, prawda?

Wiem, wiem każdy może pojechać, a nawet wakacyjny leń, którego interesuje tylko kąpiel w oceanie i picie piwa w hotelowym pokoju. Albo dziwoląg egocentryk, który nie wie, czemu postanawia przejść Afrykę na piechotę.

Zostawmy na boku egocentryzm i lanserkę. Podróżowanie, które dzisiaj staje się najpopularniejszym sposobem spędzania czasu i wydawania pieniędzy – to także mniej lub bardziej udane próby oswojenia obcego. Z praktyki odrzucenia inności przeszliśmy do fascynacji nią, dzisiaj gotowi jesteśmy poświęcić wiele za obietnicę przygody jaką daje spotkanie z innym. Nie łudźmy się, granica koloru skóry, religii, narodowości będzie trudna, czasem niemożliwa do pokonania. Ale próbować warto. ○

JEDYNY SŁUSZNY KURS PRENUMERATA!

Poznaj Świat

ZAMÓWIENIA PRZYJMUJEMY CAŁY ROK:

mailem: prenumerata@poznaj-swiat.pl

na stronie: www.poznaj-swiat.pl

telefonicznie: 58 3508464



CENA PROMOCYJNA

99 zł

12 NUMERÓW W CENIE 10

Ameryka Północna | Dominikana

DOMINIKA

PO SZCZĘŚLIWSZEJ STRONIE WYSPY



Tekst: **Roman Rojek**

Zdjęcia: **Janusz Kafarski**

NA



Rocznie ponad milion turystów odwiedza i zalega na 30-kilometrowym pasie bielutkich plaż pomiędzy Punta Cana a Bavaro. Tu rozlokowane są dziesiątki luksusowych kurortów oferujących wypoczynek w formule „all-inclusive”. To prawdziwe fabryki wypoczynku. Jeśli fabryki – to taśma, a jeśli taśma – to produkt seryjny. Nie mogą więc dziwić ciągnące się kilometrami plaże, przykryte kolorowymi ręcznikami frotte lub zastawione plastikowymi leżakami na których białe ciała, głównie z Kanady i USA, chłoną słoneczne promieniowanie.



MERENGE LUB BACHATA

Czego nie nauczysz się rano na plaży, tego wieczorem w dyskotecie nie będziesz umiał.

W Nowym Jorku i Toronto jest ta sama godzina, co na Dominikanie, ale gdy tam zimowy wiatr zawiewa śnieżne zasy na próg, tu leciutka bryza znad Morza Karaibskiego i cień wysokich palm, rosnących wprost na plaży, łagodzą żarliwość słonecznych promieni. Dla umęczonych zimą i wczesnowiosennymi roztopami ludów Ameryki Północnej i Europy – Dominikana w okresie od listopada do maja to gwarancja słońca i dobrego samopoczucia. Oba te pragnienia spełniane są tu codziennie w sposób naturalny. Jeśli więc zdarzy się tak, że masz „doła” z powodu czy to nadmiaru tłuszczu, czy niedostat-

ku jedności, przerostu wszystkiego lub braków czegoś – zaoszczędź na terapiach – jedź na Dominikanę! Na plaży spotkasz codziennie dziesiątki tysięcy takich, którzy mają dokładnie te same przywary, lecz nie popadają z tego tytułu w kompleksy. Wręcz przeciwnie, chętnie to eksponują.

Dodatkową zaletą tego typu ośrodków na Dominikanie jest niezwykła skłonność personelu do upijania gości. W kubańskich czy wenezuelskich resortach droga do darmowego drinka obwarowana jest subtelnymi trudnościami: plastikowe kubeczki, zwały lodu, kropla alkoholu i kolejka do baru. Tu w każdym hotelowym sklepiku, oprócz tandetnych pamiątek, możesz, jak większość wypoczywających gości, kupić pół- lub litrowy kubek termostatyczny. Jeśli do tego nauczysz się kilku hiszpańskich słów, pozwalających ci zrobić z twojego kubeczka sensowny użytek, takich jak: ron (rum), claro (biały), dorado (złoty), anejo (dojrzały), Cuba Libre (rum z colą), Coco Loco (rum z mlekiem kokosowym) albo po prostu: Un Servicio (butelka rumu z colą i lodem) – to znak, że wiesz po co przyjechałeś na Punta Cana. Jesteś w mainstreamie. Jedyne niebezpieczeństwo, jakie ci może tu i teraz zagrozić, to





spadające z palm (bez uprzedzenia) orzechy kokosowe.

Polaków przyjeżdża na Dominikanę stosunkowo niewiele. Około trzech tysięcy rocznie. Niskie ceny za dominikańskie luksusy przestają być atrakcyjne, gdy wcześniej trzeba wykupić bilet na prawie dziesięciogodzinny (z Frankfurtu) lot do Punta Cana.

Ci, których spotkałem są zadowoleni i... trochę jednak dziwni. Miły lekarz z Wałbrzycha, jest tu wraz z żoną i dwoma synami już trzeci raz. Co roku wybiera kolejny, sąsiadujący z poprzednim ośrodek. Dzięki temu przez trzy lata przesunął się na plaży o jakieś 400 metrów na zachód.

– *Był pan kiedyś poza murem otaczającym ośrodek?* – spytałem rodaka.

– *Oczywiście. Przecież tam jest droga na lotnisko.* Ta sama droga wiedzie też w głąb kraju. Więc może warto...

CHRYSTUS Z PUERTO PLATA

16-metrowa replika figury Jezusa Odkupiciela z Corcovado w Rio de Janeiro. Tę ustawiono na szczycie Isabel de Torres.

W GŁĄB WYSPY

Gdy już minie lotnisko w Punta Cana, a takich międzynarodowych lotnisk Republika Dominikany posiada 8 (podczas gdy w Polsce, będącej niemal siedmiokrotnie większą republiką, mamy ich 10, jeśli liतोściwie uznać za takie lotnisko w Jasionce pod Rzeszowem), warto skierować się do pierwszego założonego przez Europejczyków miasta w Nowym Świecie, czyli stolicy Dominikany – Santo Domingo. Zanim jednak tam dotrzemy, powinniśmy przynajmniej na chwilę zatrzymać się w miasteczku Higüey. I choć przewodnik Pascala trafnie zauważa, że „jego ulice nie są w stanie niczym zainteresować turystów”, to jednak znajdująca się tu Bazylika de Nuestra Señora de Altigracia jest dla mieszkańców Dominikany tym, czym dla nas Jasna Góra. W bazylice znajduje się, znany z przypadków cudownych uzdrowień, XVI-wieczny obraz Matki Boskiej Najwyższej Łaski, która od 1922 r. jest patronką kraju. Sama budowla jest dość... widoczna. A to dzięki wysokiemu na 80 metrów betonowemu łukowi, wystającemu z dachu. Ten styl architektoniczny zyczliwi ludzie nazywają modernistycznym. Olbrzymie drzwi kate-

**SĄ JESZCZE
WOLNE MIEJSCA
PRZY BASENIE!**

**To musi być
albo drogi hotel,
albo hotel na
Samanie. To
drugie.**

dry odlano z brązu i przedstawiono na nich historię bazyliki, w tym wizytę Jana Pawła II, który w 1992 r. odprawił tu mszę świętą. Prawie 90% mieszkańców Dominikany stanowią katolicy. Ojciec Święty odwiedził ten kraj trzykrotnie. To właśnie dominikańską ziemię ucałował jako pierwszą, wysiadając z samolotu w roku 1979 podczas swej inauguracyjnej, zagranicznej pielgrzymki.

KOLUMB TU BYŁ

Highwayem z Higüey możemy teraz pomknąć wprost do Santo Domingo. Ci, którzy podczas podróży uwielbiają odwiedzać miejsca, w których jest coś „naj-”, będą szczęśliwi. Znajdą tu najstarszą katedrę na terenie obu Ameryk (Catedral de Santa Maria la Menor), pod budowę której kamień węgielny położył Diego Kolumb, syn Krzysztofa.

SANTO DOMINGO

Siesta na Plaza España.

Spacerując wzdłuż rzeki Ozama, wejdą na najstarszą ulicę zachodniej półkuli (Calle de las Damas), a jeśli skręcą na zachód w uliczkę Generała Lupeirona dojdą do ruin najstarszego na kontynencie amerykańskim szpitala. Do kompletu można jeszcze zajrzeć do najstarszego w całej Ameryce uniwersytetu – Universidad Santo Tomás de Aquino, wzniesionego w 1538 r.

Nieco zawiedzeni mogą być natomiast ci spośród turystów, którzy szukają w odwiedzanych miejscach rzeczy „jedynych”. Jeśli bowiem dotrą do „Latarni Kolumba” (El Faro a Colon), gigantycznego mauzoleum odkrywcy, wzniesionego z okazji 500-letniej rocznicy przybycia Kolumba na wyspę Haiti (pamiętać bowiem trzeba, że Republika Dominikana zajmuje dwie trzecie wyspy nazywającej się Haiti, pozostałą część zajmuje Republika Haiti) to przekonają się wprawdzie, że być może jest to je-



UCZ SIĘ JĘZYKÓW!

Większość turystów odwiedzających Dominikanę to Kanadyjczycy i Amerykanie.



dyna tak duża latarnia, która nie świeci. Natomiast, z całą pewnością nie jest to jedyne miejsce na świecie, gdzie pochowany jest Kolumb.

Sama „latarnia” należy chyba do najbardziej kontrowersyjnych budowli Dominikany. Betonowa bryła o długości 220 metrów ma kształt ukośnie położonego krzyża, którego szczyt wznosi się na wysokość 10 pięter. W nocy miało go podświetlać 150 potężnych reflektorów, które na niebie wyświetlały krzyż, ponoć widoczny nawet z oddalonego o 320 km Puerto Rico. Choć inwestycja pochłonęła 100 mln USD i budżet państwa uniósł ją z trudem, to już stołeczna sieć energetyczna nie jest w stanie udźwignąć takiego poboru energii. Ilekroć zapali się latarnię, tylekroć gasną całe dzielnice Santo Domingo. Nic więc dziwnego, że nawet najstarsi miejscowi przewodnicy nie byli w stanie przypomnieć sobie, kiedy ostatnio iluminowano pechową „latarnię”. Zresztą jak pisze Tony Horowitz (Podróż długa i dziwna. Drugie odkrywanie Nowego Świata): „Większość mieszkańców Dominikany wierzy, że Kolumb przynosi pecha. Nawet wspomnienie jego imienia naraża człowieka na nieszczęście. Bardzo niewiele firm ma w nazwie nazwisko sławnego że-

MIASTECZKO SANTA BARBARA DE SAMANA

Gorączka przedwyborcza w tropikach przebiega łagodnie.



glarza, a te, które podjęły takie ryzyko, zbankrutowały”.

Największego pecha przyniósł jednak Kolumb Tainom, pierwszym mieszkańcom tych ziem. Ten przyjazny lud z entuzjazmem przyjął hiszpańskich odkrywców, a po kilku dekadach przestał już istnieć. Zepchnięty przez białych najeźdźców do roli niewolników, masakrowany i wystawiony na przywleczone z Europy choroby (głównie ospę) przepadł na zawsze. Dziś dziedzictwo Tainów stanowią jedynie malowidła skalne w jaskiniach i ceramiczne skorupy w muzeach.

DOMINIKANIE NA DOMINIKANIE

Pamięci wymordowanych Indian poświęcony jest wielki monument stojący przy nadmorskim bulwarze. To postać zakonnika, który przykładając sobie dłoń do ust, krzyczy w stronę morza. Wołający do ryb?

– *Musi to być Bartolomeo de Las Casas* – zakrzyknął towarzyszący nam w wyjeździe zakonnik – To Dominikanin, obrońca Indian. Jego „Krótka relacja o wyniszczeniu Indian”, będąca sprawozdaniem naczelnego świadka, którym był, z ogromu bestialstwa i zbrodni, którego dopuszczali się konkwistadorzy wobec miejscowej ludności, poruszyła sumienie ówczesnego króla Hiszpanii Karola I i zainspirowała go do ustanowienia tzw. Nowego Prawa (1542 r.) – dekretu znoszącego niewolnictwo Indian i chroniącego ich prawa. Nim do tego doszło, Bartolomeo de Las Casas 13 razy przekraczał Ocean,

SPEŁNIONY SEN KLASY ŚREDNIEJ

Kabina na transatlantyku, a na brzegu kasyno i plaża pod palmami – tak też mogą wyglądać wakacje życia.

LAS PALMAS?

Nie, to palmowy las na Samanie.



by przebić się ze swymi racjami. Tym samym, może być patronem zarówno obrońców praw człowieka, jak i podróżników.

– *A może od razu: patronem podróżujących obrońców praw człowieka?* – spytałem ironicznie. Miałem prawo powątpiewać w wiedzę naszego towarzysza podróży, bo właśnie doszukałem się w przewodniku informacji, że stoimy przed pomnikiem... Antonia de Montesinos.

– *A to też zakonnik. I też Dominikanin* – nie dał się uciszyć nasz erudyta – on jako pierwszy, bo już w 1511 r., w trzecią niedzielę Adwentu, wygłosił pamiętną homilię, w której z ambony potępił przesładowania Indian. Jego słuchaczami byli wściekli konkwistadorzy, którzy zaraz po Mszy pobiegli ze skargą do przeora klasztoru. „Co mówi nasz brat Antonio, to myśli cała nasza wspólnota” – odpowiedział im wtedy przeor. A członkiem tej wspólnoty był też de Las Casas.

To, kim narody obstawiają cokoły pomników, zależy nie tyle od historycznych zasług bohaterów, co od bieżących potrzeb polityków. Bartolomeo de las Casas przybył tu wraz z konkwistadorami, Ojciec Montesinos urodził się w Wenezueli. Widać, Dominikana bardziej potrzebowała ciemnoskórego bohatera.



SE VENDE – NA SPRZEDAŻ

Interes trochę podupadły,
ale za to działka
z widokiem na Atlantyk.
Dla zainteresowanych –
kierunkowy na Dominikanę
+1809.

TERROR ZOSTAWIA ŚLADY

Mimo tych historycznych dywagacji warto pamiętać, że stoimy razem z pomnikiem na przepięknym nadmorskim bulwarze, zwanym tu El Malecon. To najbardziej zmysłowa i taneczna ulica w Santo Domingo. Oczywiście, po zmroku. Wtedy dźwięki merengue i bachata, dwóch typowo dominikańskich gatunków muzycznych, zagłuszają wszystko. I dobrze.

Następnego dnia, oszołomieni jeszcze muzyką i dyskusją, która w porę zesła z tematu wyższości jednego wrażliwego zakonnika nad drugim, i przerodziła się w rozważania o wyższości jednego „B” nad pozostałymi, wyruszamy w drogę do Santiago de los Caballeros. Te wspomniane trzy „B” to: Brugal, Bermudez i Barcelo, lokalne firmy produkujące rum i od lat zawzięcie konkurujące między sobą o palmę (trzcinę?) pierwszeństwa.

Z turystycznego punktu widzenia Santiago de los Caballeros tym różni się od Santo Domingo, czym Warszawa różni się od Krakowa. Jedziemy więc dalej, na Przylądek Samana.

Jakieś 30 km na wschód od Santiago, pośród plantacji kawy i kakao znów dopada nas historia tej ziemi. Tym razem najnowsza. Mijamy miasteczko Salcedo, w którym, w dawnym domu sióstr Mirabal urządzono malutkie muzeum przypominające Patrię, Minerwę i Marię Teresę. Siostry sprzeciwiające się krwawej dyktaturze Rafaela Trujillo, który rządził Dominikaną w latach 1930-1961, zostały

wywleczone z samochodu i zakatowane na śmierć na pobliskim polu trzciny cukrowej. Ich śmierć przyspieszyła upadek dyktatora, który był karaibską odmianą Nicolae Ceausescu, z tą głównie różnicą, że mordował swych obywateli w imię idei antykomunistycznych, a jego truchło, a jakże, spoczywa na paryskim cmentarzu Pere Lachaise, zupełnie niedaleko od naszego Chopina.

Ci, którzy chcieliby poznać literacką wersję czasu terroru na Dominikanie mają ku temu dobra okazję. Tegoroczny laureat literackiej nagrody Nobla – Mario Vargas Llosa poświęcił mu swą powieść „Święto kozła”, Julia Alvarez wydała „Czas motyli”, a ostatnio na polskich półkach księgarskich pojawiła się książka Juonota Diaz – „Krótki i niezwykle żywot Oscara Wao”. Dwie pierwsze powieści doczekały się już ekranizacji.

1 MARCA – DZIEŃ, W KTÓRYM WYPŁYNAŁ HUMBĄK

Będzie to dla nas ważna data. Wielu przyjeżdża na Dominikanę właśnie dla podziwiania pływających w wodach zatoki Samana wielorybów. Te dochodzące do 15 m długości i wążące nawet 40 ton ssaki przyplývają tu z północy, w okresie od stycznia do marca. W tych wodach samice zachodzą w ciążę i tu po 12 miesiącach rodzą młode. Oczywiście tylko te, które ujdą spod harpuna norweskich, islandzkich i japońskich wielorybników. Spośród



WIELORYB NA KURSIE!

Na takie hasło niektórzy czekają z taką samą nadzieją, z jaką żeglarze Kolumba czekali na okrzyk „Ziemia, ziemia!”



**LOST. ZAGUBIENI
SEZON 7**

Nasz jest ten
kawałek plaży. Przez
chwilę.





cywilizowanych krajów tylko trzy nacje mordują rocznie kilkaset tych ssaków, z tą różnicą, że Japończycy robią to w celach naukowych. „Co roku łowią blisko tysiąc chronionych ssaków, nie kryjąc się specjalnie z tym, że ich mięso trafia do restauracji i sklepów. Strzelają do wielorybów z działek pokładowych harpunami z głowicami eksplodującymi, włączają zwierzęta pólżywe na linach przy burcie, a potem ćwiartują na pokładzie ogromnego statku przetwórczego” (A. Stanisławska, *Wojna o wieloryby*, Rzeczpospolita, 19.03.2011).

Tymczasem dla normalnego człowieka spotkanie z humbakiem ma w sobie coś mistycznego. Niespotkanie go, też jest sporym przeżyciem. Mieśliśmy okazję doświadczyć obydwóch tych doznań.

Wody zatoki Samana, to nie jest ogród zoologiczny, o czym uprzedza nas kapitan szybkiej łodzi motorowej, którą wczesnym rankiem wypływamy na poszukiwanie pływających kolosów. Ta uwaga oznacza raptem tyle, że równie dobrze możemy dziś nie zobaczyć nic, oprócz wysokiej fali. Łódź mknie jak opętana, przeskakując z jednego grzywacza na drugi albo wpadając w dziurę pomiędzy falami. Wygląda to tak, jakbyśmy mieli gdzieś tam, wśród turkusowych wód umówione spotkanie

z waleniem o godz. 9.43 i spóźnienie nie wchodziło w grę. Po godzinie dzikiej jazdy większość marzy już tylko o „zakończeniu świadczeń”. Nagle maszyny stop! Kołyszymy się w ciszy, oglądając wodę. Po chwili dopływają kolejne łodzie, tworząc krąg. Cisza. Nic, absolutnie nic się nie dzieje. „Rejs”. Nagle walkie-talkie przytwierdzone do pasa kapitana zaczyna skrzeczeć podnieconym głosem. Pełna moc silników! Zwrot przez rufę i znów mknimy w nowe miejsce. Za nami pozostali. Maszyny stop. Czekamy i wypatrujemy. Tak przez trzy godziny. Cała naprzód, na każdy sygnał z krótkofalówki, a potem nic. To wspaniały, dramatyczny spektakl w wykonaniu miejscowych wodniaków. Nawet jeśli przypomina to szukanie czarnego kota w ciemnym pokoju, w którym w dodatku go nie ma – to i tak jest to wielki show w wykonaniu miejscowych artystów-rybaków.

Nagle...

– *Widziales??*

– *Nie, w bucie sznurówka mi się rozwiązała.* ○

HUMBAKI!

Nie ma na świecie drugiego o tym samym wzorze na ognie.



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



W Dolomitach bez oscypka

W drodze na południe Italii, mijając stolicę regionu Trentino – Trento, warto nieco zjechać z drogi i zatrzymać się w którymś z urokliwych miasteczek. Niektóre z nich to kameralne kurorty, korzystające z bogactwa wód zdrojowych, jak choćby Terme di Levico. Do znajdujących się tu arsenowo-żelazistych źródeł przyjeżdżają kuracjusze już od XVI-wieku. Stałymi bywalcami tego kurortu byli Habsburgowie, którzy cenili sobie także mikroklimat miasteczka, położonego, jak nad fiordem, nad jeziorem Lago di Levico. Następne jezioro: Caldonazzo znajduje się nieopodal, za niewielkim wzniesieniem. To właśnie sąsiedztwo jezior i gór ma wpływ na szczególne walory zdrowotne okolicy.

Atrakcją Terme di Levico jest też ponad stuletni park zdrojowy, rosnące w nim egzotyczne drzewa to świadectwo łagodnego miejscowego klimatu.

Ten kurort to dobre miejsce na rodzinny wypoczynek. Może być też celem podróży dla amatorów plenerowych wycieczek. Dla piechurów wytyczona została trasa wokół jeziora. Wiedzie tu także rowerowy szlak Dolomiti Lagorai Bike, poprowadzony przez trzy doliny: Fiemme, Fassa i Valsugana, liczący tysiąc kilometrów rowerowych tras. Prowadzą one brzegami alpejskich jezior, kluczą wśród łąk i lasów, wyprowadzając na wysokość ponad dwóch tysięcy metrów. Można nimi dotrzeć w najbardziej odludne zakątki parku Legorai, podziwiając po drodze majestatyczne skalne ściany masywów Latemar, Catinaccio i Sella. Mówi się o nich, że to jedne z najpiękniejszych gór świata, co potwierdza wpis na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego.



N 46°01' E 11°16'

około 40 kilometrów
na południe od Trentino

NAVIGATOR

Polska Pomorskie

Jak przygoda, to w Przywidzu

Jadąc z Gdańska do Kościerzyny (drogą krajową 222), warto zatrzymać się w Przywidzu. Wieś o starym rodowodzie, sięgającym XIII wieku, przyciąga turystów wieloma atrakcjami. Miejscowe Centrum Sportu i Rekreacji „Zielona Brama” zajmuje ponad 300 hektarów lasów i łąk. Działa tu letni Park Przygody, gdzie można bezpiecznie pojeździć na quadach lub zabawić się w Tarzana, sprawdzając swoją sprawność na rozwieszonych wśród drzew pajączynie z lin. Można też zagrać w paintball, sprawdzić celność oka na strzelnicy lub pojeździć konno.

www.parkprzygody.pl



N 54°11' E 18°19'

30 km na południowy zachód
od Gdańska



Izrael Pustynia Judzka

Biblijne krajobrazy

Znane są lecznicze właściwości kąpiei błotnych i zbawienne działanie powietrza bogatego w bromki nad Morzem Martwym. Kiedy znudzi nam się już dryfowanie po najbardziej zasolonej wodzie na Ziemi, warto zwiedzić pustynię otaczającą morze i zdobyć kolejką linową Masadę – twierdzę żydowską usytuowaną na szczycie niewielkiego płaskowyżu, którego ściany opadają pionowo na kilkaset metrów. Jest to też okazja, aby odkryć surowe oblicze Izraela.

Wielbiciele niedostępnych krajobrazów powinni koniecznie wybrać się na zwiedzanie pustyni jeepem. Duży zapas wody obowiązkowy!



N 31°32' E 35°05'

zachodni brzeg Morza Martwego

Anglia Chester

Chester – stolica hrabstwa Cheshire w zachodniej Anglii to jedno z najstarszych miast Wielkiej Brytanii. Przed dwoma tysiącami lat założyli je Rzymianie.

Okolone murem stare miasto wygląda tak, jakby czas zatrzymał się tu w XVI wieku, gdy na tronie Anglii zasiadała Elżbieta I. To wówczas w cieniu majestatycznej katedry z X-XI wieku została zbudowana większość dwupiętrowych domów o szachulcowej konstrukcji. Ich biało-czarne elewacje dodatkowo zachwycają starannie wykonanymi snycerskimi detalami. Nic więc dziwnego, że Chester zaliczane



N 53°11' W 2°53'

zachodnia Anglia, hrabstwo Cheshire
najbliższe lotniska: Liverpool, Manchester

Pruski mur w angielskim stylu

jest do najpiękniejszych miast w Anglii. W podcieniach kamieniczek mieszczą się sklepy, a nad nimi dostępne z ulicy balkony – połączone ze sobą, umożliwiają przemieszczanie się ponad uliczną ciżbą.

Najbardziej paradne domy stoją wzdłuż Eastgate. Przerzucony nad ulicą ażurowy żeliwny most, zwieńczony zegarem, łączy średniowieczne mury miejskie, z których najwygodniej tropić ciekawe widoki.

Do Chester najłatwiej dojechać z Liverpoolu – to tylko półgodzinna podróż koleją.



Aktywnie w górach

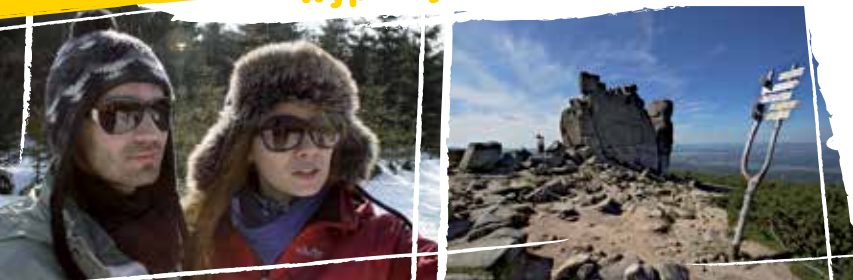
Aktywnie na szlaku turystycznym

Gwarantujemy zapierające dech w piersiach widoki górskich tras Karkonoszy. Na miłośników dwóch kółek czeka ponad 50 km szlaków rowerowych. Gmina Podgórzyn to również skałki do wspinaczki, szlaki do pieszych wycieczek i uprawiania nordic walking, ośrodki jazdy konnej, całoroczny kort tenisowy, hala sportowa i boiska.

Aktywnie z rodziną

Mamy świadomość, że przepiękna przyroda cieszy, kiedy ma się zapewniony odpowiedni standard obcowania z naturą. Na naszych Gości czeka bogata oferta obiektów turystycznych i agroturystycznych. Niewątpliwą atrakcją dla rodzin jest kowbojskie miasteczko „Western City”, przenoszące nas do czasów Dzikiego Zachodu, oraz „Cyrkland”, gdzie spotkamy tygrysa bengalskiego, będziemy mogli pojeździć na wielbłądzie lub wziąć udział w warsztatach sztuki cyrkowej.

Wypoczywaj aktywnie!



Aktywnie z kulturą

Stwarzamy możliwość atrakcyjnego obcowania z kulturą, historią i sztuką. Proponujemy koncerty operowe, symfoniczne i rozrywkowe w otoczeniu kompleksów pałacowo-parkowych. Zachęcamy do wycieczek szlakiem zabytków i historii, obejmujących zwiedzanie m.in. „Doliny Pałaców i Ogrodów”, zabytkowych kościołów i kaplic oraz krzyży pojednania.

Aktywnie ze sportem

Miłośnicy aktywnego wypoczynku mogą uczestniczyć w wielu atrakcyjnych wydarzeniach sportowych. Oto niektóre z nich: cykliczne maratony rowerowe, rozgrywki piłki nożnej, rajdy samochodowe, mecze tenisowe, zawody w biegu na orientację, rozgrywki piłki plażowej, marsz na orientację z psami: „Dog trekking”, kąpiel Morsów pod Wodospadem „Podgórzej”.



Podgórzyn
Gmina przyjazna
z natury

www.podgorzyn.pl

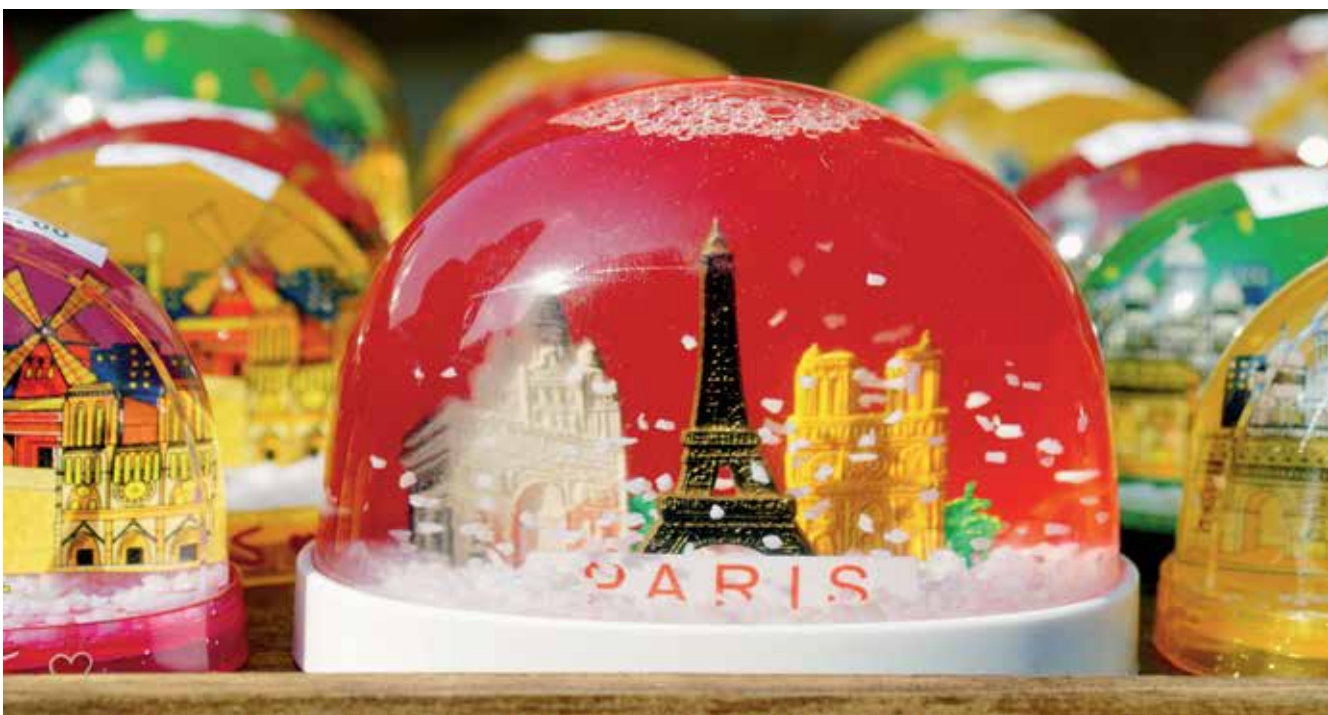


Projekt współfinansowany przez Unię Europejską z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego dla Województwa Dolnośląskiego na lata 2007-2013.



Jak Romeo z Julią, a dzień z nocą –
tak z podróżami związane jest zbieractwo.
Dziękiemu pędowi w poszukiwaniu suwenira uległ chyba każdy.

DROBIAZG ZE ŚWIATA



Zazwyczaj kończy się na chińszczyźnie. Chcąc czy nie – kupujemy dzieciom koszulki z Rzymem czy londyńskie pluszowe misie, doskonale wiedząc, że powstały w Państwie Środka. Niektórzy, co prawda, dają się nabierać na egipskie papirusy czy rosyjskie matryoski spod Pekinu, ale to chyba już mniejszość. Większość tradycyjnych afrykańskich ozdób, sprzedawanych zachwyconym safari turystom, też musiała na Czarny Ląd przepłynąć przez ocean. Cóż, taka karma.

Nasz klient – nasz pan i jeśli zechce kupić w Malawi porcelanowy talerz z namalowanym tygrysem (autentyk!), to my mu go dostarczymy, choćby tygrys był tam równie egzotyczny co niedźwiedź polarny. Jeśli biały turysta uparł się, by z wakacji w Tunezji wrócić z tradycyjną afrykańską maską plemienną – nie ma sprawy, kupi i ją. Globalizacja czyni cuda. Aby się o tym przekonać, nie trzeba pokonywać oceanu. Mój przyjaciel Artur Andrus przywiózł na początku lat 90. pamiątkę z Jasnej Góry.

Była to piękna puszka herbatników z wielkim napisem „Danish cakes”. A na środku pudełka kolorowy obrazek z klasztorem i podpis „Pamiątka z Częstochowy”.

Są prezenty ciut mniej oryginalne, ba, rzekłbym – swą nieoryginalnością się szczyjące. I tak w ramach prezentu można z dowolnego miejsca na Ziemi przywieźć taką fajną szklaną kulkę z wodą i figurką św. Mikołaja w środku – jak się obróci do góry nogami, to na Mikołaja pada śnieg. Super, nie? Wszyscy też wie-

my, że z gór – nie ma znaczenia jakich: Dolomity, Tatry, Świętokrzyskie – przywozi się termometr z górale. To równie oczywiste jak to, że znad morza przywozimy barometr, nieprawdaż?

Najgorzej, jak się człowiek tak zaprze, że odrzuca globalizację i nie chce chińszczyzny (malajszczyzny, hinduszczyzny etc.). Sam tak miałem w Izraelu – uparliśmy się z żoną, że przywieziemy naszej progeniturze coś tamtejszego. Może nieudolnie szukaliśmy, ale zjechaliśmy bez mała cały kraj i nic. Kompletna pustka i rozpacz. Już mieliśmy ulec, ale uratowała nas Mea Szarim, dzielnica chasydów w Jerozolimie, gdzie wszystko musi być ultrakoszerne. A w końcu chasydzi dzieci mają sporo, więc i zabawki jakieś się znalazły. Byliśmy ocaleni.

Zwykle jednak człowiek poddaje się naporowi wszechświatowej tandety bez większego oporu. Gorzej, gdy znajdzie się suvenir przez Azjatów nie produkowany. Niemożliwe? A jednak. W kilku afrykańskich krajach chciałem kupić sobie koszulkę piłkarską tamtejszych reprezentacji. Zachwyceni dopraszającym się towaru kupcem sprzedawcy wiedli mnie do swoich sklepików: proszę bardzo jest Barcelona, jest Milan, Chelsea nawet, reprezentacja Brazylii... A Uganda, Burundi, Zambia? A nie, to niemożliwe, takich koszulek nigdzie nie ma. Cóż, widocznie bracia Chirzycy nie dowieźli.

Kupowanie lokalnych ciuchów tudzież nakryć głowy ma oczywiście wymiar edu-

kacyjny, bo trzeba się od tubylców dowiedzieć, że to śmieszne, co nosi Kirgiz na głowie, to kołpak (właścicielom aut nomenklatura ta wyda się zapewne ciut ekstrawagancka), ale już Uzbek zakłada tiubitejkę. Można je sobie oczywiście nabyć, tak jak i masę innych nikomu niepotrzebnych rzeczy. Z Mongolii przywoziłem sobie (i bratu – krewnych w końcu też trzeba obdarować) wytworne kamizelki i skarpetki z wielbłądziej wełny. Wyglądają fajnie, zapewne są bardzo ciepłe, mają jednak pewien feler – drapią tak potwornie, że z równym powodzeniem mógłbym wręczyć rodzinie włosienicę.

W mojej garderobie znalazła się również ręcznie haftowana koszulka z Kongo (nieprzepuszczająca powietrza, doprawdy w sam raz na upały) czy bluza wietnamskich górali, która dziko farbuje nawet po stukrotnym praniu. Są też hinduskie portki i koszula – prezent od kochającej żony. Te nie farbują, bo są białe, ale rozlały się już po praniu pierwszym. Ale za to kupione na miejscu, nie w supermarkecie.

Wspomaganie ubogich wieśniaków – producentów – podszyte jest zwykle delikatnym poczuciem wyższości: oto ja, zamożny biały, a któż nie jest zamożny w porównaniu z ludźmi wiejskimi za mniej niż dolara dziennie, postanawiam wspomóc ich przedsiębiorczość i zapłacić za coś, nawet jeśli tego nie potrzebuję. Cóż, każdy z nas tak robi i w gruncie rzeczy to dobrze, bo niby jaki jest wybór? Nie kupować nic?

Tyle tylko, że ten obywatelski *fair trade* kończy się zwykle przywiezieniem z Kenii półtora kilograma niepijalnej herbaty (mam jeszcze zapasy, może ktoś reflektuje?) lub koszmarniej kawy. Ale bądźmy sprawiedliwi: dobrą herbatę kupiłem nadal w Londynie. Ani gruzińska (podobno na polach pasły się krowy), ani afrykańska nie nadają się do zaparzenia. To samo wietnamska kawa, której uprawy nauczyli Azjatów Francuzi. Powie mi ktoś znowu, że źle szukałem – zapewne, ale szukałem długo i z zapałem.

W zasadzie nie przewioziłem się tylko na miódzie. Ponieważ moja żona zużywa go tyle, co cała ludność Łotwy – uznaliśmy, że świetnym prezentem jest sprowadzenie jej właśnie miódów. Ostatnie wakacje, to miody z Wiżajin, Suwalszczyzny i Litwy. Ale mieliśmy już wypasione miody akacyjne i kasztanowe z Sycylii, oraz owocowe znad Balatonu, były dzikie miody z Zambii, sprzedawane tam przy drodze w pięciolitrowych butlach po wodzie mineralnej, ale też mikroskopijne słoiczki z Kenii, były baszkirskie miody z barci i ugandyjskie ze zbocza wulkanu Muhabura. Był w końcu kupiony od upiornie niedomytych drwali z Rumunii tamtejszy miód z gór. Nie, proszę się nie martwić, miód pachniał przyzwyczajenie.

To właśnie owe miody przywiodły mnie do twierdzenia, że całe te podróże są tylko po to, by się dobrze najeść tym, czego nie podają w domu. I dobrze się napić, ale o tym innym razem. ○

Reklama



TRAIL.PL

Znajdź szlaki w Twojej okolicy

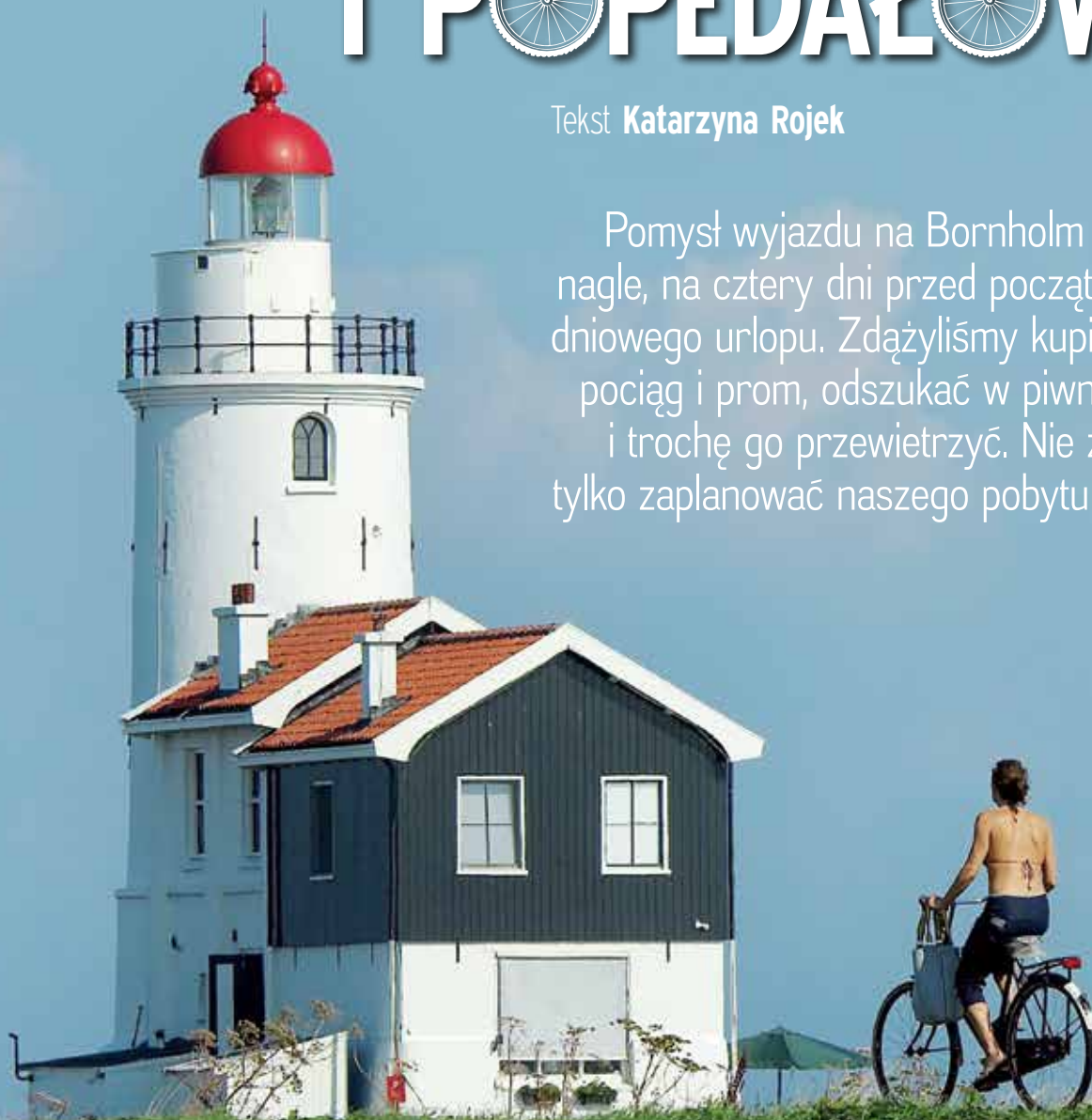
SZUKAJ

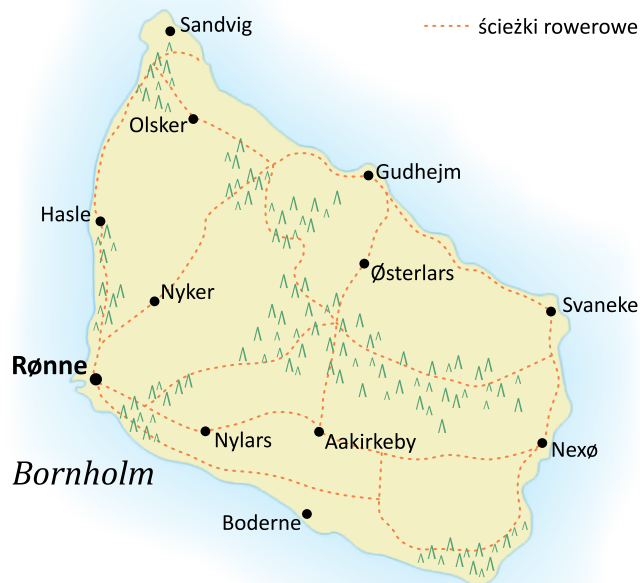


może by tak wpaść, I POPEDAŁOWAĆ

Tekst **Katarzyna Rojek**

Pomysł wyjazdu na Bornholm pojawił się nagle, na cztery dni przed początkiem tygodniowego urlopu. Zdążyliśmy kupić bilety na pociąg i prom, odszukać w piwnicy namiot i trochę go przewietrzyć. Nie zdążyliśmy tylko zaplanować naszego pobytu... i dobrze się stało.





BEZ PLANU, BEZ STRESU, BYLE NIE BEZ SENSU

Podróż warto planować, by w czasie, jaki mamy, zobaczyć jak najwięcej i jak najlepiej poznać odwiedzone miejsce. Z drugiej strony, planowanie wiąże się ze stresem, zwłaszcza gdy na miejscu okazuje się, że plan nie wypala. A na Bornholmie po prostu nie ma potrzeby planowania. Ta niewielka, zbliżona wielkością do powierzchni Warszawy (ok. 600 km²) wyspa jest tak pełna atrakcji, że gdzie się nie ruszyć, na pewno natkniemy się na coś godnego uwagi. Wszystko jest w zasięgu ręki (a już na pewno w zasięgu roweru), wystarczy wstać rano, postanowić, na co ma się ochotę i ruszać – rowerem, pieszo, na rolnkach, autobusem... Możliwości jest wiele, a teraz już wiem, że tydzień to za mało, żeby dobrze poznać wyspę, która dzięki swej różnorodności nazywana jest „Skandynawią w pigułce”.

ILE WARTA JEST KORONA?

Do Nexø dotarliśmy w sobotni rano (przyłączyliśmy z Kołobrzegu, na Bornholm z Polski kursują też promy Ustka-Nexø i Świnoujście-Rønne). Od razu udaliśmy się na poszukiwanie punktu informacji turystycznej, chcieliśmy dowiedzieć się najbardziej podstawowych rzeczy – gdzie możemy rozbić namiot, gdzie wypożyczyć rower, no i najważniejszego... na długiej liście spraw, których nie zdążyliśmy załatwić przed tym spontanicznym wy

jazdem, znalazła się wymiana złotych na duńskie korony. Wcale się tym zresztą nie przejmowaliśmy, bo niby co to za problem wymienić pieniądze na miejscu? I tu praktyczna informacja, której niestety ja nie doszukałam się przeglądając wiadomości na temat Bornholmu przed wyjazdem: podczas weekendu wymienienie pieniędzy to duży problem. Można to zrobić wyłącznie w bankach, a te są w weekend zamknięte, podobnie jak większość sklepów. Sympatyczny pracownik punktu informacji turystycznej bardzo się przejął, kiedy zorientował się w naszej sytuacji.

– Może wymienią wam trochę pieniędzy w sklepie, ale musicie się bardzo spieszyć, zaraz zamykają! A wypożyczalnia rowerów jest kilometr stąd, tylko szybko, bo...

– Tak, rozumiemy, zaraz zamykają.

Wszystko udało nam się w ostatniej chwili załatwić i już na rowerach dotarliśmy do położonego 3 km od Nexø kempingu. Tu brak miejscowych pieniędzy okazał się nie być żadnym problemem dla właściciela. – *Pieniądz to pieniądz, biorę wszystko, euro, dolary, złotówki. Kurs sprawdzimy przez internet, na stronie banku. Możecie też zapłacić kartą.*

STOLICA WYSPY

O ile będzie pogoda, taki widok przywita turystów przybywających promem ze Swinoujścia do Rønne.

MOJA DROGA WYSPA

W Danii obowiązuje zakaz rozbijania namiotów na dziko, ta informacja zmartwi zapewne niejednego turystę... zwłaszcza, kiedy zorientuje się w kempingowych cennikach.



Luiza Chylewska,
Biuro Likwidacji
Szkód Ergo Hestia

Wybierając się w podróż rowerową na Bornholm nie możemy zapomnieć o zabraniu ze sobą dokumentu potwierdzającego numer naszej polisy, okres oraz zakres zawartego przez nas ubezpieczenia na czas podróży. W treści takiego dokumentu znajdują się także niezbędne dane kontaktowe do firmy assistance, która po otrzymaniu od nas informacji o wypadku niezwłocznie zajmie się organizowaniem niezbędnej pomocy. W zależności od rodzaju doznanych przez nas obrażeń możemy liczyć na bezgotówkową pomoc firmy assistance dotyczącą zagwarantowania kosztów leczenia szpitalnego, w tym ewentualnych zabiegów operacyjnych (w przypadku gdy doznamy poważnego urazu wymagającego ich przeprowadzenia) oraz organizację naszego wcześniejszego powrotu do kraju w związku z wypadkiem. W przypadku gdy doznamy drobnego urazu tzw. komisarz awaryjny wskaże nam najbliższą placówkę służby zdrowia, do której będziemy mogli się udać w celu uzyskania pomocy. Poniesione przez nas w takim przypadku koszty związane z poradą ambulatoryjną oraz wykupieniem przepisanych leków zostaną zwrócone przez naszego Ubezpieczyciela po dostarczeniu przez nas niezbędnych do refundacji rachunków oraz dokumentacji medycznej otrzymanej od lekarza udzielającego pomocy za granicą.

Na przyklejonych na ścianach kartkach w kempingu Nexø Familiecamping są też informacje po polsku (a niektóre wyłącznie po polsku! Jak te, że nie ma możliwości korzystania z prysznicza po wymeldowaniu, czy że garnki należy umyć po użyciu). Nasze pole namiotowe znajdowało się nad samutkim brzegiem morza, z drugiej strony mieliśmy widok na, bardzo charakterystyczne dla wyspy, kominy wędzarni ryb. A ponieważ właśnie padało i nie mogliśmy rozbić namiotu, postanowiliśmy najpierw się posilić. Zamówiliśmy miejscowy przysmak, Sol over Bornholm – Słońce Nad Bornholmem, to wędzony śledź (tzw. bornholmer) z grubo mieloną solą, szczypiorkiem, rzodkiewką i surowym żółtkiem. Porcja wielkości spodeczka kosztowała ok. 30 DKK. Tymczasem, jak na zawołanie, nad wyspą wyszło słońce. Można już było rozbijać namiot, niedaleko nas robiła to już inna para. Okazali się być Polakami z Poznania, owładniętymi przemiłą manią dzielenia się z nami jedzeniem. Odtąd już każdego ranka witał nas okrzyk: – Hej, wiara, chodźcie na naleśniki! Przyznam, że my mogliśmy odwdziżyć się tylko, myjąc paletnie (po użyciu).



Z WYSPY NA WYSPĘ

Nieopodal Bornholmu leży Christiansø. Tej wysepki też nie można ominąć, ale rowerem się tu nie pojeździ.

ZDJĘCIA © JAN WINTHER/VISITDENMARKDIGITIZEDK

Bornholm - słoneczna wyspa Danii

DANIA. Wpadnij do sąsiadów!

visitdenmark.com



Bornholmtours

Oferujemy 400 domów wakacyjnych i apartamentów, 30 hoteli, pensjonatów i centrów wakacyjnych a także wiele domków kempingowych. Odwiedź naszą stronę i zaplanuj wycieczkę na Bornholm. Tanie bilety promowe.

www.bornholmtours.com



Promem na Bornholm

Szybko i wygodnie promem z Sassnitz (Rugia/Niemcy) na Bornholm! Prom kursuje od 02.04. do 30.10.2011. Czas podróży ok. 3,5 godz. Ceny biletów w jedną stronę: Pasażer pieszy: od 20 Euro. Samochód + 5 pasażerów – od 107 Euro.

www.bornholmerfaergen.dk



DK-Camp Bornholm

Na Bornholmie znajdziecie jedno z najpiękniejszych miejsc kempingowych w Danii. Możecie spędzić wspaniałe wakacje w bliskim kontakcie z przyrodą, w pobliżu pięknych plaż Bornholmu i ciekawych atrakcji.

www.dkcampbornholm.dk



Feriepartner Bornholm

Więcej domów wakacyjnych w niższej cenie. Indywidualna obsługa. Ponad 300 domów na dłuższe wakacje i na plażowanie w trakcie przedłużonego weekendu. Zobacz nasze domy i łatwo zarezerwuj przez naszą stronę.

www.feriepartner-bornholm.dk



Bornholmhotels

Zapraszamy do przyjemnego pobytu w jednym z naszych dwóch 4**** hoteli: Radisson BLU Fredensborg lub Hotel Griffen. Rezerwacja biletów promowych, lotnicznych, atrakcji turystycznych.

www.bornholmhotels.dk



Novasol Polska

NOVASOL oferuje swoim gościom 500 domów wakacyjnych na słonecznym Bornholmie. Znajdziesz i tradycyjne domki i komfortowe, nowoczesne wille – wszystkie w ciekawych lokalizacjach i doskonałej duńskiej jakości.

www.novasol.pl



Polferries / Team Bornholm

W biurach Polferries oferujemy ośrodki wczasowe i apartamenty cenionej firmy Team Bornholm. Korzystając z oferty pobytowej przed lub po wysokim sezonie oszczędzasz 45%-65%. Połączenie promowe z rabatem.

www.polferries.pl



Visitdenmark.com

Sprawdź jak dojechać na Bornholm, jaka jest aktualna pogoda, gdzie zamieszkać i co warto zobaczyć. Zapisz się by otrzymywać najnowsze informacje, zamów naszą bezpłatną broszurę Dania 2011.

www.visitdenmark.pl



Hotel Ryttergaarden Bornholm

Czterogwiazdkowy hotel na południe od centrum Ronne, w pobliżu dzielnicy handlowej ale także lasu, piaszczystej plaży i pola golfowego. Od lotniska tylko 3 km, a od portu 2 km.

www.hotelryttergaarden.dk



Hotel Balka Strand Bornholm

Idealny dla rodzin na letnie wakacje. Wszystkie pokoje usytuowane są wokół ogrodu i w pobliżu basenu. W odległości 150m znajdują się jedne z najwspanialszych plaż Bornholmu.

www.HotelBalkaStrand.dk

www.visitdenmark.com/wyspa-bornholm



ROWER JEST WIELCE OKEJ

Tak śpiewa Lech Janerka, a mi ten tekst towarzyszył w myślach przez cały pobyt na Bornholmie. Bo ta wyspa, dla rowerzystów jest bardziej niż OK. Łączna długość tras rowerowych to 234 kilome-

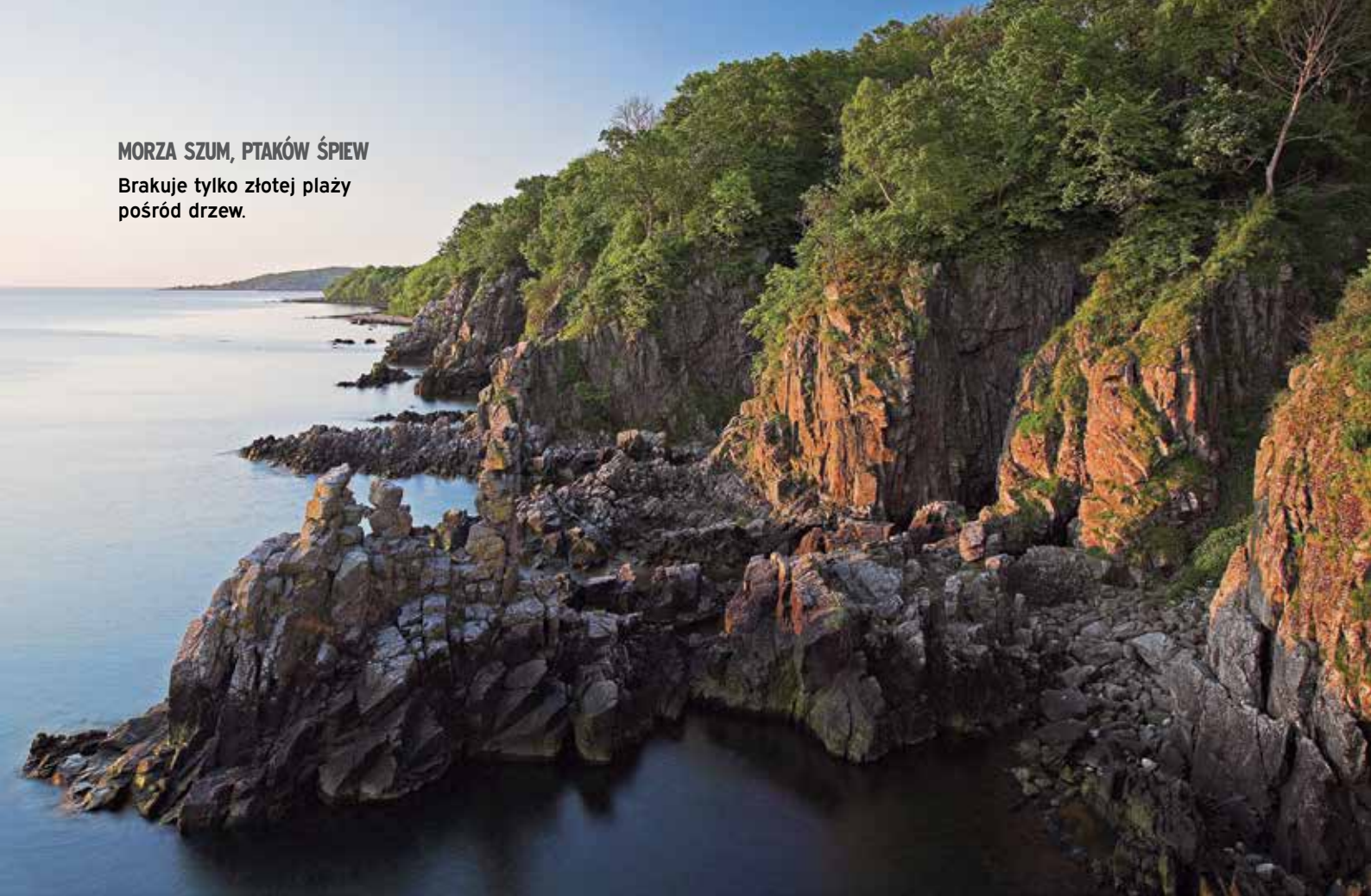
Na początek należy wykupić kartę kempingową za 90 DKK (1 DKK – ok. 0,60 PLN), cena noclegu waha się w zależności od sezonu od 55 do 76 DKK, plus opłata za namiot, 15-35 DKK. Dużo droższe są domki i przyczepy kempingowe. Za to wysoki jest standard kempingów, czystości prysznice (płatne), kuchnia z kilkoma palnikami, lodówką, kuchenką mikrofalową, garnkami i patelniami, świetlica z telewizorem i dostępem do internetu.

try, przeważająca większość jest asfaltowa. Tłem dla rowerowych eskapad są piękne, różnorodne krajobrazy. Miejscami jest płasko, można jechać niemal brzegiem morza i podziwiać wybrzeże, raz piaszczyste, innym razem skaliste. Po pokonaniu niewielkiego wzniesienia, jechaliśmy wśród złotych łąk zbóż (pałającej dzięcielinie brak), a morze widać było daleko w dole. Północna część wyspy jest dużo bardziej górzysta i skalista, a trasy bywają strome, czasem nawet trzeba rower poprowadzić. Sami mieszkańcy wyspy też bardzo chętnie używają rowerów, transportują nimi towary w specjalnych przyczepkach, w innych wożą dzieci. Rowery są tu tak popularne, że w ruchu ulicznym mają zwyczajowe pierwszeństwo. Przekonaliśmy się o tym nie raz, dojeżdżając do skrzyżowań. Kierowcy zatrzymywali samochody i grzecznie czekali, aż niespiesznie przepedalujemy, choć w międzyczasie spokojnie zdążyliby przejechać, nie utrudniając nam przy tym jazdy. Przy okazji wycieczki można też zrobić zakupy na samoobsługowych straganach. Bornholmczycy wystawiają na nich swoje plony i wyroby, my w ten sposób zaopatrzyliśmy się w pyszny miód (nie wiemy, czy nektarowy, czy spadziowy, z etykiety wynikało tylko, że ekologiczny).



MORZA SZUM, PTAKÓW ŚPIEW

Brakuje tylko złotej plaży
pośród drzew.



WIKINGOWIE I TEMPLARIUSZE

Na całej wyspie znajdziemy liczne ślady historyczne. Najstarsze z nich to pochodzące z okresu neolitu grobowce w Lundestenen. Z epoki brązu przetrwały kamienne kręgi i menhiry w Gryet i Louisenlund oraz ryty naskalne w Madsebakke. Niewiele śladów zostawili po sobie wikingowie, ich skarb obejrzeć można w Bornholms Museum w Rønne (wśród srebrnych monet i biżuterii znajduje się polski denar z 1000 roku), w lesie Almindingen znajdziemy też pozostałości ich twierdzy. Dużo ciekawsze są zabytki z okresu średniowiecza, jak romańskie kościołki, a wśród nich wizytówką wyspy – cztery kościoły rotundowe. Wiążą się z nimi tajemnicze historie, jakoby wznieśli je templariusze. Świadczyć o tym mają zdobiące wnętrza kościołów freski, charakterystyczne dla tego zakonu



ROWEROWA BAGAŻÓWKA

Dobytek na pakę
i jazda!

TWIERDZA NA KLIFIE

Hammershus to ruiny największego w północnej Europie zamku.



i rzekome, nieodkryte podziemne pomieszczenia, których istnienie miały wykazać badania – według przewodnika – sejsmiczne. Pozostałością średniowiecza są też ruiny zamku Hammershus. Twierdzę wzniesiono na wysokiej skale, przy krawędzi stromego urwiska i jej pozostałości prezentują się bardzo malowniczo. Malowniczość to niewątpliwa cecha Bornholmu – pobielane kościółki i kominy wędzarni, miasteczka z wąskimi uliczkami i kolorowymi domami, przystanie, do których zawijają liczne jachty i żaglówki. Wszystko to wygląda jak z obrazka, bynajmniej nie Picassa, zwłaszcza, gdy świeci słońce.

W CZASIE DESZCZU

Co robić na wyspie, kiedy pogoda nie dopisuje? Można po prostu założyć płaszcz przeciwdeszczowy i dalej jeździć na rowerze. Są też jednak inne atrakcje, dla bardziej przemakalnych turystów. Jedną z nich jest NaturBornholm, nowoczesne centrum przyrodniczo-edukacyjne w Aakirkeby. Dzięki interaktywnej ekspozycji, można tu w przystępny sposób dowiedzieć się wszystkiego o historii naturalnej wyspy. Dla nas brak pogody był problemem, bo z powodu sztormu odwołano rejsy do Kołobrzegu. Pobyt na wyspie przedłużył się o dwa deszczowe dni, ale Bornholm przypadł nam do gustu tak bardzo, że cieszyliśmy się z każdej spędzonej tam chwili. Z zaduszonego tarasu kempingowej świetlicy oglądaliśmy wzburzone morze, bo w końcu niezbyt często ma się okazję obserwować taki szal żywiołu, a to naprawdę piękny widok, kiedy samemu ma się bezpieczne schronienie. Z falami zmagala się grupa szwedzkich surferów, którzy przyjechali tu specjalnie dla „złej” pogody. Spali w samochodzie, na śniadanie zjedli wiaderko jajek na twardo i cały dzień przesiedzieli w wodzie. Bornholm to miejsce, gdzie można się naprawdę zrelaksować, wypocząć aktywnie lub leniwie. I jedyny plan, jaki do tego jest potrzebny, to plan tras rowerowych. ○

JEDZENIE „PROSTO Z ŁODZI”

Samoobsługowy bar rybny w Snogebæk.

Do Skandynawii? Tylko z...

POLFERRIES



Skandynawskie Inspiracje

SZTOKHOLM EXPRESS

cena od

670 zł/os.

Poznaj Sztokholm - architektoniczny klejnot zbudowany według idealnych proporcji, po jednej trzeciej: akweny, zieleń i infrastruktura. Tu występuje styl skandynawski w wielu odmianach z charakterystyczną formą, kolorystyką i funkcjonalnością.

Wycieczka na linii Gdańsk - Nynäshamn, 2 noclegi na promie, wyżywienie, autokarowe zwiedzanie Sztokholmu, ubezpieczenie.

WEEKEND W KOPENHADZE

cena od

745 zł/os.

Wybierz się z nami do Kopenhagi - miasta, gdzie bajkowość przeplata się z nowoczesnym wzornictwem, będącym częścią narodowej tożsamości i codziennego życia Duńczyków.

Wycieczka na linii Świnoujście-Kopenhaga przez Ystad, miejsce w kabinie, nocleg w hotelu, wyżywienie, zwiedzanie Kopenhagi, autokar, ubezpieczenie.

POZNAJ BORNHOLM

cena od

1056 zł*

Niewielka, niezwykle urokliwa wyspa zwana „Majorką Północy” przyciąga swoim urokiem oraz klimatem. Zasmakujesz tu oryginalnej kuchni, zobaczysz kościoły rotundowe oraz zrelaksujesz się w otoczeniu przepięknej przyrody.

Tygodniowy pobyt w ośrodku Hastle Hytteby dla 4 osób.

*Cena przeliczana z SEK lub DKK według średniomiesięcznego kursu sprzedaży banku BZ WBK S.A.

www.polferreries.pl

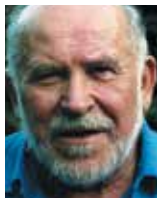
infolinia: 801 003 171

e-mail: info@polferreries.pl


www.poznaj-swiat.pl

MORSKIE BIURA PODRÓŻY





Kolumb odkrył Amerykę w 1492 r. Okręty Magellana wpłynęły na Pacyfik 28 lat później. Obie te wyprawy należały do najważniejszych w dziejach ludzkości. Dzięki Hiszpanom Europa dowiedziała się o istnieniu Nowego Świata.

Pierwsi Polacy na Tajwanie

Portugalczyki, którzy pierwsi opłynęli nasz glob, udowodnili, że Ziemia jest okrągła, a między Ameryką i Azją znajduje się ogromny ocean. Minęły kolejne 24 lata nim natknęli się na wyspę, która dziś znana jest jako Tajwan. Wtedy nie miała żadnej nazwy. Jako pierwszy dostrzegł ją nawigator, który zakrzyknął z bocianiego gniazda Ilha Formosa, co znaczyło piękna wyspa. Tak nazywano ją w większości krajów świata przez ponad 400 lat.

Kolonią portugalską ogłoszona została w roku 1590 r. W 1624 r. wylądowali na Formozie Holendrzy, najwięksi rywale Portugalczyków w Azji, którzy założyli na niej swoje forty.

Do ostrego starcia obydwu żeglarskich nacji doszło w 1635 r. na Półwyspie Malajskim. W wojnę portugalsko-holenderską wplątał się polski szlachcic, Wojciech Męciński, który wstąpił w Rzymie do zakonu jezuitów, a studia teologiczne kontynuował w Portugalii. Postanowił bowiem udać się w celach misyjnych do Japonii, z przystankami w portugalskich koloniach Goa w Indiach i Makau w Chinach. Po drodze trafił do niewoli holenderskiej i został uwięziony na Formozie. Piękno tej wyspy podziwiał zatem przez kraty.

POD PORTUGALSKĄ BANDERĄ

Niezwykłe przygody polskiego misjonarza rozpoczęły się już na statku płynącym do Goa. W Zatoce Gwinejskiej gorączka tropikalna i szkorbut zaczęły dziesiątkować pasażerów. Męciński, mający pewne wiadomości z zakresu medycyny, nabyte prawdopodobnie w Akademii Krakowskiej, a ugruntowane w Rzymie, pełnił rolę pielęgniarza. W Goa zatrudnił się w szpitalu królewskim, w którym zgłębiał arkana medycyny orientalnej. Wzbogacony nowymi doświadczeniami, które miały mu się przydać w pracy misyjnej, ruszył z Indii do Kochinchiny (dzisiejszy Wietnam), a stamtąd do Malakki, gdzie je-



zuici posiadali bazę zaopatrzeniową dla misji w Chinach, Japonii i na Molukach.

Właśnie w tym czasie kalwiński-Holendrzy zaatakowali portugalskich kupców-katolików, pragnąc odebrać im kolejne zamorskie faktorie. Malakka broniła się dzielnie przez pół roku. W czasie oblężenia miasta Męciński udzielał pomocy chorym i rannym mieszkańcom oraz portugalskim żołnierzom. Z oblężenia udało mu się wy dostać na portugalskim statku, który Holendrzy dopędzili u brzegów Chin.

W więzieniu na Formozie uratował życie wielu portugalskim jeńcom. Wyleczył też z ciężkiej choroby syna holenderskiego gubernatora, czym zaskarbił sobie jego wdzięczność. Zarządca wyspy kazał rozkuć go z kajdan. Skierował cennego więźnia do Batawii, stolicy holenderskich Indii Wschodnich (dzisiejszej Indonezji), gdzie miano zadecydować o jego dalszych losach. Po drodze, w jednym z portów indochińskich, udało mu się zbiec ze statku, na rufie którego tym razem powiewała bandera Niderlandów.

Później, w przebraniu Chińczyka dotarł potajemnie do Japonii, gdzie (w Nagasaki) zginął na krzyżu.

W 1770 r. Watykan stwierdził kanonicznie jego męczeństwo. Został wpisany do kalendarza świętobliwych zakonników jezuickich. Do historii wszedł jako pierwszy Polak w Japonii. Warto wiedzieć, że był także pierwszym Polakiem na Formozie. Dzięki niemu stosunki polsko-tajwańskie liczą ponad 370 lat.

POD FLAGĄ RZECZYSPOLITEJ POLSKIEJ

Holendrzy rozwinęli na Formozie uprawę ryżu i trzciny cukrowej. W tym celu sprowadzili na wyspę kilkadziesiąt tysięcy chińskich osadników. Większość z nich należała do ludów Minnan i Hakka. Pierwotna ludność wyspy, pochodzenia austronezyjskiego, została przez nich zasymilowana bądź wyparta w góry. Jej resztki przetrwały do czasów obecnych, w postaci 11 grup etnicznych, których część zamieszkuje w rezerwach.

W siedem lat po przymusowym pobycie pierwszego Polaka na Formozie wyspę zajął jeden z wodzów dynastii mandzurskiej, który wypędził z niej Holendrów. Proklamował niezależne królestwo Dongning. Przetrwało ono tylko 22 lata. W 1683 r. kres jego istnieniu położyły wojska cesarza Kangsi z nowej dynastii Qing. Właśnie wtedy Formoza przyłączona została do Chin.

Napięcia etniczne między aborygenami i rdzennymi Chińczykami, których kolejna fala przybyła teraz na wyspę, spowodowały wiele powstań. Jedno wybuchło pod koniec XVIII w. Traf chciał, że właśnie wtedy do wschodnich brzegów Piękną Wyspę zawiązał statek, na rufie którego powiewała białoczerwona flaga, nigdy dotąd na tych wodach nie oglądana. Jego dowódca podniósł ją, kiedy próbowali go zatrzymać holenderskie okręty, nadal patrolujące Cieśninę Tajwańską, która łączy Morze Południowochińskie z Morzem Wschod-

niochińskim. Wiódł bowiem przez nią ważny szlak morski z kolonii w Indiach Wschodnich do japońskiego portu Nagasaki.

Na strzał ostrzegawczy i wezwanie, aby przedstawił dokumenty statku, jego dowódca odpowiedział salwą czterech armat. W prowadzonym przez siebie pamiętniku napisał: „Wówczas podniosłem banderę Rzeczypospolitej Polskiej i kontynuowałem swój rejs na południe”. Biało-czerwona flaga na drzewcu rufowym przedstawiała czerwony krzyż na białym tle, stanowiący godło konfederatów barskich. A dowodził statkiem jeden z nich, Maurycy Beniowski.

Po ucieczce z Kamczatki na porwanym rosyjskim statku „Św. Piotr i Św. Paweł” Beniowski przez Kuryle, Aleuty i Japonię zmierzał w stronę chińskiego portu Kanton.

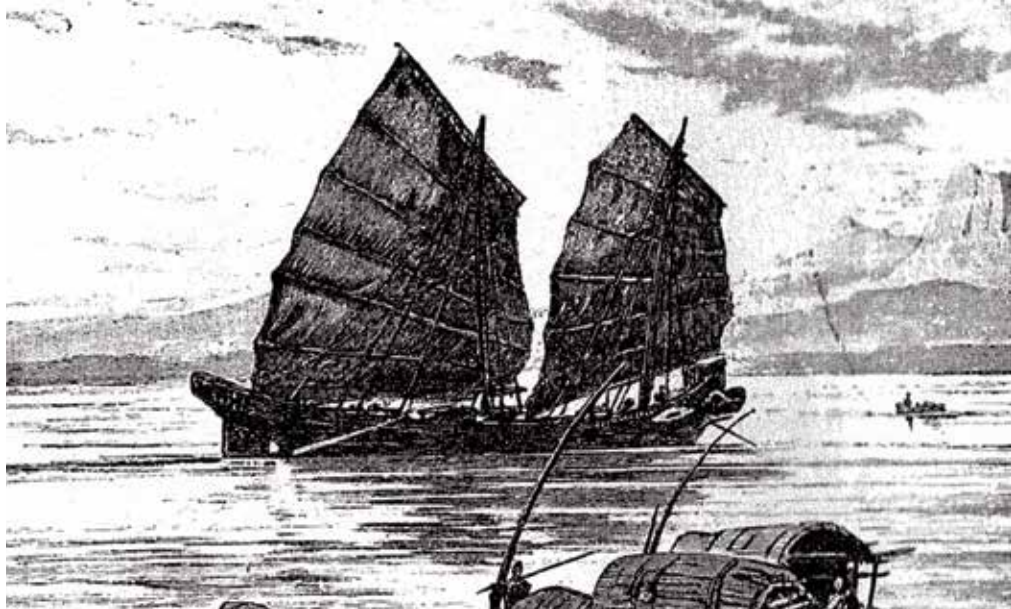
Początkowo nie zamierzał zawijać na Formozę. W XVIII w. sławne były jednak wśród żeglarzy pamiętniki lorda Ansona, angielskiego admirała, który w czasie wojny z Hiszpanią objechał świat dookoła i przedstawił wiele krajów podówczas zupełnie nieznanymi. Zawarł w nich pełen zachwytu opis Formozy. Beniowski zawsze był ciekaw nowych lądów”. Gdziekolwiek przejeżdżał, opisywał okolice. Cieśniny morskie i wyspy oraz ich nazwy, imiona oraz zwyczajne napotkanych ludów i ich władców. Nic dziwnego, że uległ prośbom swojej załogi. Przy okazji mógł uzupełnić zapasy prowiantu i słodkiej wody. 14 sierpnia 1771 r. zanotował: „Zgodnie z życzeniami moich towarzyszy – zmieniłem kurs”.

NIEDOSZŁY POLSKI KRÓL FORMOZY

Pierwsza próba lądowania na północno-wschodnim wybrzeżu Formozy była dla ludzi Beniowskiego niefortunna. Trafili w okolice zamieszkałe przez plemiona stojące na niskim szczeblu rozwoju, należące do rasy malajskiej. Utrzymały one niewolnictwo a kobiety brały udział w walkach u boku swych mężów, zagorzałych łowców głów.

Adiutant Beniowskiego, Rosjanin Kuzniecowa, za otrzymany poczęstunek rozdał wypiarzom noże, ale widząc, że ci szukają z jego ludźmi zwady, zarządził odwrót. Wtedy został zasypywany gradem strzał, które zraniły kilku marynarzy. Musiał więc otworzyć ogień do nieprzyjaciela. Wypiarze ścigali go do brzegu morza, gdzie ich zapal ostatecznie dopiero armatni wystrzały.

Drugie lądowanie odbyło się na wybrzeżu zaludnionym przez plemiona pochodzenia polinezyjskiego, którymi rządził Hiszpan z Manili, nazwiskiem Hieronimo Pacheco. Wyznał on, że schronił się tutaj, ponieważ zabił swoją żonę oraz „zdybanego na niej lokaja”. Miał osobliwy strój, składający się z kapelusza z galonami, cudacznymi butów własnej roboty, sukiennych pończoch i jakiejś miejscowej szaty. Beniowski podarował mu koszulę, „tudzież



pludry”. Odtąd biały naczelnik niepodległego plemienia Vonum okazywał mu na każdym kroku wdzięczność.

W czasie pobytu Beniowskiego na Formozie jej zachodnia część należała do Chin, zaś wschodnia składała się z licznych krajów lennych. Na niektórych terenach żyły niezależne dzikie szczepy. Stolica wyspy znajdowała się w głębi lądu a rządził w niej król Huapa, pozostający w konflikcie z lennikiem chińskim, królem Hapusingi. Z okrętu Beniowskiego na jego ziemie wysłano po wodę kilku marynarzy. Tym razem trzech z nich zamordowano. Beniowski, wspomagany przez dwustu wyspiarzy podległych sprzymierzonemu z nim Hiszpanowi, ruszył pomóc śmierć towarzyszy.

Według jego relacji na polu bitwy pozostało 1150 zabitych, do niewoli wzięto sześciuset wojowników, nie licząc dwustu kobiet. Gdy wiadomość o tym dotarła do króla Huapy, ten wysłał do Beniowskiego z misją przyjaźni swojego generała, ubranego w obcisłą purpurową szatę, spiczasty słonkowy kapelusz z czerwonym buńczukiem z włosia końskiego i buty sporządzone na sposób chiński. Wódz miał u boku szablę, w ręku włócznię, a w kołczanie na plecach 25 strzał.

„Wojska, którym przewodził – pisze Beniowski – były prawie nagie, przepasane tylko na biodrach jakąś błękitną materią”. Wkrótce zjawił się u niego sam król Huapa, który umyślił sobie, że wykorzysta bitnych cudzoziemców do rozprawy ze swym rywalem, królem Hapusingi. W zamian obiecał Beniowskiemu tytuł króla i jedną ze swych prowincji w dożywotne władanie, a w wypadku przepędzenia Chińczyków – koronę całej wyspy i rządy absolutne nad nią.

Tak więc Beniowski, zanim ogłosił się królem Madagaskaru, mógł zostać królem Formozy. Ale przyjął tylko część propozycji Huapy. Pomógł mu w załatwieniu rachunków z Hapusingą, chociaż ten otrzymał od Chińczyków pięćdziesięciu ludzi uzbrojonych w muszkiety. O wyniku bitwy zdecydowały

armaty Beniowskiego. Uszczęśliwiony Huapa obdarował Beniowskiego diamentami, szkatułką złotych monet o wadze trzynastu funtów, siódmym wysadzonym perłami, szablą, cennymi kobiercami, ośmiu centnarami srebra i dwunastoma funtami złota. Pobyt Beniowskiego na Formozie trwał tylko 17 dni, ale jakże różnił się od półrocznej niewoli Męcińskiego.

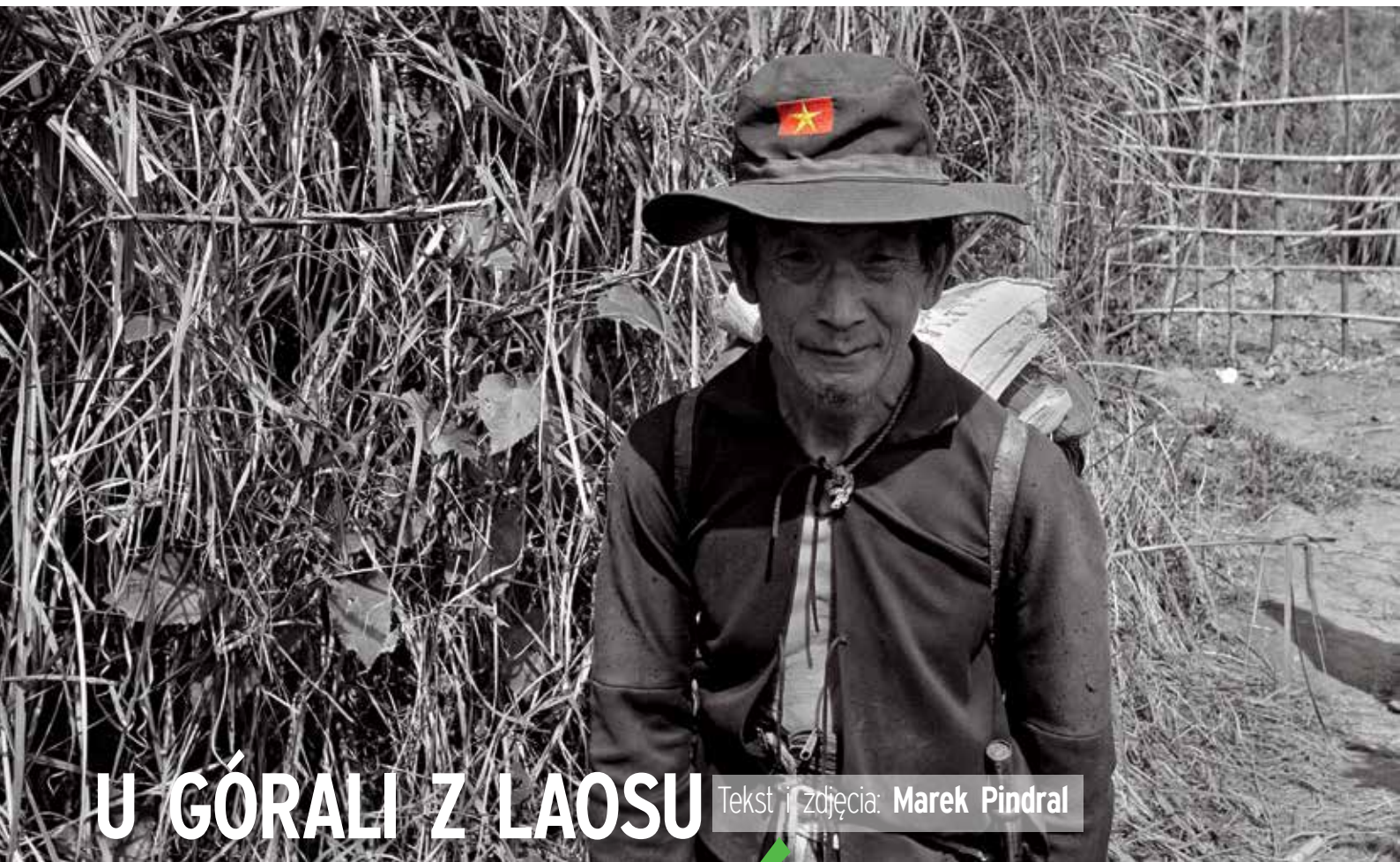
PRAWDA CZY FANTAZJA?

Beniowski często koloryzował swoje opowieści. Zarzucano mu, że „przez całe życie z dużych rzeczy robił jeszcze większe”, a w „Pamiętnikach” sam stworzył swoją legendę.

„Pamiętniki”, pisał po francusku. Ich pierwsze wydanie ukazało się w Londynie w 1790 r., w cztery lata po jego śmierci, a ich pełny tytuł brzmiał „Memoirs and Travels of Mauritius Augustus Count of Benyowsky”.

Wspomnienia jego analizowali uczeni angielscy, francuscy, niemieccy, polscy, rosyjscy, węgierscy i słowaccy. To, co jedni kwestionowali jako wytwór wyobraźni, drudzy potwierdzali, powołując się na znalezione w archiwach niepodważalne dokumenty. Pobyt Beniowskiego na Formozie zweryfikował angielski kapitan Stevens, który spędził na tej wyspie i jej morzach znaczną część swego życia. Nazywał polskiego żeglarza „żołnierzem pełnym honoru, mówiącym rzetelną prawdę”. Znany historyk marynisty Jerzy Pertek twierdzi, że Beniowski zamierzał osiedlić się na Formozie. W końcu jednak wybrał Madagaskar.

P.S. Następny Polak przyplłynął na Tajwan pod banderą cesarsko-królewskiej floty władcy Austrii i Węgier, Franciszka Józefa I. Był nim Stanisław Bobelak. Słowniki podróżników polskich odnotowują, że w latach 1884/85 na kanonierce „Nautilus” odbył on półtoraroczną podróż dookoła świata, w czasie której trafił na tę wyspę. Swoje liczne podróże do egzotycznych krajów opisał w latach 1902-1904 w miesięczniku „Naokoło Świata”. Nie udało mi się jednak odnaleźć jego wspomnień z Tajwanu. ○



U GÓRALI Z LAOSU Tekst i zdjęcia: **Marek Pindral**

WSZYSTCYŚMY Z TEJ DZUNGLI

Gdzieś tam daleko pozostała złota świątynia That Luang. Najświętsza w Laosie. I liczne inne wspaniałe budowle. Nie tym razem! Atrakcje stołecznego Vientiane pozostawiam na inną okazję. Jadę do górskich plemion – Hmongów i Khamów.

Kierunek – „złoty trójkąt”!



Na zaspanych jeszcze uliczkach Luangprabang zaczęli pojawiać się pomarańczowi mnisi. Ranki są dla nich ważne, bo dzięki temu, czym wypełnią się wtedy ich miski, będą mogli przetrwać dzień bez burczenia w brzuchach.

Dla tych, którzy im te miski wypełniają, takie poranki dają z kolei okazję do spełnienia dobrego uczynku i przygotowania sobie lepszego, następnego wcielenia. Dla mnie poranek to zawsze początek podróży: do sklepu za rogiem, do pracy, albo – tak, jak dziś – do dżungli.

Dżip podskakuje co chwila na wyboistej drodze, w baniakach bulgoczą zapasy wody, a w żółtku sadowi się miłe podniecenie, przyprawione szczyptą niepewności i zaciekawienia: jacy będą tutejsi górale, żyjący tak daleko od miast i tak blisko tego, czym ziemia była, zanim owe miasta powstały?

ZDECHŁA MYSZ W SKARPECIE

Jedno pytanie goniło w mojej głowie następne, a za oknem murowane budynki ustępowały miejsca drewnianym chatom. Kiście małych, słodkich bananów, grzywiaste ananasy czy olbrzymie owoce drzewa bochenkowego (których waga może dochodzić nawet do 30 kilogramów!) zaczęły się – w miarę pokonywania przez nas kolejnych kilometrów – przemieszczać po drogach nie w bagażnikach samochodów, ale w wyplatanych koszach, które Laotańczycy zawieszają na długich kijach i z wielką gracją noszą na ramionach.

Tu mała przestroga: owoce bochenkowca można łatwo pomylić z durianem (jest mniejszy

i pokryty grubszymi kolcami). Obydwa są jadalne, z tym, że tego drugiego spotykają czasami szykany – niektóre hotele zakazują ich przynoszenia. Powód? Hmm... ciekawego w smaku mięszu (migdały? ser? cebula? sherry?) broni zaciekle zapach, który kojarzy mi się z tym, co może wydobywać się po kilku dniach z sera, umieszczonego w starej skarpecie, w której na dodatek padła z przejedzenia pazerna mysz.

Wszystko ma jednak w przyrodzie swoje uzasadnienie – ten zapach musi się w dżungli przebić przez setki innych, żeby zwabić potencjalnych przewoźników nasion. Szczególnie pożądana są najwięksi „tragarze”, ze słoniami włącznie, bo nasiona przechodzą przez ich przewody pokarmowe praktycznie nietknięte i wydalane są ze sporym zasobem tego, co kielkom będzie potrzebne do wzrostu.

Podróż samochodem dobiegła końca i plecak powędrował tam, gdzie mu najwygodniej, czyli na moje plecy. Yae, przewodnik z plemienia Hmong, maczetą wskazał kierunek marszu. Zatem – w drogę!

ZŁOTY TRÓJKĄT

Pod nogami chrupią wielkie, zeschnięte liście, które drzewa tekowe zrzucają od listopada do stycznia – czyli w porze suchej, najlepszej do wędrowek po Laosie. Jeszcze sto lat temu ten kraj w prawie trzech czwartych pokryty był lasem. Dziś to jedynie 10 procent jego powierzchni! To skutek nie tylko rabunkowej wycinki (drewno tekowe, ze względu na swoje właściwości wodoodporne, było chętnie wykorzystywane do budowy statków, wagonów kolejowych, mebli), ale i masowego wypalania drzew pod uprawy kawy, ryżu czy jednej z odmian maku, z której produkuje się opium. To wszak pogranicze Laosu, Birmy i Tajlandii, które w związku z handlem opium i heroiną zyskało przydomek „złotego trójkąta”. Dziś rządy tych krajów starają się nakłonić ludy mieszkające na owych trudnodostępnych terenach do zmiany charakteru upraw. Daje to już pewne efekty, szczególnie w Tajlandii i Laosie.

Gęsty las skutecznie chroni

LEPIEJ UPEWNIJ SIĘ...

Zamiast bochenkowca możesz trafić na durian. Spójrz poniżej: lepiej wiedzieć, jak wygląda!



przed promieniami słońca, ale kiedy przechodzimy przez polanę czy pole uprawne – pieką one dotkliwie. Po drodze mijamy staruszkę z koszem na plecach i pięcioramienną gwiazdą na czapce. Poparcie dla Pathet Lao, partii komunistycznej, wzrosło tu szczególnie po amerykańskich nalotach dywanowych (między 1965 a 1973 rokiem), będących odwetem za obecność Wietnamczyków na tych terenach. Jednak, kiedy dwa lata później komuniści przejęli ostatecznie władzę – co dziesiąty Laotańczyk zbiegł z kraju, a wielu górali, głównie z ludu Hmong, spotkały się antykomunistyczne przekonania brutalne represje. Przesiedlano wtedy całe wioski, próbując zaprowadzić na lokalnymi rebeliami.

KRAJ MILIONA SŁONI?

Docieramy do Nam Khan – rzeka leniwie toczy swoje szare wody, w których dostojnie brną tak samo szare słonie z belami drewna w zaciśniętych trąbach (jeszcze dziś niektórzy używają starej, XV-wiecznej nazwy tego kraju – Lan Xang, czyli Ziemia Miliona Słoni). Razem z kobietami w pasiastych spódnicach, kolorowych bluzkach i czarnych chustach na głowach (panny najczęściej nie zakrywają włosów), ich tobołkami i dziećmi – przepławiamy się na drugi brzeg. Łodzie, którymi płynię-



my, są bardzo wąskie, przez co łatwo stracić w nich równowagę, więc „tyczkarz”, który napędza łódź, odpychając się od dna długim, drewnianym drągami, krzykami usadza wiercipiętów, przez których przechylamy się zbyt często raz na prawo, raz na lewo. Po drodze mijamy półnagich rybaków, zarzucających sieci z takich samych jak nasza, wąskich łodzi oraz poszukiwaczy złota, siedzących na mielniach i przetrząsających z iskierką nadziei w oczach swoje sита. Na brzegach coraz mniej bosonogich chłopów, a dżungla zaczyna schodzić bliżej rzeki, aż ostatecznie korzenie drzew zanurzają się w jej toni.

CISZA...

Wyskakujemy wreszcie z łodzi i od tej pory możemy już liczyć tylko na transport własnych nóg. Na litość słońca (choć to przecież zima) nie ma co liczyć i już po chwili czuję się znów, jak maszerująca parówka, przypalana żarem z góry. Na szczęście po godzinie marszu zanurzamy się w gęstwinie lasu. Ulga. Ale tylko na chwilę, bo ścieżka zaczyna prowadzić coraz bardziej w górę, a dżungla z każdym krokiem gęstnieje.

Jest parno. Z wędliny zamieniam się teraz w mokrą ścierkę. Pot zalewa czoło i oczy. Trudno fotografować. Sprawy nie ułatwia deficyt światła. Wszystko zmienia się jednak jak po zaklęciu szamana, kiedy wchodzimy na chwilę w otwartą przestrzeń: przed oczami i obiektywem mam wtedy zalane słońcem zielone morze, uformowane w wapiennych skał, porośniętych soczystą dżunglą. I tak, jak na prawdziwym morzu, owe górskie fale są i łagodne, i wzburzone, i poszarpane. Niektóre

MILION SŁONI?

To już przeszłość. Wciąż są jednak elementem krajobrazu, a ich siła nadal bywa wykorzystywana w służbie człowiekowi.





ZMYLIĆ DUCHA

Świat Khamów jest ich pełen. Ludzie żyją w pokorze i szacunku dla magii, sił natury i duchów przodków. Jednak, wracając z pogrzebu, lepiej pokrążyć po okolicy, aby je zmylić i nie sprowadzić do siebie.

dawno temu wyskoczyły wysoko, ponad inne i tak zastygły... Pstryk, pstryk – karta pamięci gromadzi coraz więcej wrażeń.

Znowu pod górę. Błotnista ścieżka zamienia się w skalny szlak. Ja, w wodoodpornych, trekkingowych butach z antypoślizgową podeszwą, a Yae... w kłapkach. Zresztą po drodze miałem ludzi, którzy nie potrzebowali żadnej ochrony dla swoich stóp, nawet przed ostro zakończonymi kamieniami – zwinnie (i szybciej niż my) dreptali do swoich wiosek, machając nam wesoło.

Mojego przewodnika właśnie rzuciła dziewczyna, więc trudno byłoby go nazwać chodzącą po dżungli radością. Ciekawie relacje damsko-męskie rozwiązuje społeczność Khamu (właśnie wchodziśmy do jednej z ich wiosek). Młodzi chłopcy mieszkają we wspólnym domu i składają nocne wizyty pannom na wydaniu. Kiedy w brzuchu dziewczyny pojawi się mały Khamuczek, rodziny zaczynają pertraktacje...

WSZYSTKO SIĘ ŁĄCZY

Siadamy, żeby coś zjeść. Rozglądam się dookoła. Khamowie, do których właśnie dotarliśmy, budują swoje domy na drewnianych palach, ściany zrobione są z bambusowych mat i nie mają okien. Tradycyjnie powinny być w nich dwa pomieszczenia – jedno dla niezamężnych dziewczyn i drugie, dla reszty rodziny.

Kiedyś Khamowie traktowani byli przez Laotańczyków jak niewolnicy i choć dziś dochodzi coraz częściej do małżeństw mieszanych, to ludzie mają tu jednak wciąż silne poczucie więzi

plemiennej – wspólnie pracują w polu (zbieranie ryżu to zadanie dla kobiet), a swoje tradycje przekazują ustnie w czasie wieczornych zgromadzeń przy ognisku. Z ust do ust wędruje wtedy także opiumowa fajka, dziś zastępowana coraz częściej tytoniową.

Na szczycie wioskowej hierarchii stoi starszyzna, która rozstrzyga ewentualne spory, ale poważaniem cieszą się też szamani i uzdrowiciele. Jest jeszcze wioskowy kapłan i rodzaj wójta, którego kandydaturę wysuwa rząd.

Wielu Khamów wciąż pokrywa swoje ciała tatuażami – geometrycznymi wzorami zdobią ręce i nogi. Robią to nie tylko z powodów specyficznie pojętej estetyki, ale także z przyczyn religijnych, bo ich świat pełen jest duchów (hrroy poop i hroy suu mogą zaważać człowiekiem i zamienić go w kogoś niebezpiecznego) i magicznych praktyk, z przepowiadaniem przyszłości i rzucaniem uroków włącznie. Khamowie wierzą też, że ducha mają dom, las, woda, pioruny, wiatr czy niebo. Podobna mi się takie postrzeganie świata, bo skłania do okazywania mu szacunku i pamiętania, że jesteśmy naczyniami połączonymi. Połączeni jesteśmy nawet z duchami tych, którzy odeszli. Mogą oni nas jednak czasami niepokoić i dlatego Khamowie, wracając z leśnego pochówku do domów, zataczają dla ich zmylenia szerokie koła.

W STRONĘ LUDU HMONG

Kiedy kończyłem posiłek, z lasu wyszły nie duchy, ale trzech mężczyzn z karabinami na ramionach. To częsty tu widok – mogą być z ludu Khamu albo Hmong (są nierzadko sąsiadami i wiedzą, że „sąd

sądem, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie”), albo rządowymi strażnikami, starającymi się zapobiegać lokalnym waśniom bądź też zwalczać kłusowników. Równie dobrze mogą być owymi kłusownikami.

Tych ostatnich spotykałem w czasie wędrówki najczęściej, bo mimo rządowego zakazu polowań na dziką zwierzynę – niełatwo ich złapać. Swoją ręcznie robioną broń chowają w dżungli, a tutejsze okolice są trudno dostępne. Poza tym, Laos to wciąż jedno z najbiedniejszych państw Azji, więc te dzikie polowania na dziką zwierzynę są nadal ważnym sposobem zdobywania pożywienia.

Kolejnym celem mojej wędrówki jest wioska Hmongów. Maczeta raz po raz idzie w ruch, bo od co najmniej roku nikt nie wędrował tym szlakiem,

więc zdążył on już pozarastać. Gubimy ścieżkę, ale dość szybko odnajdujemy się w tym zielonym labiryncie. Jest ślisko, bo idziemy teraz pod górę, w nurcie strumienia. Mokro w powietrzu, mokry ja, mokro pod nogami. Królestwo za coś suchego!

Pod wieczór schodzimy wreszcie w dół na pierwsze od wielu godzin poletka i spotykamy pochylone nad ziemią postacie w wielkich, plecionych kapeluszach. Jeszcze kilka podejść i zejść, i będziemy na miejscu.

Hmongowie pochodzą z Chin, skąd byli wypierani przez coraz bardziej ekspansywny naród Han. W XIX wieku dotarli do Laosu. Jak wszyscy górale, są dzielnym, zahartowanym ludem (powstawali m.in. przeciwko Francuzom). Dziś mają poczucie zapomnienia i wiele pretensji do Amerykanów. To w wielkiej części z nich właśnie CIA utworzyła tajną, antykomunistyczną armię pod wodzą generała armii królewskiej, Vang Pao, Hmonga z pochodzenia. Jej zadaniem było przerwanie szlaku, którym przez Laos docierała pomoc dla Viet Congu (płacono im po 5 tysięcy kip – około dwóch dzisiejszych złotych – od pary uszu zabitego komunisty) oraz ratowanie amerykań-



LAS SPIZARNIA

**Kiedy w domu
bieda, żadna siła
nie powstrzyma
kłusownictwa.
Uzbrojonych ludzi
łatwo spotkać
w dżungli.**



skich lotników, zestrzelonych nad dżunglą. Kiedy w 1973 roku Amerykanie rozpoczęli ewakuację – zostawili swoich laotańskich sprzymierzeńców na pastwę komunistów (Vang Pao uciekł do Tajlandii, skąd potem wyemigrował do USA). Niektórzy się poddali, ale wielu kontynuowało walkę wierząc, że uda im się stworzyć własne królestwo. Rebelia Hmongów została zdławiona i ci, którym nie udało się uciec z kraju (uciekają zresztą nadal), zostali wysłani do obozów reedukacyjnych. Wielu z nich zmarło tam z wycieńczenia pracą albo z powodu ciężkich warunków życia. Dziś Hmongowie walczą już tylko o przetrwanie.

WSZYSCYŚMY Z TEJ DŻUNGLI

Wchodzę do wioski. Pierwsze, co rzuca się od razu w oczy, to potworna bieda. Nagi chłopczyk chwytą moją butelkę z wodą i ucieka. Inne dzieci ściskają w dłoniach grudki lepkiego ryżu. Ubrania dziurawe albo niedbale połatane, strasznie brudne. Przed chatami rodziny wyplatają z gałązek zielone miotłki na sprzedaż. Z czegoś muszą żyć! Stać ich na bardzo niewiele, nawet noże czy narzędzia do pracy w polu muszą sobie wyrabiać sami. Żelazo wytapiają na miejscu, bo ich gleby są na szczęście bogate w jego związki. Są jednak ubogie w próchnicę (dużo opadów) – przez co niezbyt urodzajne i niełatwe do uprawy. Tę trudność dodatkowo komplikuje fakt, że nie wszystkie obszary zostały przez saperów oczyszczone z niewypałów. Wiele łusek po amerykańskich bombach znalazło dziś zresztą swoje nowe zastosowanie – nabite na drewniany kołek są znakomitą kowadłem...

Słońce powoli chowa się za górami. Ktoś rozpała ognisko, kobiety przesiewają ryż. Do brzuchów dorośli przywiązują kraciastą tkaniną małe dzieci...

Hmongów można podzielić na prawie 20 klanów, dzieci zostają automatycznie członkami klanu ojca, podobnie jak ich matki, które zachowują jednak nazwisko rodowe. Nie można poślubić członka tego samego klanu, ale np. krewnych, którzy należą do innego – już tak! Chłopak, jeśli upatrzył sobie kandydatkę na żonę, powinien ją porwać, po czym wysłać przez posłańców wiadomość do jej rodziców.

Członkowie klanu powinni zaopiekować się każdą kobietą i dziećmi, kiedy ta straci męża. Wdowa ma też prawo do ponownego zamążpójścia.

Hmongowie czczą duchy przodków, uważają, że zamieszkują one zarówno świat żywy, jak i nieożywiony, np. wejścia do domostw. Żeby zjednać



BIEDA

Ubogie gleby, ziemia pełna niewypałów, daleko od turystów... Ciężko żyć.





sobie ich przychylność, składają w ofierze żywność i skserowane pieniądze. Utrzymują, że każdy z nas ma kilka dusz – główna odradza się po śmierci, inna wraca do domu przodków, jeszcze inna zostaje przy grobie zmarłego. Jeśli harmonia między nimi zostaje zachwiana, chorujemy. Starszyzna organizuje wtedy ceremonię, która ma zapewnić wewnętrzny porządek.

Po świecie ziemskim z całą pewnością bardzo szybko przemieszcza się też gra, wynaleziona przez Chińczyków – biega się w niej za piłką, którą trzeba kopnąć między dwie sztachety przeciwnika. To nic, że czasem nie ma trawy – czerwone klepisko wystarczy! To nic, że brak koszulek i szortów! Kto by się też przejmował, że nie ma bramek ani nawet porządnej piłki?! Jest kilku umorusanych maluchów, jest szmacianka i chęć zabawy, bo widownia, choć jednoosobowa, jest dziś międzynarodowa (to ja!). Gooooool!

Umywszy się lodowatą wodą z górskiego strumienia, zaciągnąłem nad sobą moskitierę, wtuliłem w gruby koc i zacząłem zastanawiać, co przyniesie kolejny dzień. Wędrując po świecie od lat wiem, że dostarczy wiele nowych wrażeń. Ale czy będą aż tak odmienne od tego, czego doświadczam? Czy ludzie będą naprawdę aż tak inni? Czy ich pragnienia będą się różniły od moich? Chyba nie, bo przecież wszyscy mieszkamy w tej samej dżungli... ○

CZAS KĄPIELI, CZAS RELAKSU

**Choć na co dzień
bywa różnie – górę
bierze radość życia.**

CYKL ZAWODÓW CROSS - COUNTRY

AZS MTB CUP



9 KWIETNIA WARSZAWA



7 MAJA PRZESIEKA



5 CZERWCA PIWNICZNA - ZDRÓJ



16 LIPCA WROCLAW



21 SIERPANIA CIESZYN



25 WRZEŚNIA ZABRZE



www.AZSMTBCUP.COM

SPONSORZY



Politechnika
Wrocławska



BenQ **CAMELBAK** **DAKINE** **BRUNOX**

PATRONI MEDIALNI



Jedynka
POLSKIE RADIO

Pascal **GARMIN**

GoPro **HERO** **LMT**
SPORTS WEAR

NUTREND
Dietary Supplements

onet.pl

City Channel

bikeBoard

aktywni.pl
BOKAL PRZECZYNOŚCI AKTYWNI

Wszystko Świat

STO LAT PO GODZINIE ZERO



Odkrycie Machu Picchu to sukces amerykańskiego historyka i archeologa Hiram Bingham. Stało się to sto lat temu, w lipcu 1911 roku. Nawiązaniem do tej rocznicy jest publikacja książki Romana Warszewskiego oraz Arkadiusza Paula „Machu Picchu – sto lat po godzinie zero”.

Autorzy wspominają odkrycie miasta, jednak zamiast chwały wytykają Binghamowi... epigonizm. Przypominają, że Machu Picchu było letnią rezydencją twórcy inkaskiej potęgi, króla Pachacuteca, wskazują na niezwykłość tego miejsca, w porównaniu z innymi osadami w tym regionie. Piszą o zaginionych inkaskich skarbach, o roli miasta w astronomii Inków. Oprowadzają Czytelnika po tym legendarnym miejscu krok po kroku, niemal zatrzymując się przy każdym kamieniu.

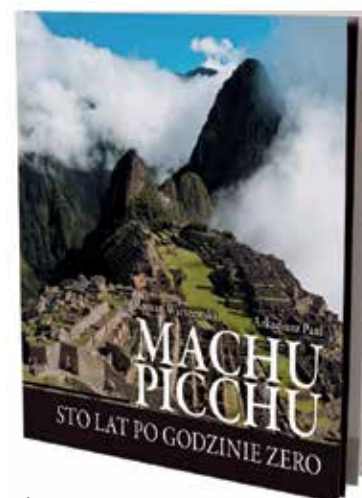
Dużym atutem publikacji są bardzo sugestywne zdjęcia. Dzięki nim Machu Picchu wydaje się być na wyciągnięcie ręki. Jeśli czegoś w tej książce-albumie brakuje to mapy, która umożliwiłaby usytuowanie oglądanych budowli w konkretnym miejscu.

„Machu Picchu urzeka” – pisze Warszewski, dodając, że przyszłość ruin miasta-legendy jest zagrożona. Powodem są tłumy turystów. „Geolodzy nie mają wątpliwości, że Machu Picchu położone jest na uskoku tektonicznym. Może zdarzyć się tak, że któregoś dnia całe ruiny – po prostu! – zsuną się w dół stromego stoku...”

Dobrze więc zawniesić się wygodnie w fotelu i zagłębiwszy się w album Warszewskiego i Paula delektować się Machu Picchu i jego legendą. W książce warte uwagi są „peruwiańskie” akwarele Zbigniewa Szczepanka, umieszczone na wewnętrznych stronach okładki.

„Machu Picchu – sto lat po godzinie zero” jest początkiem serii wydawniczej „Siedem Nowych Cudów Świata”. Kolejny album w tej serii, który ukaże się w roku 2012 nosić będzie tytuł: „Chichen Itza. Końca świata nie będzie”.

Waldemar Gabis



Nowe mapy dla Japonii



Rozmowa z **prof. Jerzym Żabą**, kierownikiem Katedry Geologii Podstawowej na Wydziale Nauk o Ziemi Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

– Czy często zdarza się potrzeba korekty map z powodu zjawisk przyrodniczych?

– Można powiedzieć, że nawet bardzo często. Wynika to z wielu powodów, są one związane ze zjawiskami zachodzącymi we wnętrzu Ziemi i na jej powierzchni.

Choć często skutki tych procesów są zatrzważające, to jednak te działania są świadectwem, że Ziemia jest globem żywym. W odróżnieniu od Marsa, planety niegdyś otoczonej atmosferą, gdzie zachodziły takie procesy przyrodnicze, jakie możemy obserwować na Ziemi. Gdy wygasło wnętrze planety, na powierzchni Marsa możemy obserwować zimną lub gorącą pustynię.

– Jak określiliby Pan skalę trzęsienia ziemi w Japonii?

– Było to jedno z najsilniejszych trzęsień, jakie kiedykolwiek zostało zarejestrowane. Podobne, niezwykle gwałtowne, zdarzyło się w 1960 roku w Chile i przed 140 laty także w Japonii.

Japonia położona jest na granicy płyt litosfery, gdzie pod wielką płytą euroazjatycką „wciska się” płyta pacyficzna.

Odbyna się to, jak na procesy geologiczne, w dużym tempie – 10 centymetrów rocznie. Toteż japońskie wyspy drżą nieustannie – rocznie notuje się tutaj tysiąc trzęsień ziemi. Raz na sto lub więcej lat dochodzi do bardzo silnych trzęsień, na skutek których nawet, na niewielką odległość, mogą przemieszczać się wyspy.

– W jakim stopniu trzęsienie Ziemi w Japonii zmieniło ukształtowanie wybrzeża wysp?

Czytałem prasowe doniesienia, że przy japońskim trzęsieniu wyspa przemieściła się o 2,4 m – to bardzo prawdopodobne. Pod koniec 2004 roku, kiedy zdrząła ziemia w Azji Południowo-Wschodniej o kilkanaście metrów przesunął się grunt na dnie oceanu, to właśnie było powodem gigantycznego zjawiska tsunami.

Zmiany w ukształtowaniu terenu muszą zostać naniesione na nowych mapach. Ale w Japonii wciąż jeszcze dochodzi do kolejnych wstrząsów, po których może nastąpić tsunami, toteż jeszcze na razie kartografowie nie przystępują do pracy.

Rozmawiała: *Dorota Kobierowska-Dębiec*

MAPY
turystyczne
samochodowe
rowerowe
wodoodporne
PLANY MIAST
PRZEWODNIKI

MAPY:

- do internetu
- na zlecenie
- na tablice
- do druku



Tylko dla orłów

szczegóły: www.EMTB.pl

Enduro, czyli rowerowa jazda terenowa w górach. Enduro Wyrupa to górskie rowerowe wyzwanie do kwadratu. Miłośników takiej jazdy zaprasza rowerowy portal EMTB.pl, organizator cyklu imprez w Sudetach. Będą to zawody najwyższej próby – zapowiadają organizatorzy. Uczestnicy mogą oczekiwać trudnych technicznie tras – ekscytujących zjazdów

i wymagających podjazdów – najkrócej: kolarstwa górskiego w najczystszej postaci. W czerwcu cykliści-ekstremaliści będą mogli się sprawdzić się na górskich stokach w Bielawie, w sierpniu w Szklarskiej Porębie, a we wrześniu w Świeradowie Zdroju.

ZAWODY ODBĘDĄ SIĘ POD PATRONATEM „POZNAJ ŚWIAT”.

POD NASZYM PATRONATEM

Pod księżycem o dalekich wyprawach

Na Festiwal Podróżniczy „Na Szlaku Wielkiej Niedźwiedzicy” organizowany nad jeziorem Bachotek nieopodal Brodnicy 17, 18, 19 czerwca br. zapraszają portale internetowe: www.spotkaniemiaszlaku.pl i bradziaga.pl.

Zaproszenie skierowane jest przede wszystkim do plecakowiczów. Miejscem spotkania jest pole campingowe, gdzie można rozstawić namiot lub wynająć domek. Głównym punktem programu jest konkurs na najciekawszą prezentację z wyprawy w trzech kategoriach: Noga za nogą, Z nurtem rzeki, Tłok na szlaku. Na zwy-

cięców czeka nagroda: Trofeum Ursa Maior. Prezentacje odbywać się będą nocą, w „sali pod księżycem”. Tylko wówczas będzie odpowiednie zaciemnienie. Wcześniej będzie można wysłuchać koncertów muzycznych, uczestniczyć w grach i zabawach sprawnościowych. Rozbłyśnie ognisko.

Szczegółowe informacje i regulamin: www.spotkaniemiaszlaku.pl



Najszybciej do Amsterdamu

W pierwszy majowy weekend po raz czternasty odbywać się będą Międzynarodowe Mistrzostwa Autostopowe – największa i jedna z najstarszych tego typu imprez w Europie. W ubiegłorocznej edycji zawodów wzięło udział blisko 400 osób z Polski, Niemiec, Hiszpanii, Rumunii i Litwy. Uczestnicy, tradycyjnie, startując z Trójmiasta, w tym roku zmierzać będą do oddalonego o 1200 kilometrów Amsterdamu. Pierwsi

na mecie zdobędą tytuł Międzynarodowego Mistrza Autostopu. Zawodnicy mogą dowolnie wybierać trasę, rodzaj pojazdu, zabronione jest tylko korzystanie z komunikacji publicznej.

TEGOROCZNY WYŚCIG ODBYWAĆ SIĘ BĘDZIE POD PATRONATEM „POZNAJ ŚWIAT”. szczegóły: www.KlubPrzygody.pl

Nasi z Travelerem

Autorzy „Poznaj Świat” znaleźli się wśród laureatów nagrody TRAVELERY 2010, przyznawanej po raz piąty przez miesięczniki National Geographic Polska i NG Traveler.

Grand Prix 5. edycji plebiscytu zdobył **Marek Kamiński**, którego wyróżniono za: *całokształt dokonań podróżniczych, naukowych lub eksploracyjnych oraz wierność życiowej pasji*. Słynny polarnik i podróżnik przy okazji 600 numeru naszego miesięcznika wspominał, że „Poznaj Świat” to jedno z jego najdawniejszych wspomnień – ulubiona lektura wczesnej młodości. Związki z „PŚ” podkreśla także **Basia Meder**, której książka „Babcia w Afryce” otrzymała tytuł Podróżniczej Książki Roku. Wyróżnienie to wręczane jest książce, która: *w najlepszy sposób przybliża czytelnikom horyzonty geograficzne i kulturowe*.

Mieszkająca od trzydziestu lat w Australii **Basia Meder** jest laureatką konkursu „Moja przygoda z Poznaj Świat” i naszą autorką. Już teraz możemy zapowiedzieć w jednym z najbliższych numerów kolejny jej artykuł o niedostępnych zakątkach Australii.

Pozostali laureaci:

Piotr Pustelnik – zdobywca Korony Himalajów – Wyczyn Roku.

Anna Jackowska – projekt „Bałkany 2010” – Podróż Roku.

Grzegorz Niedźwiedzki i Piotr Szrek – znalazcy tropów najstarszego zwierzęcia lądowego na świecie i autorzy najgłośniejszej polskiej publikacji naukowej roku – Naukowe Odkrycie Roku.

dr Rafał Nowak, dr Maciej Matuszyński i Mariusz Szeib – twórcy Projektu Trzecie Oko, Społeczna Inicjatywa Roku.

Piotr Marek i Adrian Krajewski – autorzy blogu Od Kairu do Kapsztadu, Podróżniczy Blog Roku.



BASIA MEDER

Z książką „Babcia w Afryce”, która przyniosła jej nagrodę.

35-lecie Polskiej Żeglugi Bałtyckiej

Ponad trzysta milionów pasażerów zaufało Polskiej Żegludzie Bałtyckiej S.A. działającej od 35 lat na rynku promowym pod marką POLFERRIES.

Firma eksploatowała wiele promów, dziś dysponuje trzema jednostkami pasażersko-samochodowymi obsługującymi linie promowe pomiędzy Polską, a Skandynawią:

m/f „Scandinavia” na linii Gdańsk – Nynäshamn (Szwecja);

m/v „Baltivia” na linii Gdańsk – Nynäshamn (Szwecja);

m/f „Wawel” na linii Świnoujście – Ystad (Szwecja).

W czasie swojej 35-letniej działalności, promy będące w służbie kołobrzeskiego armatora przewiozły:

13 244 436 pasażerów;

2 954 524 samochodów osobowych;

1 027 439 samochodów ciężarowych.

Polska Żegluga Bałtycka S.A. to nie tylko przewoźnik morski, ale również organizator imprez turystycznych, wspaniałych wycieczek do najciekawszych i najodleglejszych zakątków królestwa Szwecji, Danii, Norwegii, jak również Finlandii. W ofercie można znaleźć także noclegi w hotelach w całej Skandynawii, pobyty wypoczynkowe w domkach na Bornholmie, czy Wyspach Alandzkich. Klientom biznesowym Morskie Biura Podróży Polferries oferują wyjazdy konferencyjne, szkoleniowe oraz integracyjne. Firma podtrzymuje tradycje edukacji morskiej młodzieży, w oparciu o program „Błękitnej szkoły”.

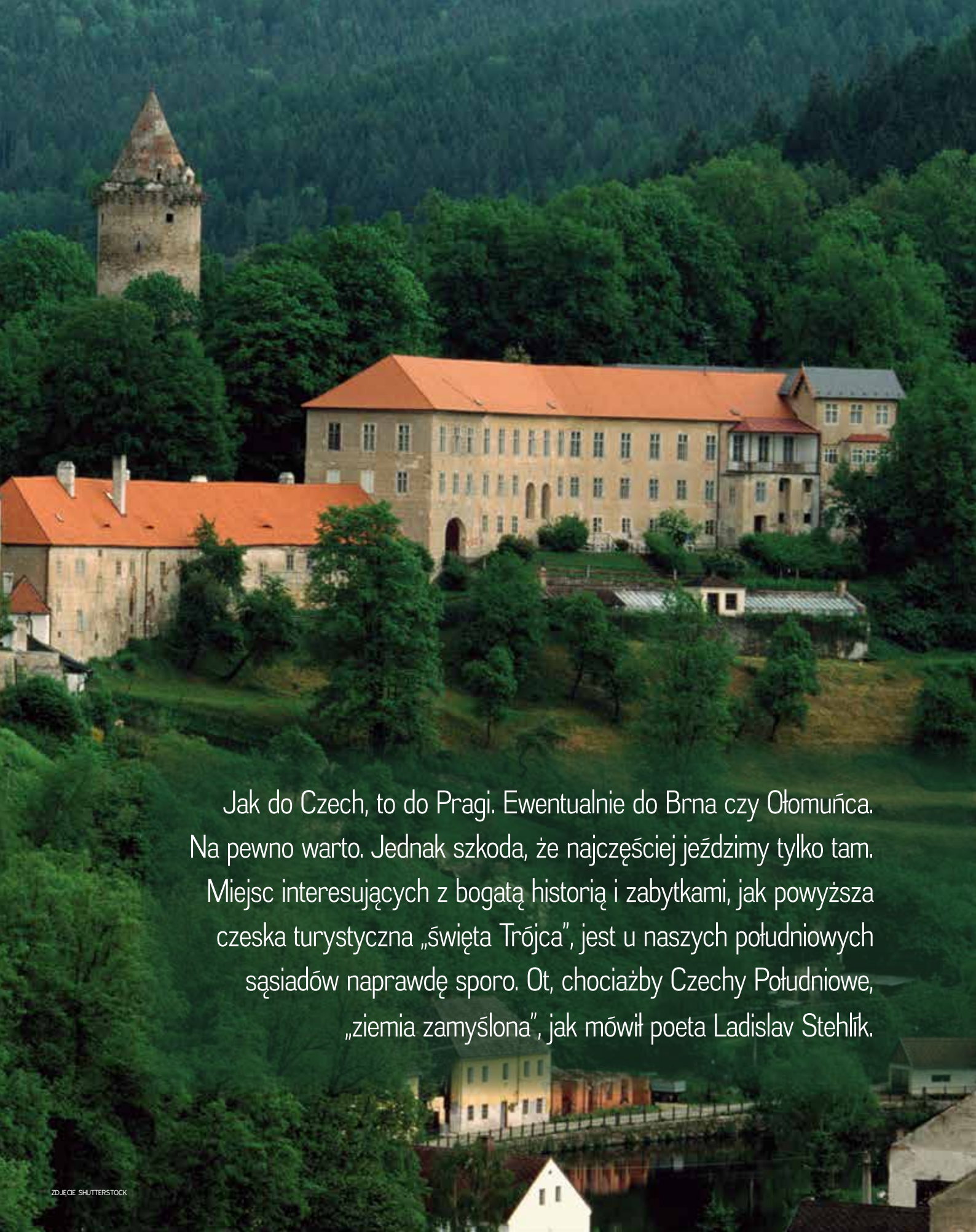
Firma ambitnie popularyzuje i promuje walory krajoznawcze i turystyczne Polski wśród mieszkańców krajów Skandynawskich, którzy są coraz częściej gośćmi na promach Polferries.

Więcej informacji i ofert na
www.polferrries.pl



ZAMYŠLONA KRAINA

Tekst: **Izabela Kraus-Žurová**



Jak do Czech, to do Pragi. Ewentualnie do Brna czy Ołomuńca. Na pewno warto. Jednak szkoda, że najczęściej jeździmy tylko tam. Miejsc interesujących z bogatą historią i zabytkami, jak powyższa czeska turystyczna „święta Trójca”, jest u naszych południowych sąsiadów naprawdę sporo. Ot, chociażby Czechy Południowe, „ziemia zamyślona”, jak mówił poeta Ladislav Stehlík.

Mając przed sobą mapę tego regionu i zakreślając na niej w dowolnym miejscu okrąg o promieniu trzydziestu kilometrów – mamy gwarancję, że w jego obrębie znajdują się, co najmniej, dwa rezerваты przyrody, z pięć zamków lub pałaców, około piętnastu innych zabytków kultury i co najmniej trzydzieści miejsc, gdzie „czepuje” się Budějovický Budvar.

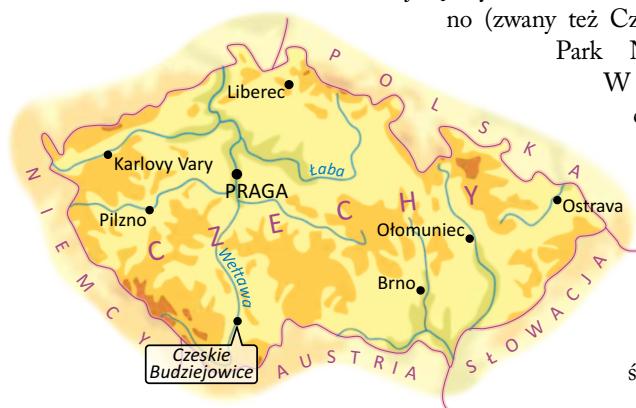
Ponadto, na południu Czech znajdziemy nie tylko mnóstwo stawów pełnych karpia, ale też największy akwen w Czechach – zalew Lipno (zwany też Czeskim Morzem) oraz Park Narodowy Szumawa.

W południowych Czechach można poduczyć się historii, popływać, pożegłować albo też nad kuflem piwa patrzeć przed siebie – myśląc jednocześnie o wszystkim.

BLUDNY – NIEKONIECZNIE PASKUDNY

Czeskie Budziejowice są centrum tego regionu. Miasto, którego historia rozpoczęła się w 1265 roku, liczy dziś prawie sto tysięcy obywateli, jak na Czechy to niemało (Ołomuniec ma tylko kilka tysięcy więcej). Warto wspomnieć, że miasto zostało założone przez króla Przemysła Otokara II w celu umniejszenia niemałych wpływów szlacheckiego rodu Witkowców (później Rožmberków).

W mieście z prawie osiemsetletnią tradycją nie brak zabytków. Rynek w kształcie kwadratu otaczają gotyckie, renesansowe i barokowe domy, zaś w samym jego środku, w miejscu dawnego pręgiarza, stoi Fontanna Samsona. Przechadzając się w jej pobliżu, warto patrzeć pod nogi. Można bowiem trafić na wyróżniający się kształtem kamień ze znakiem krzyża zwany „bludnym kamieniem”. Legenda mówi, że ten, kto nań nastąpi wieczorem – aż do rana nie znajdzie drogi do domu. Nie musi być to aż tak wielkie nieszczęście – w końcu tu, w Czeskich Budziejowicach, stoi browar produkujący piwo znane w co najmniej stu krajach świata.



UWAGA, KAMIEŃ!

Na budziejowickim rynku trzeba patrzeć pod nogi, bo kto stanie na „bludy k kamen”, ten do rana do domu nie wróci.





SIKI Z AMERYKI

Historia warzenia piwa w Czeskich Budziejowicach jest tak samo długa jak historia miasta, któremu król od razu udzielił tego przywileju. Piwo początkowo warzono w klasztorach i domach mieszczkańskich. W 1495 roku rada miejska założyła swój własny browar. Od początku XVIII wieku produkcją piwa zajmowali się tylko zawodowi słodownicy. Dziś wszyscy amatorzy piwa i jego historii mogą zwiedzić budynki browaru, a później, kierując się przysłowiem „Daj Boże szczęście i dobre piwo”, zamówić kufel złotego napoju.

Mając tak długą historię warzenia piwa, znanego jako Budweiser, Budvar, Bud i Budějovický Budvar – nie tylko rodowici budziejowiczanie, ale też większość obywateli Czech zaczęła przecierać ze zdumienia oczy, widząc Budweisera z... Ameryki. Spółka Anheuser-Busch rozpoczęła produkcję piwopodobnego napoju, nie szanując praw czeskiego browaru do nazwy. Dodatkowo, (o zgrozo!) wytwarzają go z ryżu, co dla czeskiego (i nie tylko) piwosza jest niewyobrażalne i niewybaczalne.

Drugą po browarze wizytówką miasta są kredki i ołówki Koh-I-Noor, produkowane na razie tylko tu, od połowy XIX wieku.

WRZUĆ TAM BUCIK!

W pobliżu Czeskich Budziejowic od XIII wieku stoi pałac Hluboká nad Vltavou. Został on przebudowany w stylu romantycznego gotyku przez księżnę Eleonorę Schwarzenberg w drugiej połowie XIX wieku. Tutaj każda dziewczyna może się

poczuć jak prawdziwa księżniczka – pod warunkiem, że zgubi swój bucik w pałacowej fontannie.

Jadąc nieco dalej, 30 km na zachód, dostrzemy do prawdziwej renesansowej perełki z końca XVI wieku – pałacu Kratochvíle. Warto tu wybrać się z dziećmi, bo z myślą o nich przygotowano stałą ekspozycję czeskiego filmu animowanego.

W przeciwnym kierunku niż Kratochvíle stoi następny renesansowy pałac – Třeboň. Tu znajdziemy grobowiec rodu Szwarzenbergów, właścicieli bliższych i dalszych włości, w którym spoczywa 27 zabalsamowanych zwłok.

Oczywiście, to nie wszystkie zamki i pałace w okolicy – są też Nové Hrady, Zvíkov, Landštejn, Červená Lhota, Dačice, Jindřichův Hradec.

BLEF OPATA

W drodze do Czeskiego Krumłowa, jednego z największych kompleksów pałacowo-zamkowych w Europie, warto zatrzymać się choćby w Zlaté Korunie. To klasztor cystersów wybudowany w XIII wieku. Legenda głosi, że pewnego dnia zawistny Wilhelm z Rožmberka poinformował cesarza, że klasztor jest w zasadzie opuszczony i powinien zostać zamknięty. Ten wysłał swojego urzędnika, by zbadał sprawę na miejscu. Kiedy o wszystkim dowiedział się opat, zwołał z okolicy mnichów, parobków i poddanych, przebrał ich w habity, każąc w milczeniu siedzieć nad księgami. Cesarski urzędnik, widząc sale pełne mnichów wczytanych w łacińskie księgi, o nic już więcej nie zapytał. Dzięki temu klasztor ocalał.

BUDWEISER I LOVE YOU

Piwa z Budziejowic to 600 lat tradycji, tworzonej w myśl przysłowia: „Daj Boże szczęście i dobre piwo”.

Z PANNA – NA PANENSKĄ!

Jadąc do Czeskiego Krumlowa, trzeba być przygotowanym na tłumy turystów. Stojący na skale zamek, który wzniesli Rožmberkowie, to czterdzieści budynków historycznych skupionych wokół pięciu dziedzińców oraz 7 hektarów ogrodów i zamkowy teatr barokowy z autentycznym wyposażeniem z epoki.

Jak na zamek z 700-letnią tradycją przystało, owiany jest on mnóstwem legend. Wśród nich nie brak klasycznej opowieści o „Białej Damie”, która na murach zamku ma zjawiać się, jakżeby inaczej, o północy.

W Czeskim Krumlowie prawie każdy dom ma swoją historię, jak choćby ten pod numerem 38, w którym mieszkały niegdyś kobiety uprawiające najstarszy zawód świata. Mieszkańcy nazwali ulicę, na której stoi, przekornie: „Panenska”, czyli dziewicza. Powiadają, że jeżeli ulicą przejdzie panna, która nie jest już dziewicą – spłonie pąsowym rumieńcem. I zdaje się, że po dziś dzień niektórzy młodzieńcy specjalnie ze swoimi dziewczynami wybierają się na spacer akurat tutaj. O dziwo, niektórzy sami wracają zaczerwienieni.

Pod numerem 94 mieszkała miejscowa czarownica Annabell, a uliczka Latrán była ulubionym miejscem pojedynków.

NIE ZAPOMNIJ O SZUMAWIE

Będąc tak blisko, byłoby grzechem nie wpaść chociaż na chwilę do największego parku narodowego w Czechach (70 tys. ha), który, tak jak Czeski Krumlow, jest na liście UNESCO.

Park Narodowy Szumawa leży na granicy z Austrią i Niemcami. Podziwiać tu można pierwotne górskie lasy i największe w Czechach torfowiska. Tu ma swoje źródła Wełtawa. Park jest bardzo dobrze przygotowany na przyjęcie turystów. Jest tu bardzo dużo szlaków pieszych, rowerowych, atrakcje dla wodniaków lubiących spływy kajakowe. Wiele szlaków jest przystosowanych również dla osób niepełnosprawnych.

Będąc w Czechach, nie sposób nie napić się piwa i dobrze zjeść. Zwiedzając południowe Czechy, warto zwłaszcza spróbować „kulajdy”, czyli zupy ziemniaczano-grzybowo-koprowej z żółtkami lub też „cmundy”, czyli placka ziemniaczanego. Jeżeli cmunda ma być po „kaplicku”, to placek podawany jest z kiszoną kapustą i boczkim. A na deser – obowiązkowo „vdolky”, czyli miejscowe pączki z marmoladą na wierzchu. ◯

DRUGI PO HRADCZANACH

Zbudowany w XIII wieku zamek pierwotnie służył ochronie brodu przez Wełtawę. Przez wieki wielokrotnie przebudowywany, dziś jest drugim co do wielkości zespołem pałacowym w Czechach.





SANKTUARIUM NATURY

Region Szumawy tworzą dwa pasma górskie – Szumawa i Czeski Las. To jeden z największych leśnych kompleksów Europy, niemal niezmienny przez człowieka. Grzbietem Szumawy przebiega europejski dział wód Morza Czarnego i Północnego.

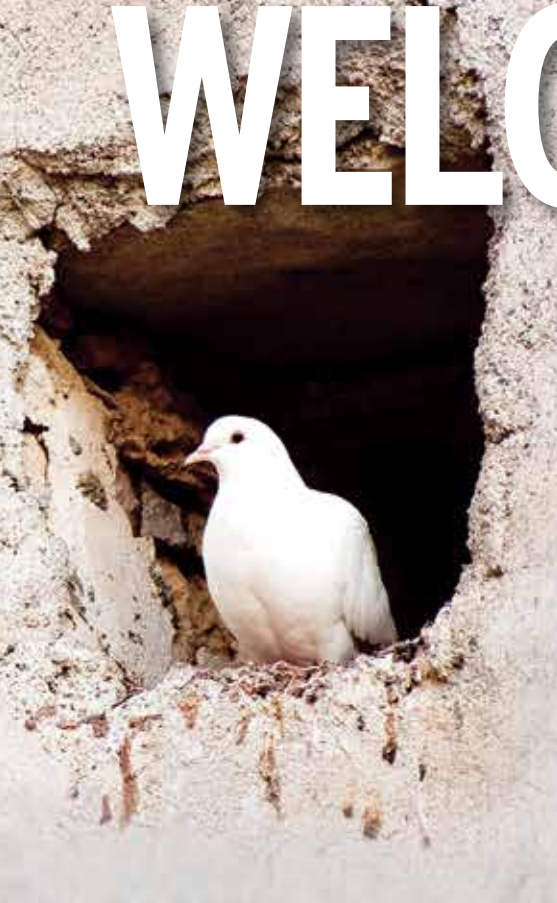


SZCZĘŚLIWA HISTORIA

Wełtawa okalająca Krumlow chroniła go przez wieki. Ani razu miasta nie strawił ogień, ani nie zniszczył wróg. 14-tysięczny Krumlow pełen jest zabytków, a każdy ma swoją legendę.

Tekst i zdjęcia: **Jacek Siwko**

WELCOME TO



Gorkem ma 28 lat, mieszka po tureckiej stronie i jest przeciwny obecności tureckich wojsk na wyspie. Jego ojciec pochodzi z Turcji, a matka jest Cypryjką. Poznaliśmy się w Londynie gdzie studiował sztuki piękne na Westminster College.

Jest środek listopada 2010 roku, lecę do Larnaki, miasta po stronie cypryjskiej, aby go odwiedzić.

W Polsce początek zimy, a na Cyprze temperatura około 27 stopni. Nastawiam się na szok nie tylko kulturowy, ale i termiczny. Gorkem ma

Tekst: **Katarzyna Rojek**

BYĆ STOIKIEM (NA CYPRZE)

PEKNIETA

A może by tak
wyzbyć się smutków i obaw?
Zawiści i pożądliwości... Uniezależnić
się od zewnętrznych okoliczności,
żyć w zgodzie z naturą
i być szczęśliwym...
Trudne zadanie? Nie na Cyprze!

TRNC

DRILLING THE BORDER

mnie odebrać z lotniska. Wyczytałem w internecie informację na temat niemożności przekroczenia granicy po godzinie 17, więc kiedy mój samolot ma dwugodzinne opóźnienie i ląduję w Larnace po 17, wyobrażam sobie najgorsze. Gorkiem pewnie siedzi już skuty kajdankami za to, że za długo przebywał po stronie cypryjskiej, a ja będę musiał spędzić noc pod gołym niebem.

Jednak to, że internet nie zawsze jest wiarygodnym źródłem informacji – potwierdza się i tym razem. Mój przyjaciel wydaje się być bardzo zdziwiony, kiedy opowiadam mu o swoich obawach. Po niecałej godzinie docieramy do granicy, na której jedynym problemem dla celników jest decyzja, na

której stronie mojego paszportu należy wbić pieczętkę z wizą upoważniającą mnie do 90-dniowego pobytu po tureckiej stronie. Jest to jedyne przejście graniczne w Nikozji, które można przekroczyć samochodem, inne – jedynie pieszo.



CIĄG DALSZY NA STR.: 75 ►

Stoicyzm to kierunek filozoficzny, który powstał w III wieku przed naszą erą w Atenach za sprawą Cypryjszycy, Zenona z Kition.

Kition to starożytna nazwa cypryjskiej Larnaki. Dziś znajduje się tu port lotniczy, który od Warszawy dzieli zaledwie trzy godziny lotu. Już w kilka godzin po przybyciu na tę śródziemnomorską wyspę, pomyślałam sobie, że doskonale rozumiem, dlaczego jej mieszkańcy uważają się za stoików. Po-deszłam do tego – z wrodzonym chyba naszej nacji

– sceptycyzmem. Twierdzą, że są szczęśliwi pomimo okoliczności – myślałam sobie – tymczasem mogą być szczęśliwi właśnie dzięki nim.

NAJBARDZIEJ OCZYWISTYM...

...powodem do szczęścia wydaje się być cypryjski klimat. Śródziemnomorski podzwrotnikowy, z gorącymi latami i łagodnymi zimami. Śnieg pada tutaj tylko wysoko w górach Troodos. Warto przy-

CIĄG DALSZY NA STR.: 75 ►



HEJ TAM, NA WYBORY!

Turecka armia jest tu wszechobecna. Na szczęście – ostatnio jej aktywność sprowadza się – chcąc nie chcąc – do ochrony przyrody!

► PRZEKRASZAMY GRANICĘ

Na granicy należy opuścić samochód i udać się do okienka celnika siedzącego w plastikowej budce, przypominającej przenośną ubikację. Nie ma miejsca, by zaparkować samochód? No problem. Wszyscy zostawiają swoje samochody na środku drogi. Nikt się nie martwi, że zatrzymuje w ten sposób ruch. Cypryjscy celnicy nawet nie sprawdzają mojego paszport i po minucie jestem już w Tureckiej Republice Północnego Cypru. W państwie uznawanym tylko przez Turcję, gdzie nic nie dzieje się zwyczajnie.

- jechać na przykład w marcu, kiedy w Polsce zima jeszcze trzyma, tu zaś jest już gorąco, można opalać się i pływać.

W dodatku nie ma jeszcze wielu turystów i ceny są niższe. Można wybrać się na wycieczkę rowerową, pojeździć konno, pograć w golfa (albo, hmm... pościgać się meleksami). Słonecznej pogody możemy być pewni, bo deszcz pada tu tylko kilkanaście dni w roku.

Na Cyprze od wielu lat panuje susza. Nie znajdziemy tu ani jednej płynącej rzeki (wszystkie poprzegradzono tamami), w wyschniętych korytach rosną pomarańczowe i cytrynowe gaje, stoją w nich nawet domy. Wody na wyspie jest tak mało, że sprowadza się ją z Grecji. Ta przykra dla Cypryjczyków okoliczność, jest błogosławieństwem

Z lektury książek Ryszarda Kapuścińskiego wiem, że im bardziej skomplikowana i szumnie brzmiąca nazwa, tym bardziej prowizoryczne jest państwo. Kiedy następnego dnia przechodzę granicę w centrum Nikozji, aby zobaczyć, jak wygląda druga strona muru dzielącego to miasto na dwie części – też nikt nie sprawdza mojego paszportu. Wracając, otrzymuję nową pieczętkę, z wizą na kolejne 90 dni. Mój pobyt tu może zatem trwać w nieskończoność.

Jaki jest cel wbijania wizy, jeśli każde opuszczenie granic państwa, nawet na 15 minut, odświeża ważność na następne 90 dni? Po co komu taka biurokracja? Na to pytanie Gorkem ma tylko jedną odpowiedź: „Welcome to TRNC, man!”.

Wszystkie inne paradoksy będzie tłumaczyć w ten sam sposób. Podobne wątpliwości wobec funkcjonowania młodej ojczyzny mają też jego znajomi. Większość z nich studiowała za granicą, na prawach studentów z Unii Europejskiej. Jak to możliwe, skoro TRNC nie jest formalnie częścią Zjednoczonej Europy? No cóż, welcome to TRNC.

Przed podziałem wyspy na dwie części w 1974 roku wszyscy, bez względu na przynależność etniczną, byli obywatelami Republiki Cypru. Formalnie więc każdy Cypryjczyk jest obywatelem Unii. Jedynie ludność turecka przesiedlona na Cypr Północny po 1974 roku – nie ma prawa do ubiegania się o europejski paszport. Studia poza krajem to moda wśród młodzieży

PEKNIĘTA

dla turystów, bo daje gwarancję dobrej pogody. Zadowoleni turyści to z kolei błogosławieństwo dla Cypryjczyków, bo to głównie dzięki nim Cypr jest jednym z bogatszych państw w Europie. Bogactwo zaś w byciu stoikiem bynajmniej nie przeszkadza.

DRUGI POWÓD...

...do szczęścia znajdziemy w każdej z licznych cypryjskich tawern – meze. Meze to zestaw niewielkich dań, za to podawanych w oszalałymi

z północy. Nie dość, że prawie każdy jest tu artystą, to jeszcze studiował za granicą.

TU NIKT NIE CHCE BYĆ KELNEREM

– *Jeśli widzisz tu kogoś jadącego na rowerze, to albo to jestem ja, albo jakiś Turek* – tak Gorkem zaczyna opowieść o swoim kraju. – *W Nikozji każdy jeździ dobrym samochodem, nosi markowe okulary i chce wyglądać tak, jak model z rozkładówki Vogue'a. Tu nikt nie chce być kelnerem, bo każdy ma wyższe wykształcenie, więc gdy widzisz kelnera, to na pewno jest Turkiem.*

Niechęć wobec imigrantów z Turcji staje się w Tureckiej Republice Północnego Cypru coraz bardziej powszechna. To ich oskarża się o niszczenie starej części Nikozji i wzrost przestępczości. Każdy tu jednak zdaje sobie doskonale sprawę, że bez taniej siły roboczej, chętnej do wszelkiej pracy, kraj sobie nie poradzi.

Aby zrozumieć, z jakich warstw społecznych wywodzą się współcześni tureccy imigranci, wystarczy wybrać się w okolice Walled City, czyli starożytnego miasta. Dziś w obrębie tej części miasta stoi ściana izolująca od siebie dwie nacje. Pośrodku stacjonują żołnierze ONZ.

IMIGRANCI

Łatwo zaobserwować, że warunki, w jakich żyją, są poniżej jakichkolwiek standardów.

– *Żyją po 12 osób w jednym mieszkaniu, pracują za najniższą stawkę, której nikt inny nie chce. Jak zatem musi być w ich ojczyźnie, skoro godzą się na takie życie z dala od rodziny i przyjaciół?* – Gorkem nie rozumie powodów, dla których ludzie są gotowi na takie poświęcenie.

Nieporozumień pomiędzy Turkami a tureckimi Cypryjczykami jest znacznie więcej. Przez pięć wieków izolacji od kontynentalnej ojczyzny oraz

CIĄG DALSZY NA STR.: 77 ►

MEMENTO NA TANWI

Ten widok na górskich stokach nie pozwala zapomnieć o teraźniejszości podzielonej wyspy.



wręcz liczbie. Można zamówić wariant mięsny, lub składający się z ryb i owoców morza. Oba pyszne, świeże, w przeróżnych wariacjach. Do tego ser – obowiązkowo haloumi, łagodny, aromatyczny, do-

skonały do grillowania, ale dodaje się go też do zup, a nawet używa przy wypiekaniu chleba.

Sam chleb też zasługuje na wzmiankę: zawsze wypiekany na miejscu, ląduje na stole jeszcze ciepły. Na ciepło podaje się też fetę, panierowaną w cieście i polaną miodem. Do popicia – oczywiście wino. A skoro jest wino, musi być też śpiew.

Cypryjskie tawerny oferują wieczory z muzyką na żywo. Niestety, nie oznacza to jednak – akustycznie. Muzykanci, wystrojeni w tradycyjne stroje, mają podpięte do ust mikrofony a ich śpiew dudni z licznych głośników, kiedy krążą między zatłoczonymi stołami, zgrabnie omijając kelnerów donoszących coraz to nowe dania.

Jest tak głośno, że nie da się normalnie rozmawiać, trzeba krzyczeć. I tłoczno tak, że wręcz nie



CIĄG DALSZY NA STR.: 77 ►



Z NOSTALGIĄ

Mimochodem można spojrzeć na okienną galerię dawnych bohaterów.

- ▶ pewnej integracji z ludnością grecką – pobratymcy Gorkema stali się autochtonami na wzór afrykanerów z RPA. Niemożność porozumienia się w ramach jednego państwa trafnie opisują słowa jednego ze spotkanych przeze mnie Cypryjczyków: – *Tak jak nie można wyhodować truskawek na drzewie*

cytrynowym, tak samo nie można żyć w zgodzie z ludnością turecką w ramach TRNC.

Przebywając dłużej w tym arcydziwnym kraju zaczyna się dostrzegać pewne niuanse. Choćby język; niby turecki, ale jednak inny. Kiedy Gorkem rozmawia z ojcem, to mam wrażenie, że nie do końca go rozumie. Potem wyjaśni mi, że niezrozumienie wynika z tego, że obaj należą do zupełnie różnych kultur! Nie chodzi też o różnice w dialektach, którymi się posługują, ale o kwestie mentalności. Trudno to wszystko pojąć, lecz taki jest właśnie Cypr Północny, pełen niejasności już na poziomie relacji rodzinnych.

ARMIA W SŁUŻBIE PRZYRODY

Niechęć do Turcji bierze się z jej militarnej obecności na wyspie. Praktycznie w każdej większej miejscowości znajduje się baza wojskowa. Taka ilość wojska nie jest tu niczym uzasadniona. Właściwie strefy wojskowe są... naturalnymi rezerwatami przyrody.

Niestety, poza nimi tereny leżące na północy wyspy to łakomy kąsek dla deweloperów, którzy nie bacząc na piękno przyrody – niszczą ją, budując osiedla mieszkaniowe w najbardziej atrakcyjnych częściach wybrzeża.

PEKNIETA

- ▶ da się ruszyć od stołu. Cypryjczycy bardzo lubią jadać w tawernach i chodzą do nich całymi rodzinami, stąd niesamowity tłok, w którym jednak... da się tańczyć. W pewnym momencie bowiem na nogi podrywa się kilka osób, kelnerzy rzucają się i odsuwają stoły oraz krzesła (wraz z siedzącymi na nich ludźmi) i powstaje mała przestrzeń dla... jednego tancerza.

Tańczą na zmianę: najpierw ojciec, potem córka, dziadek – reszta klaszkuje i przyśpiewuje. Jest radośnie i spontanicznie, lecz w pewnym momencie wydaje mi się to wszystko dosyć sztuczne.

– *Ta muzyka brzmi trochę meksykańsko* – krzyczę do siedzącego obok Mariosa, naszego cypryjskiego kierowcy. – *Nic podobnego!* – oburza się szczerze. – *To stara cypryjska piosenka, on teraz właśnie śpiewa o tym, że już nigdy nie będzie się kochał, bo przez kobiety tylko się cierpi.*

POZA UCIECHAMI DLA CIAŁA...

...Cypr oferuje też ucztę duchową, ogromne kulturowe bogactwo. Przez wieki wyspa była poddawana wpływom różnych kultur – greckiej, fenicjańskiej, asyryjskiej, frankońskiej, weneckiej, otomańskiej – a każda zostawiła tu swoje ślady, których liczne pozostałości możemy podziwiać do dziś. W górach znajdziemy małe kościółki, niepozorne z zewnątrz, od środka urzekające bogactwem bizantyjskich fresków. W wielu nadmorskich miejscowościach zachowały się zaś pozostałości po starożytnych miastach – teatry, stadiony i łaźnie.

Wyspa to istne muzeum pod gołym niebem, ale warto odwiedzić też Muzeum Cypru, znajdujące się w stolicy państwa, Nikozji. Zgromadzono tu znaleziska archeologiczne z różnych okresów, od neolitu po wczesne Bizancjum. Wśród starożytnych naczyń, dzbanów i garnków, przewod-

SKLEP ZA ZASŁONKAMI

Tu można kupić alkohol, choć na otwarcie sklepu trzeba poczekać. Na szczęście jest na czym usiąść.

OSWAJANIE PÓŁNOCY

Cypr Północny to kraj kontrastów. Bieda miesza się tu z przepychem, nowe kasyna przyciągają brudne pieniądze z Turcji. Gdzieś widać jeszcze ślady działań wojennych. Dziury po kulach, które daje się łatwo dostrzec na ścianach budynków znajdujących się w pobliżu strefy buforowej, przypominają tamte doświadczenia z przeszłości. W rozmowach z ludźmi starszego pokolenia daje się wyczuć nutę podejrzliwości wobec „tej drugiej strony“.

Konflikt zbrojny przerodził się w ekonomiczny, na szczęście podobieństwa kulturowe nieco go łagodzą. Przykładem porozumienia kulturowego jest OneHeartBeat, projekt powstały z inicjatywy obu stron, dający możliwość wspólnego muzykowania artystom z całego Cypru. Przynajmniej tu jednoczą się, by kultywować stare zwyczaje sprzed podziałów.



Gorzej wygląda to na poziomie wielkiej polityki. Ponowne scalenie się Cypru pewnie jeszcze potrwa albo i nigdy nie nastąpi. Sytuacja wydaje się być patowa, ponieważ uznanie niepodległości Cypru Północnego rodziłoby nadzieje na podobne rozwiązanie dla innych mniejszości narodowych w Europie.

Polityka toczy się swoim torem, a życie zwyczajnych ludzi – swoim. Cypryjczycy z północy są bardzo gościnni i przyjacielscy. Z radością witają tych, którzy mimo nieprzyjaznej kampanii w mediach dotyczącej ich kraju, decydują się na wizytę w TRNC.

CIĄG DALSZY NA STR.: 79 ►

niczka wskazuje na przedziwny przedmiot z gliny, ozdobiony różnobarwnymi wzorami, każąc zgadywać do czego służył. Nikt nie ma pojęcia.

– *Do niczego, to po prostu sztuka! Sztuka dla sztuki.*

Takie podejście poparłby zapewne Zenon z Kition.

JADĄC W STRONĘ NIKOZJI...

...już z bardzo daleka widać ogromne flagi, ułożone z kamieni na zboczu góry. To flagi Turcji i Turckiej Republiki Cypru Północnego, a pod nimi napis: „Jestem dumny z tego, że jestem Turkiem”. To cytaty z Atatürka. Od wieków wyspa przechodziła spod jednej okupacji w inną. Od Mykeńczyków, przez Wenecjan, Imperjum Osmańskie – aż po Brytyjczyków.



CIĄG DALSZY NA STR.: 79 ►



**A DOKĄD IDĄ TE BARANY?
I to jest dobre pytanie.**

► KTO TU PROWADZI?

Jedziemy samochodem w stronę wybrzeża, dookoła wspaniałe, górskie krajobrazy. Gdzieś wzdłuż drogi ciągnie się drut kolczasty znaczący granice stref wojskowych.

– Spójrz w lewo, tam była kiedyś góra – pokazuje Gorkem. Faktycznie, widok jest przejmujący. Z wielkiego masywu górskiego został jedynie marny ogryzek. Sterczący kikut skalny jest jednym z wielu przykładów rabunku na przyrodzie dokonanego przez korporacje budowlane.

Deweloperzy potrzebują kamienia pod budowę nowych osiedli, więc zwyczajnie go sobie biorą, niszcząc naszą przyrodę – Gorkem, zdenerwowany, skręca papierosa. Właśnie prowadzi samochód, więc proponuję skwapliwie, że chętnie sam zrobię mu skręta, a on w zamian niechże zajmie się autem.

Gorkem, zdziwiony moim brakiem zaufania, rzuca, że skoro tak bardzo się upieram to mogę ewentualnie potrzymać kierownicę. I tak, dłuższy czas, jedziemy ponad stówką.

Myszę wtedy, że chyba podobnie jest z TRNC, krajem przypominającym auto, w którym kierowca jest zajęty czym innym. ○

PEKNIĘTA W WYSPA

► W roku 1960 Cypr uzyskał niepodległość, ale od 1974 jest podzielony, czy raczej, jak mówią mieszkańcy Republiki Cypryjskiej, część ich państwa okupowana jest przez Turków. Linia demarkacyjna dzieląca strefę cypryjską od okupowanej przebiega przez stolicę kraju. Gi-

gantyczne flagi Turków, nie dość, że widoczne z tak daleka, dodatkowo są podświetlane, by były widoczne także w nocy.

To ich musi doprowadzać do szału, myślę sobie, ale zaraz się poprawiam – wcale nie, przecież są stoikami, szczęśliwi niezależnie od wszystkiego. Dzięki temu stoicyzmowi i innym sprzyjającym okolicznościom, szczęśliwy na Cyprze może się także poczuć turysta.

PS. Jedyne, czego nie rozumiem, to tego, dlaczego organizatorzy zwiedzania Cypru uparli się, by nam pokazać plantację ziemniaków. Nam!!! Za to mogliśmy im pokazać, co my potrafimy z ziemniaka zrobić...Na zdrowie! ○

ZMOCZ ANGLIKA NA EALINGU

Tekst i zdjęcia: Przemysław Kozłowski



Gdy w 2004 roku Polska została przyjęta do Unii Europejskiej – Wielka Brytania, która od razu otworzyła swój rynek pracy dla nowych członków wspólnoty, stała się głównym kierunkiem nowej polskiej emigracji.

Według różnych szacunków liczebność brytyjskiej Polonii szybko wzrosła z około 150 tysięcy do miliona, z czego jedna trzecia osiadła w Londynie. W ten sposób staliśmy się trzecią po Indusach i Irlandczykach grupą narodowościową w Wielkiej Brytanii.

Oto migawki z życia polskiej diaspory na emigracji w Londynie, w latach 2006-2008.

CIASNO W ŁAWKACH, JAJA W KOSZACH

Na emigracji nie widać kryzysu wiary ani odpływu od religii osób młodych, a polskie kościoły nie świecą pustkami, jak większość innych. Wręcz przeciwnie – są tak zatłoczone, że często nie mogą pomieścić wiernych. Zdarza się więc, że starsi parafianie, pamiętający czasy, gdy na mszę przychodziło po kilkanaście osób, przenoszą się do innych, nie tak przepełnionych parafii rzymskokatolickich, w których nie muszą martwić się o wolne miejsca w ławce.

Starzejące się i powoli kurczące w latach 70. XX wieku polskie wspólnoty katolickie po raz

pierwszy zostały znacząco zasilone przez emigrantów po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. Prawdziwy boom nadszedł wraz z nową falą wychodźców po wejściu Polski do Unii. Dla nich kościół stał się nie tylko miejscem kultu religijnego, ale i namiastką dopiero co opuszczonej ojczyzny. Tak jak polski sklep czy płyta Maryli Rodowicz. Często zagubieni w multikulturowym tyglu młodzi emigranci nie wyobrażają sobie, aby pójść na mszę do kościoła innego niż polski. Homilii trzeba wysłuchać w języku ojczystym, a po mszy wyskoczyć z rodakami do polskich delikatesów lub polskiej restauracji. Dlatego brytyjscy katolicy zarzucają nam często niechęć do integracji i zamykanie się w kościele narodowym.

Jednak patrzenie na emigracyjną religijność poprzez pryzmat wypełnionych po brzegi kościołów jest mylne. Polska Misja Katolicka w Anglii i Walii, która posiada 30 kościołów, 12 kaplic, 39 plebanii i 55 ośrodków parafialnych szacuje, że tylko 10 procent Polaków mieszkających w Anglii uczęszcza regularnie do kościoła. Tych kilkadziesiąt miejsc kultu to za mało dla milionowej rzeszy wiernych, stąd przepełnione świątynie i wrażenie niezwyklej religijności rodaków.

Największą polską parafią w Anglii jest parafia NMP Matki Kościoła na Ealingu w zachodnim

Londynie. Ealing to jeden z największych i najważniejszych polonijnych ośrodków w Wielkiej Brytanii, zasiedlany przez Polaków od lat 30. XX w. Dziś to prawdziwie polska dzielnica zamieszkała przez około czterdzieści tysięcy Polonusów, której burmistrzem wybrano w 2009 roku Barbarę Czarniecką-Yerolemou, córkę sapersa z Armii Andersa.

Niektóre uroczystości kościelne są atrakcją dla całej dzielnicy. Gdy w jedną z roboczych sobót siedziałem w pracy przed monitorem w fotolabie Snappy Snaps na Ealing Broadway i drukowałem zdjęcia z kolejnej imprezy (londyńczycy uwielbiają na imprezach pstrykać fotki jednora-

WIELKA SOBOTA

Z dala od domu,
lecz w zgodzie
z tradycją.



zówkami), do zakładu wpadł roześmiany Anglik.

– *Możecie mi to wydrukować? Super foty. Niebywałe, po ulicach chodzi pełno Polaków z jakimiś kolorowymi koszykami!* – krzyczy od progu i wyciąga z aparatu kartę pamięci.

No tak, zapomniałem, że to Wielka Sobota. W przerwie na lunch pobiegłem do kościoła. Tam przepychające się do święconki tłumy. Ksiądz Dariusz był już wyraźnie zmęczony, ale i szczęśliwy. – *Święcimy na zmianę już od kilku godzin, w rotacjach co 10-15 minut, a końca nie widać* – mówi w czasie krótkiej przerwy, gdy jedna fala wiernych z koszykami wylewa się z kościoła, a druga doń wlewa.

Tradycja chodzenia w Wielką Sobotę do kościoła ze „święconką” jest praktykowana, poza Polską, jeszcze tylko w południowych Niemczech, Austrii i Słowenii, natomiast kompletnie nieznaną Anglikom. Jednak pod wpływem Polonii zwyczaj ten przyjęło już kilka kościołów w niektórych dzielnicach Chicago, a i w Wielkiej Brytanii zaczyna też być gdzieś zapożyczony.

WIGILIA PARTY

Rodacy na obczyźnie pieczołowicie pielęgnują polskie tradycje. Gromadnie spotykamy się przy wigilijnym stole (Anglicy w ogóle wigilii nie świętują, no, może w ten sposób, że wypijają tego wieczora nieco więcej piw w pubie niż zwykle), w Wielki Piątek pościmy, a w dyngusa zlejemy i Polaka, i zaskoczzonego sąsiada Anglika. Niektóre nasze zwyczaje są tak barwne i ciekawe, jak święcenie pokarmów w Wielką Sobotę, że zaczynają je przyswajać i inni. Podobnie rzecz ma się z dyngusem, typowo środkowoeuropejskim zwyczajem kultywowanym w Polsce, Czechach, na Słowacji i Węgrzech. Dzięki licznej Polonii w USA dyngus zyskał już szeroką popularność wśród Amerykanów w wielu tamtejszych ośrodkach polonijnych. Na razie obcy Anglikom zwyczaj, prawdopodobnie z czasem i im, znanym z poczucia humoru, przypadnie do gustu. Sami też obserwujemy obce obyczaje i te, które pasują do naszej narodowej psyche, adaptujemy.

Firmowa Wigilia w Polsce odbywa się już prawie w każdym miejscu pracy. Jest opłatek, życzenia z szefem, śledzik, barszczyk, makowiec. A po godzinie powrót do przerwanych obowiązków służbowych. Firmowa „wigilia” w Anglii, zwana Christmas Party, to wspólne wyjście do pubu. Jest piwo, whisky, drinki i impreza do rana. W londyń-



skim City na okres grudniowych spotkań przedświątecznych rozstawia się czynny całą noc namiot z pomocą medyczną. Przyznać trzeba, że i wieczory wigilijne w domach, choć cały czas przy karpniu, stały się bardziej imprezowe niż w ojczyźnie.

Gdy moje irlandzkie szefostwo zapowiedziało, że firmowe Christmas Party odbędzie się w irlandzkim Klubie Katolickim, w dodatku przy-parafialnym, myśleliśmy, z innymi Polakami zatrudnionymi w firmie, że będzie miało bardziej polski niż brytyjski charakter. Po przyjsciu wieczorem do klubu moje podejrzenia, iż Irlandczycy świętują wigilię po polsku – na spokojnie – rozwiły się. Carmel i Ola pochodząca z południa Polski już płały do irlandzkiej melodii wygrywanej przez kościelnego organistę na keyboardzie, a firmowy stół ugiął się pod pintowymi szklanicami z czarnym trunkiem i małymi szklaneczkami z trunkiem złotym. Tu nie czeka się z zamówieniem kolejnego Guinnessa czy Jamesona aż opróżnią się naczynia. Tempo spożycia trzeba dostosować do tempa zamawiania drinków przez gospodarza. A Mike nie lubi się ociążać: – *To wy, Polacy uczycie nas, Irlandczyków jak pić whisky. Myśmy zawsze lali na dwa palce od denka, a wy nam pokazaliście, że lepiej lać na dwa palce od krawędzi!* – pęka ze śmiechu.

Zdecydowanie mniej do śmiechu było wszystkim następnego dnia w pracy, bo Christmas Party nie jest bynajmniej wymówką, by wziąć wolne.

ZAPACHY OJCZYZNY

Polski sklep to instytucja sama w sobie. Jesteśmy tradycjonalistami i preferujemy rodzime produkty. Jednak polski sklep to nie tylko miejsce zakupów, ale i azyl, gdzie wdychając zapach kiełbasy wiejskiej, polskiej czy kabanosów oraz przechadzając się między regałami zastawionymi słojami z kiszonymi ogórkami, chrzanem, musztardą sarepską, butelkami z Tyskim i Luksusową, a przede wszystkim z polskim chlebem – można się poczuć jak w starym kraju. To także miejsce spotkań, pogawędek, plotek i flirtów z uroczymi ekspedientkami (polscy mężczyźni zdecydowanie preferują polskie kobiety) oraz poszukiwania pracy i wymiany wszelkich informacji.

Przed 2004 rokiem polskie sklepy w Londynie można było policzyć na palcach (na Ealingu był tylko jeden). Teraz są wszechobecne i świetnie zapatrzone. Są sklepy typowo polskie, z produktami prawie wyłącznie krajowymi i z polską obsługą, ale koniunkturę wykorzystują też obrotni sklepikarze innych nacji, zwłaszcza pochodzenia induskiego i pakistańskiego, którzy wzbogacają swój asortyment o polskie produkty, a nazwę o dopisek „polski sklep”. Specyfiką polskich sklepów jest witryna oklejona ogłoszeniami. Są tu oferty pracy, wynajmu pokoi, świadczonych usług – jak transport, prze-

dłużanie paznokci i włosów, tatuaż artystyczny, nauka angielskiego, prowadzenie księgowości.

Witryny zwane są autoironicznie „ścianami płaczu”. Nazwa przetrwała z czasów nielegalnej emigracji zarobkowej lat 90. XX wieku, gdy pod sklepowym oknem ustawiały się zdesperowane tłumy w poszukiwaniu jakiegokolwiek zajęcia. Polskich sklepów było wtedy jeszcze mało, więc najsłynniejszą i najbardziej obleganą „ścianą płaczu” było okno w induskim spożywczaku w zachodniolondyńskiej dzielnicy Hammersmith. Choć sklepów przybyło, historyczna „ściana” przetrwała do dziś, a wokół zbierają się już nie tylko bezrobotni rodacy, ale i bezdomni, często uzależnieni od alkoholu i narkotyków. Pracują z nimi, próbując wyrwać z ulicznego życia i odesłać z powrotem do kraju „streetworkerzy” z „Barki UK”, filii Fundacji Pomocy Wzajemnej „Barka” z Polski.

SARI DLA BLONDYNKI

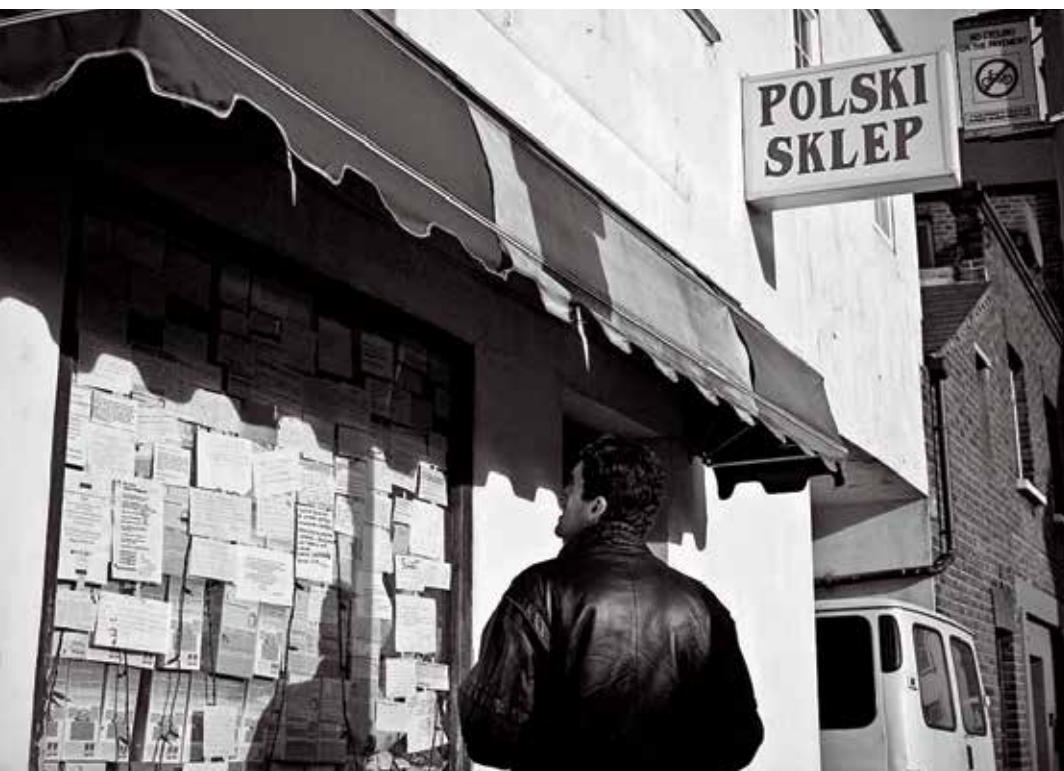
Dobrze integrujemy się między sobą, raczej słabo z resztą społeczeństwa. Brytyjcy socjologowie zwracają uwagę na zbyt mały udział polskiej wspólnoty w głównym nurcie życia społecznego, politycznego, gospodarczego i kulturalnego. Rzadkimi wyjątkami są wspomniana już Barbara Czarniecka-Yeroleμου i działający w Partii Liberalnych Demokratów Stefan Kasprzyk, wybrany na burmistrza północniolondyńskiej dzielnicy Islington, gdzie znajduje się najdłużej działający poza krajem polski kościół w Europie.

Balham to kolejna po Ealingu, Hammersmith i Islington dzielnica Londynu, w której chętnie zamieszkują Polacy. Tutejsza polska parafia ma już ponad sześćdziesiąt lat, a studwudziestopięcioletni kościół pw. Chrystusa Króla, w którym parafia się znajduje, należy do Polaków od ponad trzydziestu lat. Dziesięć lat dłużej działa naprzeciwko kościoła Klub Orła Białego, najbardziej znane miejsce integracji Polonusów w południowym Londynie.

W przeciwieństwie do Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, gdzie bywa głównie stara emigracja. Tu przychodzą wszystkie poko-

POLSKI SKLEP

W Polsce to szyld coraz rzadszy.



W SKLEPOWEJ WITRYNIE

Ogłoszenia drobne,
a w ofercie
niemal wszystko.

lenia: na bal Polonii, dyskotekę przy polskiej muzyce, koncerty rodzimych wykonawców, mecz na dużym ekranie, zajęcia sportowe, gimnastykę dla starszych osób oraz na obiad w polskiej restauracji i na Żywca lub Lecha w barze.

Gdy w klubie zbiera się kilkusetosobowy tłum kibiców piłkarskich, by oglądać na dużym ekranie mecze polskiej reprezentacji – są tu przedstawiciele wszystkich zakamarków kraju, nikt jednak nie przynosi szalików klubowych, tylko biało-czerwone. Nic tak nie buduje wspólnoty narodowej, jak sportowy sukces reprezentacji kraju.

Szansą na większą integrację Polaków z innymi narodami żyjącymi w Zjednoczonym Królestwie są znajomości i przyjaźnie zawiązywane w pracy oraz mieszane małżeństwa. Te ostatnie prawie w ogóle nie przytrafiają się polskim mężczyznom, natomiast Polki podbiły serca Anglików i mężczyzn innych narodowości i coraz częściej decydują się na założenie międzynarodowej rodziny.

Któregoś dnia Balu, pochodzący ze Sri Lanki tamilski kolega z pracy, przyszedł do naszego fotolabu podeksycytowany.

– *Wyobraź sobie, że będę miał w rodzinie Polkę! Piękną, blondwłosą, niebieskooką Iwonę.* Młoda para (Iwona i kuzyn Balu) poznała się w studiach medycznych w Londynie. Jako że Tamilowie są hinduistami, Iwona do ślubu w świątyni Shri Kanagathurkkai Amman Temple na Elingu nie szła w białej sukni, lecz w przepięknym czerwono-złotym sari. W tłumie zebranych w świątyni kruczowłosych kobiet w barwnych strojach wyróżniała się tylko mama Iwony ubrana w kremową garsonkę i, jak córka, jasnowłosa.

W Anglii, w ciągu ostatnich kilku lat, liczba zawieranych przez Polki ślubów mieszanych wzrosła kilkukrotnie. Do Wielkiej Brytanii przyjeżdża wiele samotnych dziewczyn w młodym, dobrym do zakładania rodziny, wieku. Tu często spotyka je zmasowana adoracja i panująca powszechnie opinia, że są piękne i zadbane, konserwatywne, dbające o mężów i dzieci, stawiające na pierwszym miejscu rodzinie, a nie karierze.

WYBORCZY KĄSEK

Tak liczny elektorat, jak brytyjska Polonia, stał się łakomym kąskiem dla wszystkich opcji politycz-



nych w kraju. Nic więc dziwnego, że przed ostatnimi wyborami przedstawiciele każdej liczącej się w kraju partii zaczęły odwiedzać wyspy i przekonywać do poparcia. O głosy warto było tu zabiegać szczególnie. 80 procent brytyjskich Polonusów to osoby przybyłe w ciągu kilku ostatnich lat, wciąż mocno związane z krajem. To ludzie, którzy często nie wiedzą czy zostaną na emigracji na zawsze, czy wrócą za jakiś czas do ojczyzny. A jeśli zdecydują się na powrót do kraju, to chcieliby mieć wpływ na to, jaki on będzie.

Polski elektorat na wyspach pokazał swą siłę

STO LAT MŁODEJ PARZE!

Polsko-sriłański
ślub w świątyni Shri
Kanagathurkkai
Amman w Londynie.

i determinację w dzień wyborów. Aby oddać głos w Londynie, do każdego lokalu wyborczego trzeba było stać w kolejce kilkadziesiąt minut. Po południu w Klubie Orła Białego na Balham, czas oczekiwania wydłużył się nawet do kilku godzin. Przechodzący obok londyńczycy ze zdziwieniem dopytywali, po co stoją tak długie kolejki, robili zdjęcia, filmowali komórkami. – *Daliśmy im lekcję demokracji!* – śmiali się dumni wyborcy.

MONOLIT TO NIE JEST

Mimo znacznego stopnia wewnętrznej integracji Polonii i zwartości polskich wspólnot w Zjednoczonym Królestwie – da się zauważyć, że nie jesteśmy tak solidarną diasporą, jakie tworzą Żydzi czy Ormianie. Wspólny język trudno znaleźć młodej (zarobkowej) emigracji, przybyłej po roku 2004, ze średnią (okresu komunizmu) i starą (wojenną). Różnice pokoleń, przyczyn emigracji i poglądów politycznych utrudniają zbliżenie. Tak jest nawet w kościołach, gdzie starsze i młodsze pokolenia siadają osobno.

„Stara” emigracja także była i jest podzielona. W Anglii urzędowało dwóch konkurencyjnych prezydentów RP, jeden nazywał się „na uchodźstwie”, a drugi „na wychodźstwie” oraz dwa skłócone, nieuznające się wzajemnie rządy.

Do założonego przez Rzymian Colchester, najstarszego miasta Wielkiej Brytanii, położonego 100 km na północny wschód od Londynu, pojechałem sfotografować Juliusza Nowinę-Sokolnickiego. W stylowych wnętrzach zabytkowego hotelu George witał mnie podparty laską, pogodny staruszek o młodzieńczych, roześmianych oczach. To było ulubione miejsce na spotkania tej barwnej i kontrowersyjnej postaci polskiej emigracji.

Sokolnicki był politykiem emigracyjnym, który w 1972 r. po śmierci prezydenta Augusta Zaleskiego ogłosił się Prezydentem Wolnej Polski na Wychodźstwie. Stworzył swój rząd i działał równocześnie z nieuznanymi przez siebie Prezydentami RP na Uchodźstwie. Część środowisk emigracyjnych okrzyknęła go samozwańcem i uzurpatorem, a część uznała za prawowitego prezydenta.

Do zdjęcia, które zamieszczam, Sokolnicki pozował z Orderem Świętego Stanisława, który wcześniej z namaszczeniem rozwinął z różowe-



WYBORY

Demokracja jest po to, by z niej korzystać.

go papieru. Jako prezydent reaktywował nadawanie tego orderu w 1979 roku i mianował się jego VIII Wielkim Mistrzem. Order ten został ustanowiony w 1765 roku przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, jednak ze względu na to, że kolejnymi wielkimi mistrzami orderu byli rosyjscy carowie, nie został on odnowiony w odrodzonej Polsce. VIII Wielki Mistrz, łącząc ceremoniał rycerski z kościelnym, mianował kawalerami i damami OŚS ponad trzy tysiące osób z ponad trzydziestu państw (o połowę więcej niż fundator orderu Stanisław August). W 1990 r. zarówno Sokolnicki, jak i ostatni Prezydent RP na Uchodźstwie Ryszard Kaczorowski, złożyli urząd na ręce nowo zaprzysiężonego Prezydenta RP Lecha Wałęsy. Akt Sokolnickiego nie został uznany.

SWOJI SWOIM WILKIEM

Zmorą najmłodszej emigracji, która nie pozwala poczuć się bezpiecznie w polskiej diasporze,



WIELKI MISTRZ

Juliusz Nowina-Sokolnicki, VII Wielki Mistrz Orderu św. Stanisława z Orderem.

stała się wewnętrzna przestępczość – wykorzystywanie, okradanie i oszukiwanie świeżo przybyłych, nieobeznanych z nowymi realiami, często nieznających języka rodaków. Po 2004 roku na wyspy zaczęli zjeżdżać w poszukiwaniu łatwego zarobku rodzimi przestępcy – złodzieje, oszuści, handlarze narkotyków, sutenerzy. Szybko zawiązały się tu polskie gangi, nad rozpracowaniem których pracują wspólnie policja brytyjska i polska.

– *Wielka Brytania to kraj, gdzie łatwo się ukryć. Nie ma dowodów osobistych ani obowiązku meldunkowego* – mówi dyrektor Biura Kryminalnego KGP podinspektor Paweł Wojtunik, który kilka miesięcy pracował w Scotland Yardzie. – *Brytyjska policja ma niewielką wiedzę o polskich społecznościach, a te są bardzo rozproszone, inaczej niż diaspora arabska czy induska. Stąd jest to świetne miejsce do powstawania grup przestępczych* – dodaje.

Przy wejściu na posterunek Thames Valley

Police w oczy rzuca się wielki plakat przyklejony do lamperii, a przy stanowiskach zgłaszania przestępstw kolejne trzy zalaminowane ogłoszenia. Wszystkie po polsku. „Przyjechałeś niedawno do Wielkiej Brytanii?... Oszukano Cię?... Wyłudźono pieniądze w zamian za pracę?... Zostałeś okradziony?... Skontaktuj się... zgłoś się... przeczytaj... wypełnij kwestionariusz... zadzwoń pod numer z polskim tłumaczem.”

– *Czy dużo skarg zgłaszają Polacy?* – pytam posterunkowego, wskazując na ogłoszenia. – *No cóż, Polakom nie przychodzi łatwo współpraca z policją, więc znacznie mniej się ich zgłasza, niż pada ofiarą przestępstwa. Ale średnio – tak z dziesięć w miesiącu.*

Mimo że w Slough żyje wiele mniejszości narodowościowych, w innych językach oprócz polskiego i angielskiego ogłoszeń i informacji na komisariacie nie było.

Tekst ten jest początkiem cyklu poświęconego Polakom na emigracji w związku z powstającym w Gdyni Muzeum Emigracji, którego „Poznaj Świat” został patronem medialnym.

www.muzeumemigracji.pl



JAPONIA KALEJDOSKOP WRAŻEŃ

EZOTERYCZNE GEJSZE, GOTYCKIE LOLITY, TANTRYCZNE MASAŻYSTKI – ZAPADAJĄ W PAMIĘĆ KAŻDEMU, KTO MIAŁ OKAZJĘ ODWIEDZIĆ KRAJ GDZIE WIŚNIA, CHOĆ NIE WYDAJE OWOCÓW, KWITNIE WYJĄTKOWO EFEKTOWNIE. JAPOŃCZYCY TO NARÓD, KTÓRYM RZĄDZĄ SKRAJNOŚCI. OD NIEŚMIAŁOŚCI W OBCOWANIU Z DRUGIM CZŁOWIEKIEM, DO WYUZDANYCH FORM EKSPRESJI SEKSUALNEJ. JAPOŃSKA KONSERWATYWNOŚĆ NADAL ŚCIERA SIĘ Z OSTENTACYJNYM UPRZEDMIOTOWIENIEM KOBIET, KTÓRE Z POKORNĄ ULEGŁOŚCIĄ PODDAJĄ SIĘ TEJ MANIPULACJI.

Jednymi z najbardziej wyrazistych kobiecych sylwetek w historii japońskiej kultury są gejsze. Nieczęsto wspomina się, że pierwszymi gejszami byli mężczyźni. Będąc w posiadaniu różnych talentów, takich jak śpiew i taniec – umilali czas gościom japońskich domów publicznych, którzy oczekiwali na wybrane przez siebie kurtyzany.

Dopiero w XVII wieku kobiety zaczęły przejmować role gejsz. Jako chodzące dzieła sztuki, upajały swoim nieskazitelnym pięknem, inteligencją i precyzyjnie wyćwiczoną elegancją towarzyską. W trakcie II Wojny Światowej gejsze straciły na swej reputacji, gdyż luksusowe prostytutki, proponujące swe usługi amerykańskim okupantom, zazwyczaj same nazywały siebie gejszami. W ten sposób, w oczach całego świata, zatarła się granica między prostytutką a tą niezwykle egzotyczną, japońską formą „public relations”.

Dziś gejsze z pewnością cieszą się mniejszą popularnością niż prostytutki. Rozwój kultury i obyczajów sprawił, iż aktualnie Japonia dysponuje niezwykle sze-

rokiem wachlarzem pośrednich form tych dwóch skrajnych, kobiecych zawodów.

Wyjątkowo powszechne są punkty, które oferują swoje usługi w zakresie masażu tantrycznego. Wprawdzie polega on na masowaniu całego ciała, łącznie z intymnymi strefami erogennymi, ale jest tutaj całkowicie legalny a wykonujące go kobiety należą do zwyczajnie traktowanej grupy społecznej.

Japońskie metro w godzinach nocnych, dysponuje specjalnie wydzielonymi wagonami dla samotnie podróżujących kobiet. Mimo to, prostytutka oralna w wagonach „koedukacyjnych”, jest tutaj często spotykanym zjawiskiem. Nikogo też nie dziwią stojące na japońskich ulicach automaty, które poza coca colą sprzedają również używaną damską bieliznę, ciesząc się dużym uznaniem nie tylko wśród erotomanów.

KUSICIELKI Z HARAJUKU

Pomimo, że według Światowej Organizacji Zdrowia, Japonki zostały uznane za najdłużej żyjące kobiety na świecie, już przed

25 rokiem życia zaczynają się one obawiać szybkości upływającego czasu. Splecione z dwóch niewinnych wyrazów określenie: „kurisumasu keiki” budzi powszechny strach u niezamężnych Japonek. W dosłownym tłumaczeniu, słowa te określają „ciasto świąteczne”; w znaczeniu metaforycznym natomiast – starą pannę, która nie zdążyła w odpowiednim czasie znaleźć sobie wybranka na całe życie.

Japońscy mężczyźni są nie tylko fetyzystami białej skóry ale też jej nieskazitelnej gładkości. Długie, sztuczne rzęsy i pełna hipokryzji niewinność spojrzenia, to najstraszniejsza broń ofensywna japońskich pań na wydaniu. W jednej z najbardziej ekscentrycznych dzielnic Tokio, zwanej Harajuku, każdego dnia można spotkać tłumy przechadzających się dziewczyn, czyhających na swoją zdobycz.

Mieszczące się tutaj sklepy odzieżowe, dysponują szeroką gamą strojów, które przemieniają Japonki w prawdziwe księżniczki z krainy czarów. Połączenie porcelanowej baletnicy z kolorowymi postacia-



mi „anime” – to standardowy wizerunek japońskiej fashionistki. Marka „Baby, The Stars Shine Bright”, stworzona przez projektantkę Akinori Isobe, wykreowała trzy style ubioru: ghotic lolita, punk lolita i sweet lolita. Ten ostatni, zważywszy na kolorystyczną przewagę różu, cieszy się tutaj największą popularnością.

Japończycy nadal tkwią w przeświadczeniu, że tylko niewinna dziewczynka potrafi spełnić ich erotyczne fantazje. W tym niezwykle frywolnym obyczajowo kraju, pornografia nadal nie jest legalna. W każdym jednak kiosku można kupić pornograficzne komiksy zwane: hentai czy ecchi. Finezyjnie namalowane akty, najczęściej przedstawiają nagie, młodziutkie Japonki. Na przekór ich prawdziwej naturze, rysownicy obdarzają je dużym biustem i burzą loków na głowie. Takie połączenie kobiecych atrybutów fizycznych jest ucieleśnieniem marzeń jednego Japończyka.

LUSTRO A DUSZA

Jedno z japońskich przysłów mówi, że: „lustro jest duszą kobiety, podobnie jak miecz jest duszą samuraja”. Japonki wyjątkowo skrupulatnie dbają o swoją urodę. Niektóre kanony piękna od wieków nie ulegają zmianie.

Biała skóra jest priorytetem, dla którego japońskie kobiety są w stanie poświęcić wszystko, nawet przyjemność z bezpośredniego wygrzewania się na słońcu. Latem plaże na Hokkaido odwiedzane są przez tłumy dziewczyn w bikini, które w dłoniach, zamiast kremu z filtrem UV, dzielnie dzierżą kolorowe parasolki. Le-

gandy o codziennych masażach twarzy i kąpielach w sake nie są przesadzone.

Japonki dbają o kondycję swojej skóry z wyrafinowaną dokładnością. Taki sam stosunek mają do utrzymywania dobrej linii. Naomi Moriyama w książce pt. „Japońskie kobiety nie starzeją się i nie tyją” napisała, że tylko 3 proc. japońskich kobiet można nazwać mianem puszystych – natomiast, co zadziwiająco, to właśnie w Japonii stwierdzono największy procent zachorowań na anoreksję i bulimię.

Po tak wycieńczającym wyścigu z czasem, Japonki nie zapominają o walce z Matką Naturą i cechami, jakimi zostały przez nią niesprawiedliwie obdarzone. Zabiegi zagęszczania włosów, operacje plastyczne przedłużania nóg i powiększania oczu – to coraz częściej spotykane inwestycje młodych dziewczyn, czy też ich rodziców.

Wszystkie te misterne działania służą im do zdobycia właściwego męża, w odpowiednim czasie. Japońskie małżeństwa, w większości przypadków są aranżowane i stanowią swoisty układ między dwoma rodzinami, które wyraziły zgodę na wzajemne powinowactwo. Dziś, w trudnych przypadkach, rolę swata przejmują pracownicy specjalnych firm kojarzących małżeństwa. To oni pomagają Japonkom zostać „zawodową żoną” czyli tzw. „sengyo shufu”. Los japońskiej żony nie jest jednak łatwy. W konserwatywnych małżeństwach nadal to kobieta idzie spać ostatnia, wstaje pierwsza i rozpoczyna posiłek dopiero wtedy, kiedy mężczyzna jej na to pozwoli.

Pierwsza kobieta w japońskim rzą-

dzie, Mayumi Moriyama, pojawiła się dopiero w 1990 roku. Jako minister sprawiedliwości, zdobyła wielkie uznanie w oczach Japonek. Jej głośna kampania o uchylenie zakazu dopuszczania kobiet do zawodów sumo, sprawiła iż zaczęto mówić o początkach japońskiego feminizmu. Współczesne zachowanie Japonek nie świadczy jednak o tym, by pragnęły one feministycznych zmian. Uległe kokietki, o białych twarzach i delikatnych dłoniach, posłusznie odnajdują swoje właściwe miejsce w szeregu. Według francuskiego poety Jean’a Cocteau – „na pięciu zagorzałych antyfeministów, przypada jeden mężczyzna i cztery kobiety”. Chociaż każda Japonka grzecznie potwierdziłaby tę opinię – swoje prawdziwe zdanie na ten temat, ukryłaby za wachlarzem lub w tonach udawanego, dziewczęcego chichotu. ○

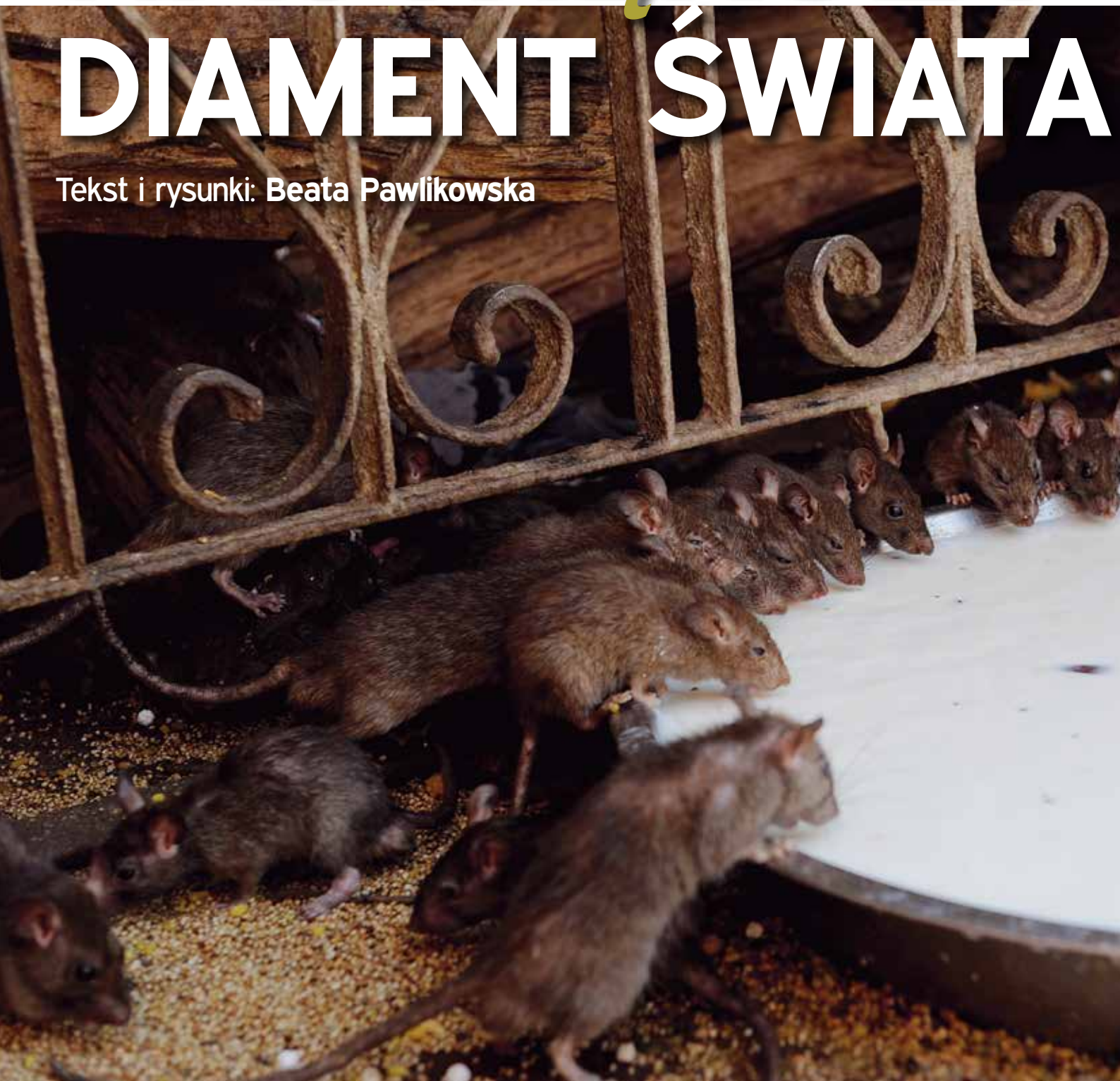
AGNIESZKA BARTUSIAK:



Z wykształcenia jest filologiem polskim i dziennikarką. Współpracuje z wieloma redakcjami. Jest modelką reprezentującą największe światowe agencje.

NAJWIĘKSZY DIAMENT ŚWIATA

Tekst i rysunki: Beata Pawlikowska





Stanęłam przed srebrną bramą. Była wielka i ciężka, jak wrota do pałacu. Rozejrzałam się niepewnie. Miałam dziwne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Nie jeden ktoś, ale tak jakby... Potrząsnęłam głową. Może za długo stałam na słońcu i dlatego teraz mam przywidzenia. Nawet nie całkiem realne, tylko... Zamrugtałam.

Ta wielka srebrna brama kryta w sobie jakąś tajemnicę i nawet jeśli naprawdę była wyposażona w śledzące mnie oczy, postanowię ją zgłębić.

Pchnęłam drzwi. Przeszłam przez próg. – *Buty* – szepnął strażnik, wskazując na moje sandały.

Racja, do świętych miejsc nie wolno wchodzić w obuwiu. Trzeba ich dotykać nagimi stopami, mimo że... Zadrżałam. Biała marmurowa posadzka pod moimi bosymi stopami była dziwnie wilgotna. Wydawało mi się, że wdeptuję w...

– *Ooooch!* – wyrwało mi się z ust.

Na posadzce siedział szczur. Patrzył na mnie spod brwi, poruszając ogonem. Po chwili podbiegł do niego drugi szczur, a potem kilka następnych, po czym w gromadzie ruszyły przed siebie. Prosto na mnie. W jednej sekundzie uświadomiłam sobie trzy rzeczy: po pierwsze to, że mokre kałuże na posadzce zostały prawdopodobnie zostawione tam przez szczury, a fe! Po drugie to, że szczury przenoszą tyfus i kilka innych chorób, a po trzecie że właśnie wbiegają na moje stopy!! Help!!!... – wrzasnęłam w myślach, ale milczałam jak zakłeta.

Poczułam na skórze tętent małych łapek. Jeden ze szczurów zatrzymał się, poruszył nosem, podniósł głowę i popatrzył mi w oczy. Miał bystre spojrzenie, czarne oczka i wyraz zastanowienia na pysku. On wiedział, że jest u siebie, podczas

gdy ja byłam tylko gościem o zdumiewająco jasnym kolorze skóry.

I żadne z nas właściwie nie powinno być tym faktem zaskoczone. Ja wiedziałam przecież, że przekraczam próg Świątyni Szczurów. A szczur wiedział, że przybywają do niej ludzie z najdalszych zakątków Indii. Teoretycznie wszystko było jasne, ale rzeczywistość bywa czasem bardziej niezwykła od najmocniej wybujałych wyobrażeń.

Świątynia Szczurów znajduje się w wiosce Deshnok, trzydzieści kilometrów na południe od miasta Bikaner w północnych Indiach, tuż przy granicy z Pakistanem. Jej historia jest równie mroczna i tajemnicza, jak lochy pod pałacem maharadży, a rozpoczyna się w październiku 1387 roku, kiedy na świat przyszła Karni Mata. Jej rodzice należeli do wysokiej i szanowanej kasty Charan, słynącej z żołnierzy i poetów. Ludzie w niej urodzeni są niezwykle dzielni w walce, gotowi oddać życie za prawdę, w którą wierzą, a także mają naturalny talent do pięknego składania słów.

Ludzie szybko się zorientowali, że Karni Mata nie jest zwykłą dziewczynką. Rozpoznano w niej kolejne wcielenie wojowniczej bogini Durga, która z kolei sama była jedną z cielesnych form bogini Parvati, żony Sziwy². Już za życia zbudowano jej kilka świątyń. Najslynniejsza powstała jednak w momencie jej tajemniczego zniknięcia z domu. To właśnie ta świątynia znajduje się w Deshnoke. A skąd wzięły się w niej szczury? To proste. Sprowadziła je tam Karni Mata.

Bardziej skomplikowana jest odpowiedź na pytanie z jakiego powodu i w jakim celu to zrobiła. Jedna z legend mówi, że zagniewana bogini za karę zamieniła całą rodzinę w szczury, dorzucając w swoim przekleństwie to, że od tej pory będą ze szczurów zamieniać się w ludzi, by potem znów przybrać postać gryzoni, zostaną więc na wieczność uwięzieni w kręgu reinkarnacji, bez szansy na uwolnienie się z niej i osiągnięcie nirwany.

Według innej opowieści pewnego dnia zmarł syn jednego z przyjaciół Karni Maty, pochodzącego z tej samej kasty. Wróżbitka zwróciła się o pomoc do Boga Śmierci, Yamy, prosząc go o przywrócenie chłopca do życia. Yama odrzekł, że niestety jest już za późno, ponieważ chłopiec rozpoczął właśnie nowe życie pod postacią szczura.

– W takim razie – zdecydowała Karni Mata



0000CH!

Zadrżałam. Biała marmurowa posadzka pod moimi bosymi stopami była dziwnie wilgotna. Wydawało mi się, że wdęptuję w...

– niech wszyscy ludzie z mojego rodu zamieniają się w szczury przed powrotem do ludzkiej postaci.

I tak się stało.

To oznacza, że wszystkie szczury w świątyni są w rzeczywistości ludźmi. I dlatego właśnie są uważane za święte.

Wielka musiała być rodzina Karni Maty – pomyślałam, rozglądając się po marmurowej posadzce. Przy miskach z mlekiem siedziały dziesiątki, setki szczurów. Były niezbyt duże,



zdecydowanie mniejsze od szcurów europejskich, ale miały takie same ruchliwe wąsiki i długie gołe ogony.

– *Ile ich tu jest?* – zapytałam od niechcienia Hindusa w turbanie.

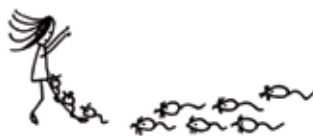
– *Dziesięć tysięcy* – odrzekł spokojnie, a ja poczułam jak miękną mi kolana.

Dziesięć tysięcy szcurów! Biegających po najdalszych zakamarkach świątyni. Dookoła dziedzińca wyłożonego płytami z białego marmuru znajdowały się rozmaite pomieszczenia, komnaty, schody, składy i magazyny dziwnych przedmiotów. Stały tam kartony, kotły, skrzynie, ogromne metalowe misy i wiele innych rzeczy. Była nawet czerwona chorągiew z drzewcem zakończonym trójzębem, który jest symbolem boga Sziwy. I wszędzie, wszędzie biegały szcury. Wspinały się na kraty, zadziwiający sposobem wdrapując się na pionowe pręty i sadowiąc na fantazyjnie wygiętych metalowych częściach. Skakały po stopniach, buszowały w zbożu rozrzuconym po podłodze, chowały się w otworach wentylacyjnych, by po sekundzie wyskoczyć z nich na zewnątrz i pobiec dalej przed siebie. Najwięcej tłoczyło się jednak przy misach specjalnie dla nich napełnionych mlekiem. Obok leżały też żółte kawałki słodkich laddu, czyli kulek zrobionych z mąki, kaszy albo sproszkowanego grochu i oblepionych syropem.

W POGONI

Ona widziała białego szcura! – wrzasnął Hindus i wszyscy tubylcy natychmiast odwrócili się w moją stronę.

– Tam jest, tam jest!! – wrzasnęli zgodnym chórem i pobiegli za szcurem.



Poculiłam na skórze tętent małych łap. Jeden ze szcurów ratnymat się i spojnat mi w oczy

Szcury najwyraźniej były tu szczęśliwe. I ludzie chyba też, skoro przybywali tu z najdalszych zakątków Indii, żeby złożyć dary. Podczas festiwalu Navratri trwającego przez dziesięć dni w terminie wyznaczonym przez kalendarz księżycowy, zwykle przypadającym między wrześniem a listopadem, tysiące ludzi przychodzi tu do świątyni z pieszą pielgrzymką. Jeśli w tym potężnym tłumie zdarzy się wypadek i ktoś niechcący nadeptnie na jednego ze świętych szcurów, musi w darze ofiarować szcurem zrobieonego ze szczerego złota.

A jeśli spełni się życzenie pielgrzyma, który był w świątyni i prosił boginię Durgę o wsparcie w jakiejś ważnej sprawie, musi tu wrócić i ugotować dwa wielkie garnki jedzenia, najlepiej ryżu ze słodkimi dodatkami, i rozdać je obecnym nieznanym. Wtedy opieka bogini będzie trwała dalej.

Kucnęłam, żeby zrobić zdjęcie szcurów pijących mleko. Natychmiast podbiegło do mnie kilkanaście gryzoni i zaczęło wspinać się po moich nogach. Czułam ich pazurki wbijające się przez spodnie w skórę. Zaciśnęłam usta, żeby nie krzyknąć. Szcury spacerowały po mnie jak po deptaku. Dwa kroki naprzód, trzy kroki w tył, brakowało tylko kolorowych parasolek i pogaduszek przy kawie.



Wszystkie szczury w świątyni są w neocynowości ludźmi i dlatego właśnie są uważane za święte

Patrzyłam na nie ze zdumieniem i zastanawiałam się co musiałabym powiedzieć w szczurzym języku, żeby zechciały ze mnie zejść, gdy nagle znów poczułam ten dziwny wzrok, który wydawał się wbity we mnie jak oszczep.

Rozejrzałam się. Może jest tu szczur-wartownik?... Może mają futrzaną gwardię strzegącą bezpieczeństwa pozostałych osobników?

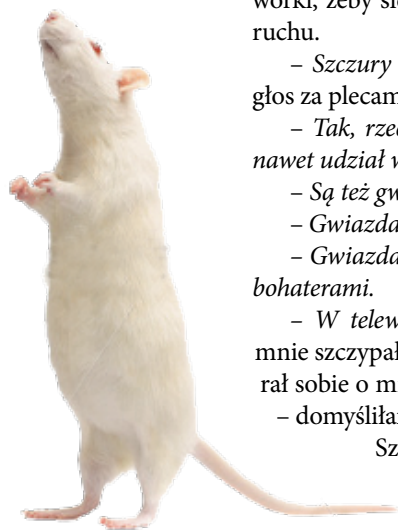
A może...

– *Aaa!* – szczur wspiął mi się na ramię i usiłował powąchać mnie w ucho.

Opuściłam rękę, zachęcając go do powrotu na marmurową posadzkę. Pochyliłam się, potrząsnęłam ramieniem. Ale nie, szczur nie tylko nie wybierał się z powrotem na ziemię, dodatkowo zaczął mnie łaskotać wąsami w szyję. Wyraźnie podobała mu się ta bliskość, czego nie można było powiedzieć o mnie. Szczury kojarzyły mi się z... *aaaa!* – zadygotałam pod szczurzymi wąsami – kojarzyły mi się dotychczas z dżumą, tyfusem i wirusem Lassa, który wywołuje gorączkę krwotoczną. W Tajlandii na przekąskę podaje się czasem pieczonego szczura. Szczury uciekają ze statku, który ma zatonać. Ludzie czasami zachowują się jak szczury, ukradkiem robiąc coś złego za czyimiś plecami, a wyścig szczurów to ślepa

BIAŁEGO SPOTKAĆ

Spotkać się z białym szczurem – wielkie to szczęście.



pogoń za kasą i sukcesem.

– *Sz-sz-szczur* – jęknęłam czując dreptanie małych łapek po mojej szyi – raczej nie jest zbyt pozytywnym... gryzoniem.

– *Doprawdy?*

– *No tak* – odrzekłam, nie poruszając się, bo szczur zawędrował właśnie na moje drugie ramię.

Co robić?... Czekać? Prosić? Zaklinać? Ale jak?... Nie chciałam gwałtownie się poruszać, bo z tego z wiem o zwierzętach – i co wiele razy przetestowałam na własnej skórze z dzikimi bykami, psami, węzami czy pajakami – zwierzę atakuje najczęściej wtedy, kiedy czuje się zagrożone. Każdy mój nieostrożny gest mógłby zostać odczytany jako próba agresji i wtedy ... usiłowałam sobie przypomnieć jak ostre są zęby szczura. Ha! Przecież myszy i szczury potrafią przegryzać worki, żeby się dostać do ziarna! Zastygłam bez ruchu.

– *Szczury są inteligentne* – usłyszałam znów głos za plecami.

– *Tak, rzeczywiście* – zgodziłam się. – *Biorą nawet udział w naukowych eksperymentach.*

– *Są też gwiazdami.*

– *Gwiazdami?...* – zapytałam z zaskoczeniem.

– *Gwiazdami* – powtórzył z uporem głos. – *I bohaterami.*

– *W telewizji? Au!...* – krzyknęłam, bo coś mnie szczypało w ramię, tak jakby szczur wycierał sobie o mnie różowe łapy. – *Nie w telewizji?* – domyśliłam się.

Szczypanie ustało.

– *Szczury są gwiazdami* – powtórzyłam z głębokim namysłem, próbując zyskać na czasie.



Pomyślałam, że może najlepszym rozwiązaniem będzie położyć się na tej mokrej i zimnej marmurowej posadzce, żeby wędrujący po mnie szczur mógł łatwo zejść na ziemię i wrócić tam, skąd przyszedł.

– *Szczury są gwiazdami!* – przypomniałam sobie. – *W chińskim zodiaku! Człowiek urodzony w roku szczura jest kreatywny, pomysłowy, ruchliwy, inteligentny, pracowity i ma wiele talentów artystycznych!*

– *No widzisz* – odrzekł szczur i zeskoczył na ziemię.

A może tylko mi się zdawało. Wstałam, odwróciłam się, ale w pobliżu nie było nikogo. Hindus w turbanie siedział przy kracie oddzielającej wewnętrzną część dziedzińca i karmił zachwycone szczury ziarnem. On też wydawał się bardzo uradowany.

– *To dobry znak* – powiedział, podnosząc głowę i wskazując podbródkiem na szczura spacerującego po jego nagich stopach. – *Przynosi dobre zdarzenia.*

– *Cieszę się* – odrzekłam.

Sadząc po stadach szczurów, które dzisiaj przebiegły nie tylko po moich stopach, ale i po kolanach, biodrach i ramionach, czeka mnie rok samych miłych niespodzianek. Wprost przeci-

KTOŚ NA MNIE PATRZY

Kucnęłam, żeby zrobić zdjęcie szczurów pijących mleko. Natychmiast podbiegło do mnie kilkanaście gryzoni i zaczęło wspinać się po moich nogach. Może jest tu szczur-wartownik?... Może mają futrzaną gwardię strzegącą bezpieczeństwa pozostałych osobników?



wnie do tego, co znajdowało się pod moimi bosymi stopami. Znowu wdepnęłam w coś mokrego. Szczury nie były raczej przyzwyczajone do korzystania z toalety w jednym określonym miejscu. A ich odchody wcale nie wydawały się bardziej święte od zwykłych.

Pochyliłam się, żeby ukradkiem wytrzeć skórę chusteczką i wtedy znów to poczułam. Przenikliwe oczy wpatrujące się we mnie tak mocno, jakby chciały przewiercić mnie na wylot. Powoli, jak w transie, odwróciłam się w ich stronę. Wyprostowałam się, opuściłam aparat fotograficzny i zaczęłam przeszukiwać wzrokiem ciemne i pozornie puste zakamarki pomieszczeń za metalowym ogrodzeniem. Kłębiły się tam oczywiście setki szarych szczurów, ale do tego widoku zdążyłam się już przyzwyczaić. Szukałam czegoś innego, a może kogoś innego...?

Być może stoi tam laser wycelowany we mnie promieniem, a może kamera filmowa rejestrująca zachowanie pielgrzymów, albo... ktoś robi mi ukradkiem zdjęcia? Zajrzałam do komnaty z ołtarzem, wokół którego stali pielgrzymi. Sprawdziłam metalowe misy i kotły, stoły i skrzynie, aż nagle...

Blask. Dziwne lśnienie. Wyglądające jak odbicie światła w lustrze. A właściwie w dwóch lustrach. Lusterkach. Lustreczkach, bo były bardzo małe. Okrągłe. Błyszczące. Intensywnie emanujące.

Wyciągnęłam szyję. Jeszcze bardziej. Poczulałam się jak żyrafa zarzucająca żurawia w ciemność indyjskiej nocy. Co kryło się tam pod okopconym garnkiem?... Zrobiłam krok naprzód.

Największy diament świata! Koh-i-Noor, czyli Góra Światła. Sto pięć karatów. Znaleziony pięć tysięcy lat temu w wiosce Kollur w stanie Andhra Pradesh. Należał do maharadzów, potem do Wielkich Mogołów. Władca Szahdżahan, który zasłynął później z budowy Taj Mahal, kazał wkleić ten diament do swojego tronu. Potem Koh-i-noor zawędrował do Persji, Afganistanu, Pakistanu, by wrócić do Indii i zostać stamtąd wysłany do Wielkiej Brytanii. Stało się to na mocy traktatu podpisanego w 1846 roku po zdobyciu przez Anglików stanu Pendżab. W paragrafie opisującym warunki okupacji brytyjskiej napisano m.in., że:

Klejnot znany jako Koh-i-Noor,



CZŁOWIEK SZCZUREM

Człowiek urodzony w roku szczura jest kreatywny, pomysłowy, ruchliwy, inteligentny, pracowity i ma wiele talentów artystycznych!



Namaste w języku hindi oznacza powitanie i podziwianie. Powinno się je mówić składając jednocześnie dłonie na wysokości serca

który został odebrany emirowi Szuja Szah Dur-rani przez maharadzę Randzita Singha, zostanie przekazany przez maharadzę z Lahore królowej Anglii.

I tak się też stało. Największy diament świata trafił do korony angielskiej królowej i znajduje się tam do dziś. Indie mniej lub bardziej otwarcie sugerują Anglikom jego zwrot, ale jak dotąd bezskutecznie.

Diament pod garnkiem poruszył się i zamigotał. Zaintrygowana zrobiłam jeszcze jeden krok w jego stronę, a potem podskoczyłam ze strachu, bo diament nagle wyprysł spod garnka i co sił w nogach popędził przez marmurową posadzkę.

Wszyscy zaczęli krzyczeć.

– *White rat, white rat!!! Biały szczur, biały szczur!*

Zbiegli się z innych zakątków świątyni, przepychając się i rozmawiając z takim poruszeniem, jakby po podłodze naprawdę galopował diament.

– *O co chodzi?* – zapytałam Hindusa w turbanie.

– *Biały szczur!* – zawołał. – *Ktoś zobaczył białego szczura!*

– *Ja go widziałam* – odrzekłam. –



Smak Indii w Twojej kuchni



Patak's to autentyczna marka produktów, stworzona przez indyjską rodzinę Pathak. Tajemniczość indyjskich potraw niesie z sobą bogactwo smaku i aromatów, którym trudno się oprzeć.

Tradycyjne receptury są gwarancją oryginalnych doznań kulinarnych. Patak's posiada wszystko, co jest niezbędne do przygotowania indyjskiego posiłku.

Jednym z pomysłów może być kurczak w Sosie Tikka Masala Patak's – prosty sposób na pyszne i szybkie danie.

Zasmakuj również w sosach:



Siedział pod garnkiem.

– Ona widziała białego szczura!! – wrzasnęła Hindus i wszyscy tubylcy natychmiast odwrócili się w moją stronę.

– Gdzie?! Gdzie?!

– Tam – pokazałam palcem za znikającym w ciemności różowym ogonem.

– Tam jest!! Tam jest!! – wrzasnęły zgodnym chórem Hindusi i pobiegli za szczurem.

A ja pobiegłam za nimi.

– Gdzie jest?! Gdzie jest?! – pytali bezradnie, chwytając za wygięte pręty ogrodzenia.

– Uciekł? – zapytałam dziewczyny w sari.

– Ukrył się – odrzekła z lekkim żalem w głosie.

– Przed czym?

– Ukrył się – powtórzyła, wzruszając ramionami. – To wielka rzadkość zobaczyć białego szczura. Wielki przywilej. I wielka radość. Może następnym razem się uda.

– Przywilej? – podchwyciłam. – Dlaczego?

– Jest tylko jeden biały szczur w całej świątyni.



BYŁY WSZĘDZIE!

Wszędzie biegały szczury. Wspinały się na kraty, zadziwiającym sposobem wdrapując się na pionowe pręty i sadowiąc na fantazyjnie wygiętych metalowych częściach.

Czasem komuś się ukazuje. To jest znak. Symbol. Zapowiedź. To jest coś... coś tak bezcennego jak...

– Jak diament – wtrąciłam.

– Bezcennego jak diament – zgodziła się dziewczyna. – Ten kto zobaczy białego szczura, zostanie obdarzony wielkim bogactwem.

Bogactwem duszy – dodałam w myślach – które rozjaśni nawet największą ciemność nieoswojonych myśli. Bo tylko takie bogactwo, które wywołuje wewnętrzny blask, trwa wiecznie.

Uśmiechnęłam się i zaciskając mój diament w dłoni wyszłam z powrotem na ulicę. ○



Beata Pawlikowska – pisarka, podróżniczka, autorka wielu książek i audycji „Świat według Blondynki” w Radiu ZET, www.beatapawlikowska.com

Fragment książki „Blondynka w Indiach” wydanej przez National Geographic, która trafi do księgarń w maju 2011.

PODRÓŻ TO SPOTKANIA Z ODMIENNOŚCIĄ...

INNE KRAJOBRAZY, ZWYCZAJE, LUDZIE – A WŚRÓD NICH, DLA PODRÓŻNYCH ŻĄDNYCH WIEDZY NA TEMAT ODWIEDZANYCH MIEJSC, ISTOTNE OSOBY: PRZEWODNICY. PRZEZ PRYZMAT ICH WIEDZY I WRAŻLIWOŚCI POZNAJEMY NOWE ŚWIATY, NA OGÓL NIE PAMIĘTAJĄC O TYM, ŻE DLA NICH I MY JESTEŚMY ŹRÓDŁEM INFORMACJI. WYDAŁO NAM SIĘ CIEKAWIE DOWIEDZIEĆ SIĘ OD PRZEWODNIKÓW Z RÓŻNYCH STRON ŚWIATA, JAKIE MIELI DOŚWIADCZENIA Z TURYSTAMI.

Ester Moss

PRZEWODNICZKA Z IZRAELA



Oprowadza turystów od ponad dwudziestu lat. Niedługo były to grupy anglojęzyczne, najczęściej z Wielkiej Brytanii. Od połowy lat dziewięćdziesiątych, kiedy do Izraela zaczęło przyjeżdżać więcej turystów z Polski, pracuje przede wszystkim z nimi.

Jak oceniasz polskich turystów, czy coś ich wyróżnia?

Jestem Żydówką urodzoną w Polsce. Polski to mój macierzysty język. Z Polakami czuję się jak w domu. Praca z nimi to przyjemność. Lubię błyskotliwe poczucie humoru polskich grup. Kiedy żartują i bawią się – przypominają mi moje lata szkolne, czuję się młodszą duchem. Żydzi i Polacy mają wspólną historię. Przez setki lat mieszkali obok siebie, łączyło ich wiele spraw. Dla Polaków są oczywiste podstawowe informacje związane z narodem żydowskim i państwem Izrael, które innym nacjom trzeba wyjaśniać.

Jakie jest najczęściej zadawane pytanie, jakie najciekawsze, a jakie najgłupsze?

Pytań zwykle jest bardzo dużo. Najczęściej pytana jestem o znajdujące się na terenie państwa Izrael miejsca kultu związane z religią chrześcijańską. Równie częste są

pytania dotyczące konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Ciekawym pytaniem było, przytaczam dosłownie: „Dlaczego takie małe państwo jak Izrael jest powodem takiego zamieszania, że wciąż trafia na czołówki światowych mediów.” Do tej grupy pytań zaliczylibym prośbę o wyjaśnienie, dlaczego co kilkadziesiąt kilometrów zmienia się krajobraz, klimat i roślinność. Zdarzają się pytania, może nie głupie, ale banalne. Nie dziwiłoby mnie one. Tak jest, jeśli turysta widzi coś po raz pierwszy.

Co najbardziej dziwi turystów?

Różnorodność Izraela. Widać, że to państwo zostało zbudowane przez Żydów pochodzących z ponad stu różnych państw świata. W starej Jerozolimie wielokulturowość i wieloreligijność widoczna jest na każdym kroku: mniszka w habicie spiesząca do Bazyliki Grobu mijają grupki muzułmanów zdążających na plac świątynny, obok ortodoksyjni Żydzi w sztrejmlach (futrzanych czapach) kierują się pod ścianę płaczu.

Czy nauczyłaś się czegoś od turystów?

Tak, przede wszystkim nauczyli mnie patrzeć na mój kraj ich oczami. Z uznaniem mówią o izraelskim nowoczesnym rolnictwie – zdziwienie budzą urodzajne pola w pustynnym, ubogim w wodę kraju. Podkreślają dobry system dróg, zwracają uwagę na wysokościanowce Tel-Awiwu, gdzie mieszczą się firmy, z którymi wiąże się finansowy sukces kraju. Nie mniej zachwycają turystów liczne parki archeologiczne, które umożliwiają „skok w przeszłość”, do początków

chrześcijaństwa i jeszcze bardziej zamierzonych czasów.

Najbardziej niebezpieczne zdarzenie?

Kilka lat temu, w lipcu 2006 roku, z czterdziestoosobową grupą zwiedzałam wykopaliska w Seforis – w okresie rzymskim i bizantyjskim było to największe miasto w dolinie Izraela i Galilei. Nagle, jak spod ziemi, wyrosli przed nami żołnierze izraelscy. Grzecznie, choć stanowczo wyprosili nas mówiąc, że znajdujemy się pod ostrzałem rakiet Hezbollahu. Polacy, zupełnie nie wystraszeni, próbowali dyskutować. Nagle usłyszeliśmy trzykrotne: bum, bum, bum. I już bez ponaglań, błyskawicznie, wszyscy znaleźli się w autobusie. Nic nikomu się nie stało, a turyści wysyłali esemesy – pozdrowienia z bombowej wycieczki.

Czy musiałaś wstydzić się za turystów?

Turyści z Polski są na ogół zdyscyplinowani i cierpliwi, czekając kilka godzin w kolejce do Bazyliki Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Innym grupom zdarza się, że starają się uniknąć oczekiwania.

Zaskoczenie?

Kiedyś jedna z polskich grup bardzo mnie zaskoczyła. Podczas zwiedzania zwróciła uwagę na mój, często krytyczny stosunek do rządu Izraela. Kiedy zęgnaliśmy się w plażowej kawiarence nad Morzem Martwym – po moich podziękowaniach za punktualność i dobrą atmosferę – grupa obstała mnie, skandując: „Ester na premiera”. Musiałam to przetłumaczyć pozostałym, izraelskim gościom lokalnie. Uczyniłam to nie bez dumy. ○



**ZIEMIA
NIEZNANA
ZIEMIA
OBIECANA**

Tekst i zdjęcia: **Anna Olej-Kobus**



Polska wciąż potrafi zaskakiwać. Niby wszystko zostało poznane i opisane, a tymczasem – gdy uważniej spojrzeć na mapę – odnajdziemy kolejne niezwykle miejsca. W okolicach Łodzi czeka prawdziwa Ziemia Obiecana pełna niezwykłych atrakcji: sawanna nad Nerem, indiańska wioska, rycerskie turnieje, barwne procesje, katedra bez miasta i pradziadek światowych mostów.

Na początek warto zwiedzić... Piątek. Ta niewielka miejscowość jest bowiem geograficznym środkiem Polski, co potwierdzają stosowne znaki przy wjeździe do wioski oraz „pomnik środka” na rynku. Po Piątku warto dociągnąć... do Soboty. Najważniejszymi zabawkami tej miejscowości są: murowany renesansowy dwór oraz gotycki kościół. Masywne mury i okrągłe baszty zdradzają obronny charakter budowli, w jej wnętrzu znajdziemy piękne kamienne nagrobki dawnych właścicieli tych ziem.

Kogo interesuje historia, a nie tylko kalendarz, ten koniecznie powinien udać się do położonych zaledwie dwa kilometry dalej Walewic. Już sama nazwa wioski zdradza, iż miejsce to związane jest z osobą Marii Walewskiej, ukochanej Napoleona. W tutejszym pałacu urodziła synka pochodzącego z tego burzliwego związku i zapewne spacerowała z nim po parku otaczającym rezydencję.



MIEJSCE PŁOMIENNYCH UCZUĆ

Pałac w Walewicach
jest znany z romansu
Marii Walewskiej
z cesarzem Francuzów.



A W ŁOWICZU BIJĄ W TARABANY

Ten kolisty
bęben służył do
wybijania na nim
rytmu, zastępując
kościelne dzwony.

KWIATY, PASY, TARABANY

Po spotkaniu z przeszłością – pora na kontakt z żywą tradycją. Najlepiej w Łowiczu, gdzie podczas Bożego Ciała (w tym roku wypadającym 23 czerwca) ma miejsce niezwykle barwna procesja. Pierwszą rzeczą, która rzuca się w oczy, są kwiaty wszechobecne na procesyjnych sztandarach, na mankietach koszul i kapeluszach mężczyzn, na szerokich spódnicach i chustach kobiet. Nawet ksiądz proboszcz ma stulę zdobioną kwiatami!

Wszędzie widać też łowickie pasiaki, które wedle miejscowej legendy były wzorem dla mundurów papieskiej Gwardii Szwajcarskiej. I chociaż historycy dowodzą, że mundury owe nawiązują do tradycyjnych barw florenckich Medyceuszy, to przecież miło pomyśleć, że prawdziwe piękno nie zna granic.

Jeszcze kilkanaście lat temu procesja wyglądała znacznie mniej okazała, jednak duma z dawnego Księstwa Łowickiego zaczęła się odradzać i dziś w święcie bierze udział ponad sto osób w tradycyjnych strojach. Gdy w pewnym momencie usłyszymy wściekłe dudnienie bębna – nie oznacza to próby przerwania uroczystości, a wręcz przeciwnie. Niesiony przez dwie kobiety półkolisty bęben służy do wybijania na nim rytmu, zastępując tradycyjne kościelne dzwonki. Niegdyś używano takich tarabanów w marszu i bitwach do przekazywania rozkazów. Pamiętacie? W ostatniej zwrotce hymnu:

Już tam ojciec do swej Basi mówi zaptakany

Stuchaj jeno, pono nasi biją w tarabany.

Obecnie spotkać je można niekiedy podczas kościelnych procesji. Jeśli nie lubimy tłumów, warto udać się do jednej z okolicznych wiosek, jak choćby do Żłakowa Kościelnego. Choć tutaj procesja ma mniej okazały charakter, jest za to znacznie bardziej kameralna i prawdopodobnie nie spotkamy tu żadnego turysty.

PO DYWANIE W SPICIMIERZU

Innym miejscem, gdzie warto uczestniczyć w obchodach Bożego Ciała jest Spicimierz. Niepozorna wioska o trudnej do wymówienia nazwie (niekiedy oznaczanej na mapach jako Spycimierz lub Śpicimierz) od ponad stu lat pielęgnuje unikatową tradycję układania dwukilometrowego dywanu z kwiatów. Dobieranie



kolorów i kształtów wymaga sporej wyobraźni, dlatego też zimowe wieczory spędza się na wymyślaniu i szkicowaniu kwiatnych motywów. A że Boże Ciało jest świętem ruchomym – trzeba przewidzieć, jakie kwiaty będą dostępne o tej porze roku. Każdy chciałby, aby odcinek kwietnego dywanu przed jego domem miał najwspanialsze dekoracje, stąd też przygotowane wzory są najpilniej strzeżoną rodzinną tajemnicą.

Dziś już nikt nie pamięta, jak to się zaczęło. Podobno pod koniec dziewiętnastego wieku wysypywano kwiatami całą drogę, ale dopiero w dwudziestolecie międzywojennym nagłą karierę zrobiły barwne kompozycje. A gdy już raz się pojawiły przed domami, pozostały w pamięci mieszkańców na zawsze. Coroczne układanie kobierca przypomina starszym czaszy ich dzieciństwa, dla młodszych zaś to prawdziwa frajda tworzenia.

Wreszcie, po nabożeństwie nadchodzi uroczysty moment, gdy z kościoła wyrusza procesja. Pochód otwierają niosący krzyż chłopcy, ubrani w tradycyjne czerwone kamizelki, za nimi podążają dziewczęta w pasiastych pelerynkach i wzorzystych spódnicach, niosąc feretrony – specjalne obrazy procesyjne umieszczone w ozdobnych ramach. Pod stopami wiernych kwietny dywan ulega unicestwieniu niczym tybetańska mandala... I znów miło jest pomyśleć, że prawdziwe piękno nie zna granic.

SPAWANY MOSTEK UGINA SIĘ

By lepiej poznać łowicką kulturę, można udać się do skansenu w Maurzycach, ale Maurzyce mają jeszcze jedną atrakcję, która – choć położona przy głównej drodze – rzadko jest zauważana. To niepozorny błękitny most nad Słudwią (z 1929 roku). Proszę oglądać go z szacunkiem, gdyż jest to pierwszy na świecie most spawany!

Do jego realizacji potrzebny był geniusz i upór polskiego pioniera spawalnictwa, profesora Stefana Bryły. Kiedy bowiem zaproponował budowę mostu, który byłby spawany (zamiast, jak do tej pory, nitowany), współcześni mu kpili, iż to tak jakby zamiast szyć garnitur – skleić go ze skrawków. Historia jednak przyznała mu rację: dzięki zmniejszeniu wagi konstrukcji wyobraźnia inżynierów dostała zupełnie nowe pole do popisu – dzisiejsze nowoczesne mosty wiele zawdzięczają właśnie tej pierwszej konstrukcji z Maurzyc!

KATEDRA BEZ MIASTA

O ile jednak niepozorny most dał początek imponującym budowiom, o tyle okazała kolegiata w Tumie pozostała otoczona... pustym polem. Wzniesiona w XII wieku jako kościół ówczesnej Łęczycy, miała być Tumu najważniejszą świątynią (nawet jej architektura wzoro-

NAJSTARSZY SPAW

Choć nie przedstawia wielkiej wartości estetycznej, ten zabytkowy polski most jest słynny na całą Europę.





**W BORYSEWIE
JAK W AFRYCE**

Oko w oko
z żurawiem królewskim
i centkowanym
tygrysem. Z tym
ostatnim na szczęście
tylko przez szybę.

wana była na wawelskiej katedrze!). Gdy się tu podej-
dza, człowiek mimo woli przeciera oczy ze zdumienia:
jest bowiem katedra, ale gdzie podziało się miasto?

Opuściło to miejsce, gdy pragmatyczni mieszcz-
anie w XIV wieku zdecydowali o przeniesieniu go na
tereny nieco wyżej położone, a tym samym bardziej su-
che. Na miejscu pozostał imponujący romański kościół
(niedawno gruntownie odremontowany). W środku
można zobaczyć jeden z najpiękniejszych romańskich
portali w Polsce przedstawiający Madonnę w otocze-
niu aniołów oraz inne romańskie zdobienia. Legenda
głosi, że na ścianie jednej z wież pozostawił swe ślady
(w postaci kilku zagłębień szponów w kamieniu) sam
diabeł Boruta. By go spotkać, trzeba udać się do po-
łożonej dwa i pół kilometra dalej Łęczycy.

CAŁA PRAWDA O BORUCIE

Wedle legendy, król Kazimierz Wielki, wraz ze świtą,
trafił podczas polowania na bagna, z których nie mógł
się wydostać. Wtedy pomógł mu ubogi leśniczy, zaś król
w podzięce obdarował go skarbami i szlachectwem.
Dalej było, jak to w życiu – gwałtowne wzbogacenie się
przewróciło mu w głowie tak, że tutejsi ludzie straszili
nim dzieci, między sobą nazywając go diabłem wcielo-
nym. Po śmierci miał natychmiast zameldować się w
piekle, ale tak zręcznie kombinował, że Lucyfer uczynił
go władcą polskich biesów i pozwolił pozostać na łą-



czyńskiej ziemi. Do dziś tu urzęduje, o czym przekona się każdy, kto odwiedzi muzeum w tutejszym zamku. Jest tu bowiem unikatowa ekspozycja w całości poświęcona Borucie. Patrząc na niektóre pokraczne figury można z ulgą odetchnąć, że „nie taki diabeł straszny, jak go malują”, a nawet niekiedy wygląda nader pociesznie.

PRAWIE JAK NA SAWANNIE

W okolicy Łęczycy czas i przestrzeń mają jakieś tajemne przejścia, dzięki którym błyskawicznie można przenieść się na (prawie) afrykańską sawannę: oto nad Nerem spacerują wielbłądy, pasą się zebry, swoje zębate pyski otwierają kajmany. Wszystko się zgadza: witajcie w zoo-safari w Borysewie! Na ogromnym terenie spacerują egzotyczne zwierzęta, zaś wśród dzieci najwięcej emocji budzi spotkanie z tygrysem białym i złotym. Tygrysy od gości zoo oddzielone są nie kratami, ale wielką panoramiczną szybą. Podczas spaceru spotykamy zwierzęta niemal z całego świata.

TIPI W TATANCE, TATANKA W SOLCY

Aby zbyt szybko nie wracać do codzienności, warto udać się do indiańskiej wioski Tatanka w Solcy Małej. Witają nas tradycyjne namioty tipi (nie mylić z wigwamem!) i ubrany w stylowy strój przewodnik. W jedynej w Polsce replice indiańskiej ziemianki, będącej siedzibą indiańskiego muzeum – poznamy rzemiosło, wierzenia, tradycje i zwyczaje Indian. Podbudowani wiedzą możemy urządzić sobie ognisko w jednym z tipi. Uprzedzam: lepiej siedzieć na kocu rozłożonym wprost na ziemi, bo im wyżej – tym bardziej dym szczypie w oczy i robi się naprawdę gorąco! Za to w takim tipi można spokojnie spać: gdy żarzy się ogień, jest tu naprawdę przyjemnie i ciepło!

Wielkim świętem polskich Indian jest pow-wow, czyli doroczne spotkanie, podczas którego odbywają się pokazy tańców, wykłady i targi rękodzieła. Można wtedy kupić nader oryginalne rzeczy.

W tym roku pow-wow w Tatance odbędzie się w pierwszy weekend lipca. Natomiast wiosenne pow-wow odbywa się w położonym nieopodal Uniejowie. To miejsce, które doskonale potrafiło wykorzystać swoją szansę. Jeszcze dziesięć lat temu główną atrakcją miasta był zamek, dziś na przybyszów czekają także kajaki na plaży, termy z gorącą wodą (68 stopni!) oraz Kasztel na Gorących Źródłach, przed którym latem słychać szcęk rycerskiego oręża. Nic więc dziwnego, iż Uniejów reklamuje się jako „Miasto wody, Indian i rycerzy”.



KTO DO BALII?

W noc świętojańską zobaczymy tu wielkie ogniska rozpalane nad brzegiem Warty, w lipcu odbywa się rycerski turniej, zaś w sierpniu ma miejsce jarmark średniowieczny. Komu nie wystarczy kąpiel w leczniczych źródłach termalnych – ten winien udać się do Kasztelu na Gorących Źródłach i skusić się na kąpiel w kilkuosobowej balii. Do dyspozycji solanka, woda różana lub... z dodatkiem czekolady. Rozkosz dla ciała i ducha gwarantowana! Jeśli zaś po intensywnym zwiedzaniu zamarzy nam się wodne szaleństwo – całkiem niedaleko Łodzi, bo w Nowej Gdyni (tej koło Zgierza) czeka aquapark i inne atrakcje. Gdy odzyskamy siły, warto wyruszyć na odkrywanie sekretów Łodzi. Ale to już zupełnie inna historia i inne sekrety... ○

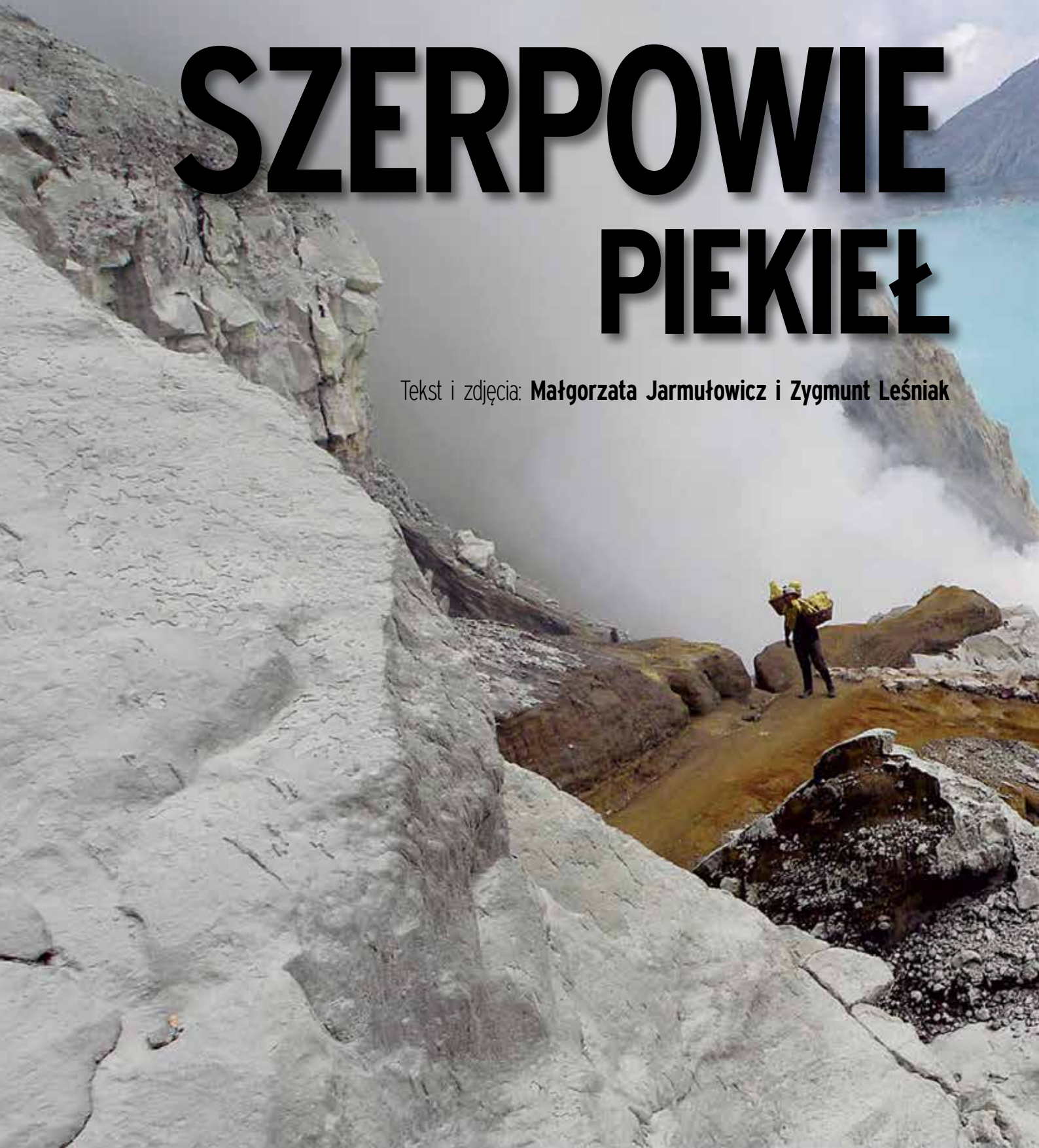
NIEOPODAL, W UNIEJOWIE

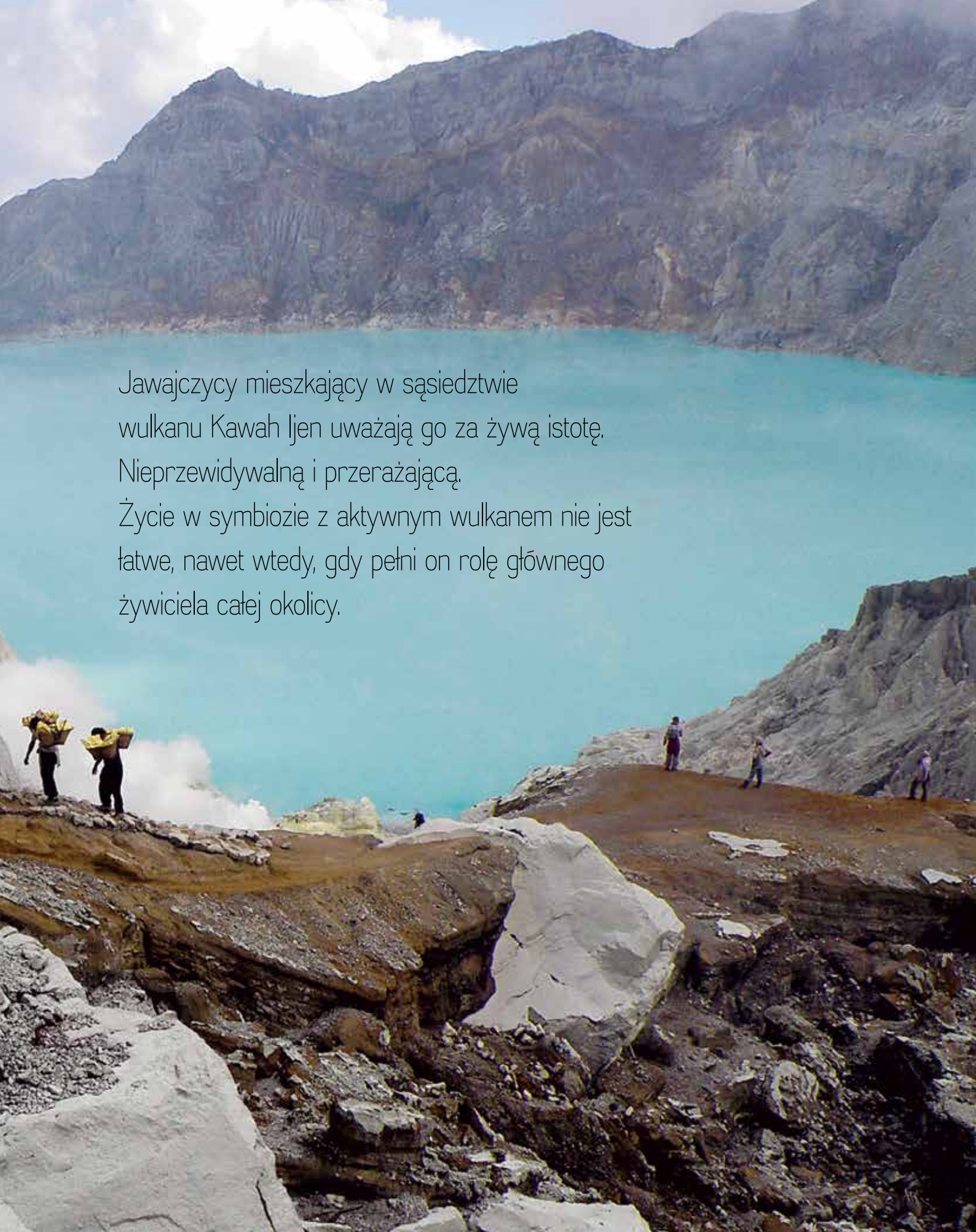
Tylko tutaj,
ramię w ramię,
walczą i rycerze,
i Indianie.

| CZARNE STRONY ŚWIATA

SZERPOWIE PIEKIEŁ

Tekst i zdjęcia: **Małgorzata Jarmułowicz i Zygmunt Leśniak**





Jawajczycy mieszkający w sąsiedztwie wulkanu Kawah Ijen uważają go za żywą istotę. Nieprzewidywalną i przerażającą. Życie w symbiozie z aktywnym wulkanem nie jest łatwe, nawet wtedy, gdy pełni on rolę głównego żywiciela całej okolicy.

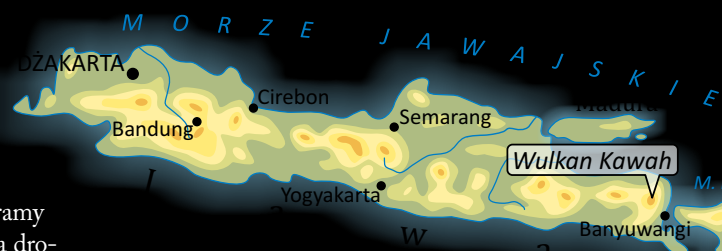
Położony na wschodnim krańcu Jawy krater Kawah Ijen nie jest tak znany jak sąsiedni wulkan Bromo, ale i on przyciąga wielu turystów. Do pieszego szlaku na dymiącą górę docieramy o 7 rano, po trzech godzinach jazdy wyboistą drogą z leżącego 70 km na zachód od Ijen miasteczka Bondowoso.

ŻYWI I TRUJE

Wschodzące słońce zastaje nas w rozległej, mierzącej 15 km średnicy kalderze, z widokiem na kilka skupionych w jej obrębie wulkanów. Najwyższy z nich, Gunung Merapi, mierzy 2800 m n.p.m. Oglądany z tej perspektywy stożek Kawah Ijen stanowi malownicze tło dla rozciągających się wokół plantacji kawy, do których właśnie zmierzają gromady najemnych zbieraczy ziaren. Nieodparte staje się wrażenie, że to właśnie wulkan patroluje bujnym uprawom kawy, tytoniu i ryżu, prowadzonym u jego stóp. Ale to nie osiągnięcia rolnicze sprawiają, że jest on szczególnym źródłem utrzymania okolicznej ludności. I nie dla hektarów żywej, wulkanicznej ziemi, porośniętej krzewami luksusowej kawy arabica, przyjeżdżają tu żądni

CODZIENNY ZNÓJ

Na ramionach nawet do 100 kg siarki.



wrażen cudzoziemcy.

Przyczyny, które czynią Kawah Ijen wulkanem zupełnie wyjątkowym – nawet w takim kraju, jak Indonezja, rozciągająca się wzdłuż łańcucha ponad siedmiuset wulkanów – leżą wewnątrz jego krateru. Od czasów kolonialnych działa tam jedyna w swoim rodzaju kopalnia eksploatująca złoża produkowanej przez wulkan siarki. Szokująca osobliwość tej kopalni polega na tym, że po dziś dzień siarka wydobywana jest ręcznie, a cały urobek górniczy wnoszą z dna krateru na własnych plecach.

W SIÓDMYM KRĘGU

Praca siarkowych szerpów w pełni zasługuje na skojarzenie z siódmym kręgiem Piekła Dantego. Właśnie w taki sposób, jako prawdziwie katorżniczą formę zarobkowania, sfilmował ją w głośnym dokumencie Śmierć człowieka pracy Michael Glawogger. Oglądana „na żywo” – praca ta robi jeszcze



większe wrażenie; fotogeniczny krater Kawah Ijen w bezpośrednim kontakcie ukazuje z całą namacalną grozą swą niszczycielską siłę i uświadamia nadludzki wymiar wysiłku, na jaki codziennie zdobywają się pracujący w nim górnicy.

Ścieżka na szczyt wulkanu, mierzącego 2368 m n.p.m., zaczyna się na wysokości 1900 metrów, przy posterunku PHKA (Forest Protection and Nature Conservation) i prowadzi w górę, przez objęty ochroną las drzewiastych paproci i przypominających wielkie żywotniki kazuaryn. Mijamy schodzących w dół górników, rozpoznając moment ich nadejścia po dźwięku rytmicznie skrzypiących nosideł, obciążonych bambusowymi koszami z siarką. Patrząc na tych szczupłych, niewysokich mężczyzn, maszerujących rażno w zdartych kaloszach albo w zwykłych kłapkach, trudno uwierzyć, że dźwigają ciężar wahający się od 70 do 110 kg! Gdy próbujemy unieść w górę załadowane po brzegi kosze, nie udaje się nam nawet oderwać ich od ziemi. Górnicy opanowali jednak optymalną technikę transportowania ładunku: starannie równoważą ciężar obu koszy, idą w równym rytmie sprężynujących nosideł, a trasę marszu dzielą na odcinki, przenosząc ładunek wahadłowymi etapami.

Ważenie żółtego urobku odbywa się w połowie drogi, przy baraku dającym nocleg tym tragarzom, którzy schodzą do krateru już o trzeciej nad ranem, przy świetle latarek. Krótki postój przy prowizorycznej drewnianej wadze przynosi chwilę zasłużonego wytchnienia i najważniejszą dla górnika informację, ile pieniędzy niesie w wyładowanych żółtym minerałem koszach.

Pokwitowanie wydane przez urzędnika nadzorującego pomiar, potwierdza ciężar ładunku i wysokość zapłaty, jaką tragarz otrzyma na końcu szlaku. Siarkę skupuje pobliska cukrownia, wykorzystując ją jako surowiec do wybielania cukru. Za kilogram urobku dostarczonego z krateru do odległego o 4,5 km punktu skupu, górnicy otrzymują 600 rupii, czyli ok. 20 groszy. Najsilniejsi, którzy schodzą do kopalni dwa razy dziennie, wynosząc z niej 200 kg urobku, zarabiają dniówkę o równowartości 13 USD. To dochód kilkukrotnie przewyższający zarobki okolicznych rolników, co tłumaczy zdumiewającą dla przyjezdnych pogodę ducha i ciepłą determinację siarkowych katorżników.

ŚMIERTELNE PIĘKNO

Faktyczny koszt ich pracy uzmysławia nam jednak dopiero końcowy odcinek szlaku do kopalni. Kilkaset metrów przed krawędzią krateru krajo-



braz zmienia się drastycznie: bujna zieleń znika, a z tumanów chłodnej mgły, osiadającej na zboczach wulkanu, wyłaniają się kikuty martwych roślin, wypalonych przez wyziewy siarczanego gazu. Otchłań, z której buchają kłęby trującego dymu, ukazuje się nam niczym dzieło nawiedzanego koszmarami pejzażysty, gdy wreszcie stajemy na krawędzi gigantycznego rondla, uformowanego na szczycie krateru.

UROBEK NA SZALI

Waga wskaże wysokość dniówki.



W TĘ I Z POWROTEM
Dzień w dzień, rok
w rok po skalnej
ścieżce mozolnie
przesuwa się
karawana ludzkich
mrówek.

Nasz przewodnik nie czuje się na siłach, by zejść z nami do krateru – trwa właśnie ramadan, który dla zamieszkujących Jawę muzułmanów oznacza konieczność całodziennego, osłabiającego organizm postu. Nagle dociera do nas, że również ogromna większość górników pracuje tu teraz bez jedzenia i picia. Turyści z reguły kończą trasę na krawędzi krateru, nie ryzykując zejścia do zasnutej przez cuchnące, toksyczne opary kopalni. Widok z góry też jest oszałamiający, zwłaszcza gdy chmury odsłaniają najpiękniejszy i najbardziej niezwykły element groźnego piękna Kawah Ijen – wielkie turkusowe jezioro na dnie krateru.

To jeszcze jedna bezprecedensowa osobliwość tego wulkanu. Zasilane przez wody opadowe jezioro ma rekordową głębokość 200 m, a pomiar wykonany w 2008 roku przez wulkanologa George'a Kouronisa wykazał, że wypełnia je kwas siarkowy o temperaturze 34°C i niespotykanym w przyrodzie stężeniu pH=0,5. Górnicy pracują na wyciągnięcie ręki od tej żrącej substancji, bo właśnie przy brzegu jeziora wulkan znalazł ujście dla kipiących w jego wnętrzu gazów, które skraplają się w postaci wysokojakościowej, zmineralizowanej siarki (99% czystego pierwiastka).

W TOKSYCZNYM ŚWIECIE

Chcemy przyjrzeć się z bliska prymitywnej technice eksploatacji złoża. Owiani duszącym, drażniącym oczu dymem – schodzimy w ślad za górnikami w piekielną czeluść krateru. To miejsce skrajnie wrogie człowiekowi, czego doświadczamy w chwili, gdy nagła zmiana wiatru kieruje na nas żółtą chmurę trującego gazu. Przerazliwie realny strach przed uduszeniem opuszcza nas dopiero wraz z kolejną zmianą kierunku wiatru. Bez odpowiednich zabezpieczeń w ogóle nie powinniśmy tu wchodzić.

Również górników niewiele chroni przed zabójczym gazem: jedynie zwilżony wodą kawałek trzymanej w zębach tkaniny, przez którą filtrują wdychane powietrze. Praca przy ziejących siarką fumarolach rujnuje zdrowie, drastycznie skracając średnią długość życia górników. Patrzymy jak zahipnotyzowani na ludzi w milczeniu odłupujących łomami i łopatami kawały żółtej, skrzypiącej tu wszędzie pod nogami siarki, i na wrzącą czerwoną ciecz, z której wykrystalizowuje się cenny minerał. Płynna siarka ma temperaturę 120°C i powstaje na skutek schłodzenia siarkowej pary, kierowanej w tym celu do prymitywnego systemu rur i blaszanych beczek. Aby zapobiec zapłonowi zakrzepłej



NA DNIĘ

Pośród wydobywających się z dna krateru trujących wyziewów trwa mozolna praca.



siarki, górnicy studzą je kwasem zaczerpniętym z jeziora. Cały ten nieludzki trud przeradza się codziennie w 4 tony surowca wyniesionego z krateru. Wyniesionego za cenę, której żaden człowiek nigdy nie powinien płacić.

PTAKI UMIERAJĄ W LOCIE

Z ulgą, ale też z niemalym wysiłkiem opuszczamy upiorny krater. Bestia, którą widzą w nim tubylcy, dyszy za nami w zwodniczej drzemce, przerywanej co kilkadziesiąt lat przez wstrząsające wulkanem erupcje.

Ostatni wybuch magmy odnotowano tu w 1817 roku, ale spore emisje popiołu wulkanicznego i wrzącej siarki zdarzają się niemal rok w rok. Ich zapowiedzią jest zawsze zmiana barwy i stopnia kwasowości jeziora, z którego zaczynają się wydobywać bąble zabójczego gazu. Pracownicy kopalni wiedzą o tym, obserwując ptaki umierające podczas lotu nad jeziorem i sami doświadczają wówczas szczególnych problemów z oddychaniem. Również takie momenty są wliczone w koszty ich codziennego obcowania z wulkanem. Górnicy, nawyki od pokoleń do trudów swej pracy, nie demonizują niebezpieczeństw, z jakimi się ona wiąże. Na haracz płacony wulkanowi własnym zdrowiem musi godzić się również okoliczna ludność, systematycznie podtruwana zakwaszoną przez wulkaniczne jezioro wodą, która przesiąka do studni i na pola ryżowe. Choroby układu kostnego i zębów to plągi wpisane w codzienność ludzi żyjących w cieniu Kawah Ijen.

PIEKŁO TRWA

W 2003 roku indonezyjski dziennik *Jakarta Post* przepowiadał rychły zmierzch kopalni, twierdząc, że wulkaniczne złoża siarki stopniowo się wyczerpują. Osiem lat później, w czasie naszej wizyty w kraterze Kawah Ijen, nic nie wskazuje na to, by ta przepowiednia miała się szybko spełnić. Wulkan jest równie niez mordowany jak ludzie, którzy wydzierają mu jego skarby. Dla nas namacalną pamiątką jego wiecznotrwałej żywotności okaże się cuchnący „oddech” wulkanu, którym przesiąkną nasze przywiezione z podróży ubrania. Trudno w to uwierzyć, ale mimo mizernego ich prania duszący zapach Kawah Ijen wciąż jest z nami! ○

CORE

Akumulator z mocą



CORE

Akumulator do latarek czołowych z serii TIKKA® - ZIPKA®

- CORE to czyste środowisko i czysta oszczędność: 1 CORE = 600 baterii LR03/AAA
- Kompatybilny z każdą standardową ładowarką USB
- Oprogramowanie OS by Petzl umożliwia personalizację czasu pracy baterii zależnie od potrzeb lub rodzaju aktywności



www.petzl.com/CORE





ROZMOWY MARKA SZPENDOWSKIEGO Z LUDŹMI ZAPRACOWANYMI



Służbowy wyjazd, zwłaszcza dla zapracowanych osób, jest często jedyną okazją, by zakosztować odmienności świata. Dobrze wie o tym Marek Szpendowski – producent filmowy, ale przede wszystkim właściciel agencji Viva Art, który organizował m.in. koncerty Luciano Pavarottiego, Michaela Jacksona czy zespołu The Rolling Stones. Dużo podróżuje i często zdarza mu się poznawać świat właśnie podczas delegacji, pospiesznie. Z tego powodu czasem dochodzi do zaskakujących sytuacji. O takie przygody w czasie służbowych podróży Marek Szpendowski pyta współpracujące z nim osoby – tym razem rozmawia z Januszem Józefowiczem.

Marek Szpendowski: Ostatnio sporo wspólnie podróżowaliśmy. Pamiętasz? Pierwszy raz spotkaliśmy się na wczasach na Bałkanach. Lubisz tamte strony?

Janusz Józefowicz: Lubię miejsca, w których góry stykają się z morzem. Dobrze się tam czuję z powodu klimatu i krajobrazu.

Poza tym mieszkają tam Słowianie, ludzie o podobnym języku, obyczajach, temperamentem. Z tych powodów także dobrze odbieram Rosję. Gdy mówię, że wolę pracować właśnie tam, aniżeli w Stanach Zjednoczonych, to spotykam się z niedowierzaniem.

MSz: Dzisiaj jednak chciałbym ci przypomnieć nasze wspólne, dość szalone, podróże z Rogerem Watersem.

JJ: Pierwszy raz zetknęliśmy się z nim właśnie w kraju, gdzie góry spotykają się z morzem – we Włoszech.



MSz: Wówczas z rozbawieniem obserwowałem waszą rozmowę dotyczącą premiery opery Rogera, którą miałeś reżyserować. Rozmowa, prowadzona głównie przy pomocy rąk, była tak pełna ekspresji, że chciałem zamykać okna, bojąc się, iż odfruniecie.

JJ: Kiedy rozmawialiśmy na ten temat w mieszkaniu Rogera w Nowym Jorku było już inaczej. Chociaż, czy ja wiem? Pamiętam, że gdy mu przedstawiłem koncepcję inscenizacji długo milczał...

MSz: ...następnie wstał, przyniósł butelkę wódki, napił się z nami i powiedział: „Pomysł kontrowersyjny, ale dlaczego by nie?”

JJ: Myślę, że ta odrobina alkoholu bardzo pomogła w procesie twórczym. (ha, ha, ha) Rock'n'roll ma swoje prawa.

MSz: Nasza kolejna podróż związana z Roge-rem wiodła do jego posiadłości pod Londy-nem...

JJ: ...gdzie Roger bawił się w kucharza, szykując nam obiad. To był piękny widok: le-genda rocka szamocząca się w kuchni. Potem wspólny koncert na organkach z nim i z jego synem...

MSz: Wspominam jednak tę podróż nie ze względu na sentymentalnych, ale dlatego, że była to wyprawa, która mogła się dla mnie zakończyć atakiem serca. Z twojego powodu. Mieliśmy się spotkać na lotnisku. Do od-lotu było już bardzo mało czasu, gdy zadzwoniłeś i powiedziałeś, że wracasz do centrum Londynu, do restauracji, gdzie zostawiłeś okulary słoneczne. Nie było szansy, byśmy mogli polecieć razem. Jakież było moje zdziwienie, gdy tuż przed startem zobaczyłem cię wchodzącego na pokład samolotu.

JJ: To było szaleństwo. Gdy dotarłem na lotnisko, biegłem do samolotu nie okazując biletu. I, nie zatrzymywany, przeskakiwałem przez kolejne bramki. Jeden z kontrolerów tylko krzyknął, że to mój szczęśliwy dzień.

MSz: O ile cię znam, miałeś takich przygód więcej.

JJ: Jedna, jeszcze bardziej zwariowana, zwią-zana była z musicalem „Złe zachowanie”, z którym wybieraliśmy się za granicę. To był czas stanu wojennego. Cały zespół pojechał autokarem, ja musiałem coś załatwić i dołą-

czyć do nich we Wrocławiu, dokąd miałem dolecieć samolotem. Okazało się, że mój sa-molot nie odleciał, a następny miał nadkom-plet sprzedanych biletów i nie było szansy, żeby mnie zabrał. Tragedia. Szczęśliwie na lotnisku zaczepił mnie milicjant z prośbą o autograf. Zdziwiłem się, nie byłem wów-czas zbyt popularny. Okazało się, że dzień wcześniej widział nasz spektakl. Powie-działem mu, jaki mam kłopot. A on na to: „Masz przy sobie jakieś dolary?” Dałem mu to, co miałem. Wyprowadził mnie jakimś mi-licyjnym przejściem, wsiedliśmy do gazika i pojechaliśmy na lotnisko międzynarodowe

do sklepu. Kupiliśmy 3 duże butelki wódki i z powrotem do gazika. Milicjant podwiózł mnie pod samolot od strony, gdzie pakują bagaże. Wskazał na luk z kupą waliz i wor-ków i mówi: „wsiadaj”. Do dziś pamiętam zdziwiony wyraz twarzy stewardesy, która zobaczyła mnie między walizkami. Mimo to bez słowa szczerze zaciągnęła zasłonkę. A ja, trzymając się siatki i trzęsąc z zimna doleciałem do Wrocławia.

MSz: Cóż, podróże Józefowicza może nie są najwygodniejsze, ale na pewno ekscytujące. ○

MIŁOŚĆ **PIĘKNO** **HISTORIA**

TURCJA. NIEKOŃCZĄCA SIĘ PRZYGODA

TURCJA. NIEKOŃCZĄCA SIĘ PRZYGODA

TURCJA. NIEKOŃCZĄCA SIĘ PRZYGODA

www.turcja.org.pl

Biuro Kultury i Informacji Ambasady Turcji
ul. Krakowskie Przedmieście 19/1,
00-071 Warszawa

go turkey.com OFFICIAL TOURISM PORTAL OF TURKEY

TURKISH AIRLINES

ISTANBUL SHOPPING LIST

Na dwóch kółkach

Z dnia na dzień co raz więcej osób rozpoczyna sezon rowerowy. Sprzyja temu zarówno pogoda jak i ogólnie panujące trendy – jeżdżenie na rowerze jest po prostu modne, ale przede wszystkim zdrowe. Aby w pełni cieszyć się z każdej wyprawy czy nawet krótkiej przejażdżki musimy pamiętać o wyposażeniu się w odpowiedni ubiór i akcesoria. Szerokiej drogi!



Cena: 200 zł
www.bcmnowatex.com.pl

BCM NOWATEX (ODBLASKOWA)

Koszulka wykonana z antybakteryjnej, niezwykle przyjemnej w użytkowaniu dzianiny importowanej z Włoch. Jej krój nie ogranicza naszych ruchów. W środku materiału, z którego wykonana jest koszulka umieszczono w nowatorskiej technologii odbłaski (na rękawkach, plecach) tak, że nadaje się ona do całkowitego zadruku nie tracąc przy tym swoich odbłaskowych właściwości.

MUC OFF

Bezpieczny w użyciu, biodegradowalny środek do czyszczenia całego roweru. Błyskawicznie usuwa stary brud, smar i olej ze wszystkich zakamarków roweru. Jest bezpieczny dla hamulców tarczowych, pozostawia powłokę ochronną na lakierze, gumowych uszczelkach, anodowanych, karbonowych i plastikowych częściach. Sposób użycia: Spryskaj rower MUC OFF'em, odczekaj ok. 1-2 minut, podziałaj szczotką w trudno dostępnych lub szczególnie brudnych miejscach i spłucz czystą wodą.



Cena: 32 zł
www.rowerowysklep.pl



Cena: 6,90 zł
www.nutrend.pl

NUTREND ENDUROSACK

Specjalistyczny żel energetyczny z postępującym uwalnianiem energii. Zawiera specjalny rodzaj węglowodanu – izomaltulozę (Palatinose™). Substancje bioaktywne wzmacniają działanie produktu: BCAA, tauryna, glicyna, L-karnozyna, L-alanina. Żel dostarcza energii w trakcie intensywnego wysiłku. Może być stosowany z napojami sportowymi.

NUTREND VOLTAGE ENERGY CAKE

Batonik energetyczny na bazie płatków zbożowych przeznaczony do uzupełniania energii w trakcie długotrwałej aktywności fizycznej. Zastosowany specjalny rodzaj węglowodanu – izomaltuloza (Palatinose™) odznacza się długotrwałą przyswajalnością i wysokim potencjałem energetycznym bez wpływu na osmojalność w przewodzie pokarmowym.



Cena: 4,00 zł
www.nutrend.pl



Cena: 459 zł
www.freeway.com.pl

DAKINE NOMAD

Plecak rowerowy o pojemności 18l z pojemnikiem na wodę 3l. Ma wentylowany panel na plecach oraz możliwość przymocowania kasku (Full face, XC) lub zbroi. Posiada również przydatną wewnętrzną kieszeń na dokumenty, klucze, oraz osobne kieszenie na okulary i pompkę. Ma również odczepiany pas biodrowy.



Cena: 2240 zł
www.twójrower.eu

GARMIN EDGE 800

To rowerowy komputer pokładowy z GPS, który przyda się zarówno podczas rowerowych wypadów za miasto jak i codziennych dojazdów do pracy. Pozwala śledzić dystans, prędkość, czas, pozycję oraz wzniesienia i spadki terenu. Dzięki dotykowemu ekranowi i intuicyjnemu menu obsługa nie sprawia trudności, a wbudowana mapa bazowa zapewni orientację nawet w nieznanym terenie. Urządzenie wyposażone zostało w odporną na wstrząsy i wilgoć obudowę i jest kompatybilne z najnowszą mapą topograficzną Topo Polska 2011.



Cena: 1599 zł
www.garmin.com

DIRECTALPINE TC SHIRT

Funkcjonalny t-shirt termoaktywny wykonany z materiału syntetycznego: Thermocool Eco. Jest on mieszanką włókna Coolmax (usuwanie wilgoci i zapobieganie przykreemu zapachowi) oraz Thermolite (kanalikowe włókna zapewniające termoregulację). Specjalne aktywne strefy pod pachami (oraz wokół szyi i ramion) z antybakteryjnego włókna Coolmax Fresh z jonami srebra gwarantują jeszcze wydajniejsze odprowadzanie wilgoci i przeciwdziałają powstawaniu przykrego zapachu.



Cena: 159 zł
www.petzl.pl/amc/directalpine

SHOCKBLAZE R5 EVOLUTION

Ciekawa propozycja włoskiej marki, która w tym roku doczekała się dystrybutora w Polsce. Podwójnie cieniowana aluminiowa rama, komponenty Ritchey, napęd grupy Shimano Alivio. Za amortyzację odpowiada Suntour RL 100mm. 19-calowa rama waży niewiele ponad 13 kg. To zatem dobra propozycja dla osób, które rozpoczynają swoją przygodę z kolarstwem górskim.

KALI AMARA

Kask przeznaczony do kolarstwa górskiego, posiadający 17 otworów wentylacyjnych. Dostępny w dwóch rozmiarach i kilku wersjach kolorystycznych. Dzięki systemowi Composit Fusion kaski Kali są jednymi z najlepszych i najbardziej wytrzymałych kasków na rynku.

Cena: 249zł lub 299zł
z mocowaniem do kamery.
www.freeway.com.pl



GARNEAU MONTANA XT2

Sportowe buty do MTB z zapięciem na metalową klamrę oraz dwa rzepy. Liczne otwory zapewniają świetną wentylację. Chropowata wkładka z lycry i system Heel Retention System powodują, że cała energia przekazywana jest na przód buta przy jednoczesnym komforcie stopy i braku jakichkolwiek ucisków i obtarć. But posiada wymienne wkładki, cholewkę z syntetycznej skóry, oraz gładkie wykończenie eliminujące ucisk i obtarcia. Kompatybilny z systemem SPD.



Cena: 489 zł
www.onestar.pl

GOGGLE E865-2

Model ten jest dedykowany rowerzystom. Zastosowane są w nich soczewki poliwęglanowe i polaryzacyjne. Poliwęglan nadaje okularom lekkość i odporność na działania mechaniczne. Dzięki polaryzacji nasze oczy są chronione przed szkodliwym promieniowaniem UVA i UVB. W zestawie również wymienne soczewki (stosowane w zależności od warunków atmosferycznych). Ponadto, model ten posiada ramkę optyczną umożliwiającą wstawienie szkieł korekcyjnych.

BRUNOX BIKE FIT

Cena za 100ml: 17,90,
200ml: 22,90, 400ml: 29,90
www.sirkon.com

Preparat do smarowania linek, pancerzy, zapieczonych części, nitów w przrzutkach itd. Jego podstawową zaletą jest to, że wypiera wodę i usuwa stary brud, pozostawiając jednocześnie na gwincie warstwę ochronno-smarującą-antykorozyjną. Można go też stosować do gumy, np. jeśli piszczy uszczelka zewnętrzna piasty gdyż nie niszczy gumy ani lakieru.



Cena: 159 zł
www.goggle.pl

Cena: 499 zł
www.bikershop.pl



NORTH WAVE LIZZARD PRO SBS

Profesjonalne buty MTB z podeszwą wzmocnianą granulatem karbonowym z wymiennymi elementami bieżnika z naturalnej gumy. Zapinane na 2 rzepy i wymienna, regulowana obustronnie klamra SBS. Dobrze wyprofilowana pięta stabilizuje stopę. System Air Flow zapewnia doskonałą wentylację.





Cena: 179 zł
www.bikershop.pl

NORTHWAVE FORCE BIB SHORT

Męskie spodenki rowerowe z wkładką ergonomiczną Race Sport. Wykonane są z materiału Elastic Fabric 190 g/ (80% Polyamide, 20% Elastan). Posiadają wentylowane szelki, oraz elementy odblaskowe. Nogawki wykończono delikatnym silikonem, co sprawia, że spodenki dobrze trzymają się na nodze..

ZATOR – POKROWIEC NA KOŁA

Pokrowce do przewozu i zabezpieczenia kół. Wzmocnione ścianki boczne gwarantują odporność na przebicia i otarcia. Pasują zarówno do kół szosowych jak i do górskich. Wewnątrz pokrowca znajduje się kieszonka na drobne akcesoria rowerowe. Zator ma również w swojej ofercie pokrowce na całe rowery.

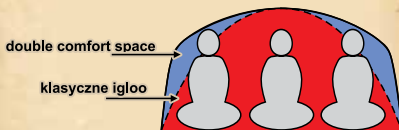
Cena: 69 zł
www.zator.com.pl



hybrydowa nowość!

Fjord Nansen

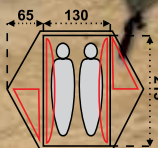
Double Comfort Space



DCS to system specjalnego wyprofilowania stelaża namiotu, pozwalający na uzyskanie efektu prawie pionowych ścianek bocznych.

Zapewnia on możliwość przebywania w namiocie 2-osobowym 3-4 osób w pozycji siedzącej, bez zagrożenia dotknięcia głową materiału sypialni. Przeprowadzone przez nas pomiary wykazały iż powierzchnia użytkowa w tym namiocie jest ponad 3,5 razy większa niż w standardowym igloo*. System ten także minimalizuje ryzyko dotknięcia ścianek namiotu przez osoby wysokie leżące w śpiworze.

*Do porównania użyto namiotu Veig. Za powierzchnię użytkową przyjęto przestrzeń w której mogą przebywać osoby siedzące o wzroście 180 cm.



TORDIS PTB

Cena: 835,90 zł

Najnowszej generacji namiot 2-osobowy z dwoma przedsionkami o niesamowitym komforcie i bardzo dobrej wadze. Użyty w nim stelaż zewnętrzny pozwala na jednoczesne rozstawienie tropiku z sypialnią, dzięki czemu sypialnia pozostanie sucha podczas deszczu.

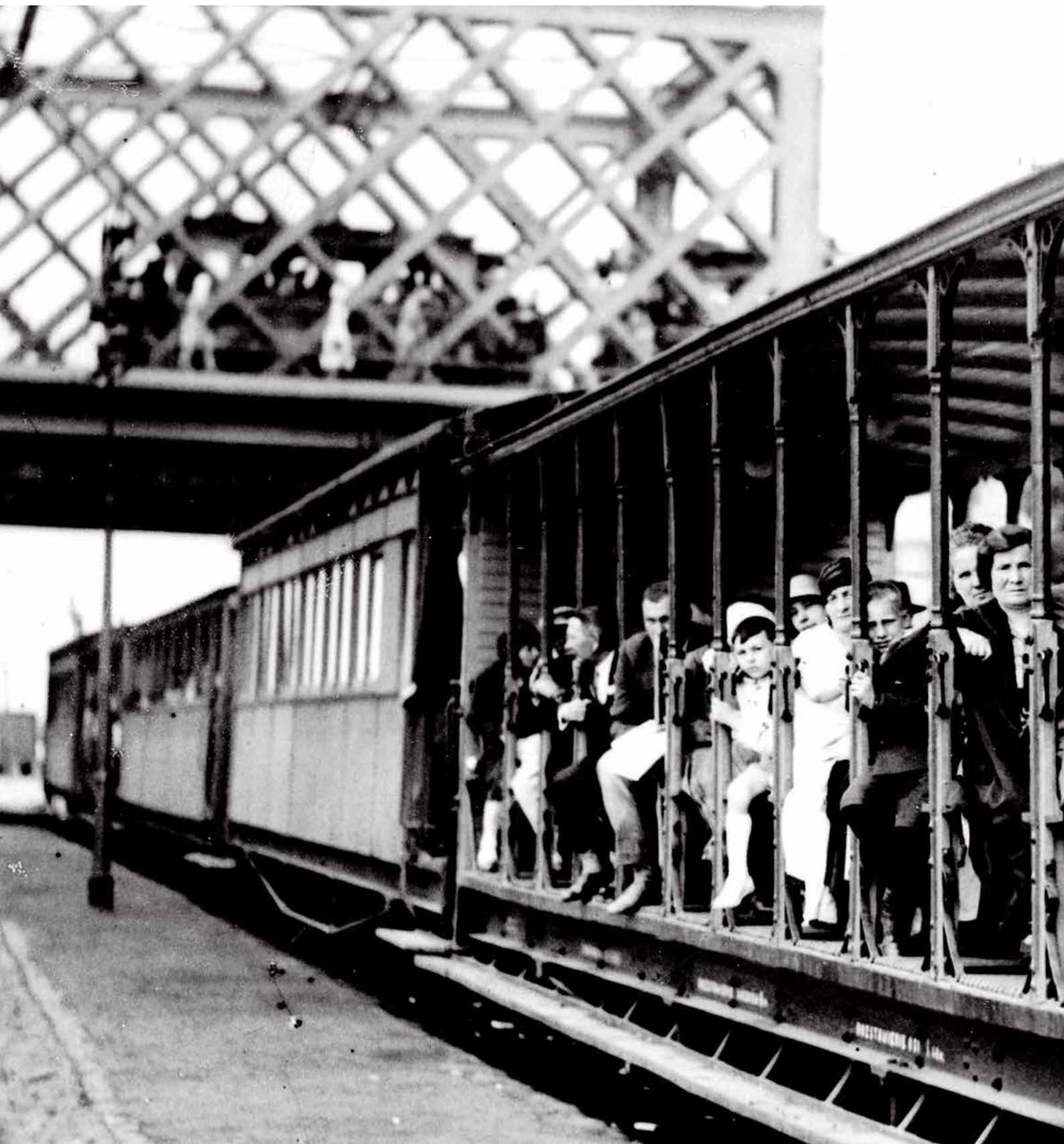
Dane techniczne:

Stelaż - duraluminiowy 8,5 mm, aluminium 7001 T6.
Tropik - Poliester Ripstop PU o nieprzemakalności 5m słupa wody, podklejane szwy.
Podłoga - Nylon-PU o nieprzemakalności 6 m słupa wody.
Waga - 2,60 kg.
Konstrukcja pozwala na rozcięcie samego tropiku co zmniejsza wagę namiotu do 1,8 kg.

Targi Galce
WYRÓŻNIENIE
w kategorii innowacji
technicznych

SKLEPY FIRMOWE FJORD NANSEN:

Gdańsk Wrzeszcz ul. Grunwaldzka 45-47, Katowice ul. Kościuszki 8, Poznań ul. Dąbrowskiego 54
Znajdź swój sklep z produktami Fjord Nansen na www.fjordnansen.pl





No to jadziem...

Na Bielany, do Młocin lub do Karczewa wyruszyli warszawiacy, gdy nareszcie przygrzało majowe słońce i kto żyw wybierał się na majówkę. Można było wówczas popłynąć statkiem do Młocin lub pojechać tramwajem do Bielańskiego Lasku, albo wsiąść w pociąg, który jechał do Wawra, gdzie zaczynały się lasy będące pozostałością Puszczy Osieckiej.

Wąskotorowa Warszawska Kolej Dojazdowa kursowała na prawym brzegu Wisły, na trasie z Jabłonnej do Wawra. Na czas wypraw za miasto podstawiany był specjalny, letni wagon.

Kolejka funkcjonowała w latach 1900-1963.

Zdjęcie zostało wykonane na stacji Warszawa-Most w 1930 roku, kiedy Kolej Jabłonowską zamknięto dla ruchu pasażerskiego. Możliwe, że fotografia przedstawia jeden z ostatnich kursów wąskotorówki.



Poznaj Świat

redaktor naczelny:
Janusz Czerwiński

Zespół i współpracownicy:
Wojciech Albiński, Marek Arcimowicz,
Ryszard Bałowski, Olgierd Budrewicz,
Marek Kamiński, Dorota Kobierowska
(honorowy sekretarz redakcji), Robert Mazurek,
Beata Pawlikowska, Dariusz Rosiak,
Wojciech Walczuk, Monika Witkowska,
Beata Wojciechowska (mapy)

Adres redakcji:
Kowale, ul. Glazurowa 7, 80-180 Gdańsk
e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980, 535 444 990
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo:
PROBIER
spółka z ograniczoną odpowiedzialnością sp.k.
Kowale, ul. Glazurowa 7, 80-180 Gdańsk
KONTO DLA PRENUMERATORÓW:
02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
tel. 58 350 84 64

dyrektor wydawniczy:
Dariusz Małkowski
e-mail: dariusz.malkowski@poznaj-swiat.pl

koordynator wydawniczy:
Katarzyna Rojek
e-mail: katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Produkcja i Prepress:
Artur Bury, Izabela Harmoza
Julia Michalczevska

Druk:
RR DONNELLY Europe Sp. z o.o.

Dystrybucja:
TM Media Mirosław Tański

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów
i opracowania redakcyjnego tekstów.

Reklama:
Olga Kołakowska
olga.kolakowska@poznaj-swiat.pl
tel. 501 050 624
Grzegorz Miedziński
grzegorz.miedzinski@poznaj-swiat.pl
tel. 501 641 706

Aleksandra Harasimiuk
ola.harasimiuk@poznaj-swiat.pl
tel. 664 115 333

JEDYNA POLSKA MARKA OUTDOROWA Z LICENCJĄ GORE-TEX®



**KOMFORT
TERMICZNY**



WYTRZYMAŁOŚĆ



ODDYCHALNOŚĆ

WODOODPORNOŚĆ



alpinus

Sitila cena: 649 zł

ZOSTAŃ NASZYM GOŚCIEM



U wrót Afryki bije serce Śródziemnomorza – Tunezja.
Zawsze była miejscem tolerancyjnym, gościnnym,
przyjaznym i bezpiecznym. Nowa Tunezja jest jeszcze lepsza,
bardziej atrakcyjna, otwarta, naturalna i szczerą.

Kusi przepięknymi kurortami nadmorskimi i saharyjskim bezkresem na południu.
Urzeka wspaniałymi zabytkami różnych kultur oraz pyszną kuchnią.
Zaprasza na pola golfowe, do centrów thalassoterapii i przystani jachtowych.
Przede wszystkim jednak oczarowuje uśmiechem i serdecznością,
atmosferą błęgiego spokoju, relaksu oraz gwarancją wypoczynku.

Słonecznie zapraszamy!

facebook.com/ZapraszamyDoTunezji

youtube.com/ZapraszamyDoTunezji

www.tunezja.org.pl

TUNEZJA

Kraj Wielkiego Serca